Purchased for the

LIBRARY *of the*

UNIVERSITY OF TORONTO

from the

KATHLEEN MADILL BEQUEST

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XVIII.

PISMA

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

TOM SZÓSTY.

HETMAN UKRAINY.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1900.

HETMAN UKRAINY.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

WYDANIE NOWE.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1900.

PG
7150
L75
1972
L6

LIBRARY
APR 25 1968
UNIVERSITY OF TORONTO

DWOM KAROLOM

RÓŻYCKEMU I SIENKIEWICZOWI

ŻYJĄCEMU I ZMARŁEMU

przypisuję to nowe wydanie mojej powieści o Janie Wyhowskim, Hetmanie Ukrainy. — Przypisuję, nie zażądawszy wprzódy ich przyzwolenia. — Zmarły mi go dać nie może, a pozostała wdowa i trzej synowie, spodziewam się, nie wezmą mi za złe tej oznaki wysokiej czci, dla pamięci męża myśli i pióra Ukrainy; w ostatnich czasach Polski powstającej i cierpiącej na wygnaniu, że tak się wyrażę, jedynego męża Stanu. — Gdyby go był Jezuityzm nie wyparł ze steru zachodów i usiłowań Jagiellońskiej pracy, od mistrzowania wychowaniem potomków Jagiellońskich, bylibyśmy mieli Naczelnika do kierunku naszej świętej sprawy, króla do podniesienia strąconej korony — i rzecz ojczysta nie byłaby szła jak dziś na frymarkę Jenerałów, chcących władzy i podatków, a nie Polski.

Żyjący byłby mi może odmówił przyzwolenia, bo on już obumarł dla rzeczy ludzkich i dla świata, a szczególniej dla świata Kozaczego, świata Ukrainy — ale ja mimo jego przyzwolenia, wszędzie i zawsze hołduję czcią wspomnienia i czcią zasługi mężowi serca i szabli naszej Ukrainy. — Jam mu wiele winien, on był moim Mistrzem, kiedy jeszcze był Kozakiem, Ukraińcem. — Wdzięczność i cześć temu serdecznemu Dowódzcy. — I na tego jak się uwzięli Jezuici, naprzód go złacinnili, a potem żyjącego pchnęli w obszar duchów marzących, żeby nie dotykał ziemi, a przez to nie dotknął nieba Ojczyzny.

Ci dwaj mężowie na jednej ziemi się porodzili, na tej samej bujnej Ukrainie, na której się urodził Jan Wyhowski i tak jak on padli ofiarą Jezuityzmu i Jezuitów.

Życie Jana Wyhowskiego dzieli się na trzy wielkie prawdy, które jeszcze dziś wcielone w życie, byłyby zbawieniem sprawy polskiej.

Kiedy był jeszcze pisarzem Kozaczyzny przy Hetmanie Bohdanie Chmielnickim — po przegranej bitwie pod Beresteczkiem, kiedy Chmielnicki z rozpaczy i ze złości zapijał się i języczył przekleństwa na szlachtę polską i pisał na Lachów manifesta i potępienia, jak dzisiejsi demokraci na szlachtę — i nie mógł postawić jednego pułku do boju, Jan Wyhowski napisał wicie: Od Dniepru i Nizowych stepów, do Dniestru, do Karpatów, po Słucz i Bug, na całej Ukrainie, każdemu być Kozakiem, i rozesłał po grodach i siołach, po stepach i borach.

Dwa miesiące nie upłynęło, a Chmielnicki szedł na czele stutysięcznego wojska raźnych młodzców mazać klęskę pod Beresteczkiem sławną umową pod Białącerkwią.

Nazwa Kozak wówczas znaczyła to samo co szlachcic w Polsce — był wolnym, posiadał futory i chłopów nawet, bo jak najwyraźniej znajdujemy: Kozak regestrowy, czyli Kozak — i chłop kozacki urodzony na kozackiej ziemi. Kozak był tedy człowiekiem uprzywilejowanym w społeczeństwie i w oczach prawa, przez swoją własną zasługę, albo przez urodzenie z zasłużonego rodu, Kozaczyznie.

Jan Wyhowski, nie jak dzisiejsza demokracja przez swoje gromady Humań i Grudziąż — przez swoją centralizacją, chcącą szlachtę znieszlachcić a chłopić — albo wymordować, i trupami zasypać przedział, jaki jest między szlachtą a chłopami, ale jak człowiek rozumu i serca do obrony kraju skozaczał wszystkich mieszkańców nazwą, a tem samem prawem i przywilejem na zadatek przyszłej zasługi.

Takby i dziś powinno być, gdyby kto wchodził na polską ziemię z serdeczną chęcią odbudowania zwalonej Polski, i posadzenia na tronie polskim króla polskiego. —

Dość, żeby rozesłał wicie:

W imię Króla polskiego, Wielkiego Księcia Litwy, Rus i Prus kto siądzie na koń, kto chwyci za broń do służby Ojczyzny, ten szlachcicem — kto zostanie za piecem, a ma młode lata i hoże zdrowie, ten wskazany na zostanie chłopem. —

Niech cały naród zostanie szlachtą, daj Boże. —

Wszystkim dać a nikomu nic nie wydzierać, na tem rozum. —

Wtenczas by łatwo poszło nadanie własności, urządzenie stosunków, dzierżaw, robocizn i całego szeregu ustaw i praw, tej kwadratury koła dla demokratów. Równi przez zasługę dla Ojczyzny, zdobędą się na nowe poświęcenia, na nowe ofiary, bo będą widzieli, że nic nikomu się nie wydziera, a wszystko każdemu się daje. Ojczyzna dać winna i szlachectwo i własność tym, co jej służą. —

Tak sądził Jan Wyhowski, bo nie był członkiem demokratycznej centralizacyi, ani Jenerałem manifestacyi prowokującej podatkowanie na rozpustę życia, żeby nią podniecać rozpustę myśli i rozpustę czynów swoich i swoich zwolenników, ale był mężem Ukrainy. —

W Kozaczyznie każdemu być Kozakiem. —

W Polsce każdemu być Szlachcicem. —

Kiedy po śmierci Bohdana Chmielnickiego został Hetmanem Wszej Ukrainy i Car Aleksy zapraszał go do wcielenia się, czy do związania się w Wielkie Sławiańskie Państwo, na odpowiedź wezwał Hana Tatarskiego i Króla Polskiego, i szedł z ich poczetami przeciwko Moskwie. —

Przybyło do obozu Hadziackiego mnóstwo wygnańców Kozaczych, niechętnych polityce Chmielnickiego, niechętnych Moskwie, ludzi dawnej zasługi i niezaprzeczonej wartości. Przyjął serdecznie, po bratersku, ale dowództw im żadnych nie dał i wezwał do dzieła starych pułkowodzców stojących na czele pułków, już tworzących wojsko białego Cara. I przyszli Neczuje, Lebiedy, Jakubowscy, Iskry, Koczubeje na czele pułków. — I jak był stworzył swoją wicią pisarską stutysięczne wojsko Chmielnickiemu, tak i teraz stutysięczne, dzielne, wprawione wojsko przyprowadzili mu Pułkowodzce. —

Rozprawa pod Konotopami taka była sławna i skuteczna, jak była pod Białocerkwią. —

I dziś gdyby był mąż taki, odepchnąłby Caryzm Sławiański, Margrabiego Wielopolskiego i Republikę Sławiańską skonfederowanej Sławiańszczyzny Hercena; niedotykałby Jenerałów Polaków, Włoskich, Madziarskich, Hotentockich i Bóg wie jakich; a zaprosiłby do czynu Rzewuskich, Szubelskich, Kryczyńskich, Boguszewskich, Mirskich, Jedlińskich, Radziwiłłów nawet. I byłoby wojsko, i byłyby drugie Konotopy Moskalom. Król Polski siedziałby na tronie, czy w Warszawie, czy w Krakowie, czy w Wilnie, czy w Kijowie, bo to by było jedno, zawsze na tronie polskim Piastów i Jagiellonów. —

Katolicyzmem Polska wyszła ze Sławiańszczyzny — Panslawizmem do niej nie wejdzie; za późno. —

Raz pobłądzili Polacy, dobrze, dość na tem; drugi raz błądzić nie trzeba, bo w polityce błędy gorsze od występków, od zbrodni. — Tej smutnej prawdy dowodem Polska i Austrya: Polska przez błąd czy błędy upadła, Austrya przez zbrodnie stoi w sile i w potędze. —

Wychodźce, choćby mieli rozum wojenny Anibala, śmiałość Cezara, geniusz Wielkiego Napoleona, w kraju gdzie nie ma narodowego wojska, a gdzie huk wojska zaborczego, tchem nie tworzą siły. Polacy, w służbie wojskowej Zaborców, stoją na czele siły zbrojnej, oni mogą i powinni przyprowadzić siłę powstającej Ojczyznie — im się należy dowództwo a nie wychodźcom, oni są Hetmanami z prawa, Korony, Litwy i Ukrainy.

I wtenczas tylko przyjdzie do ostatecznej rozprawy, tak żeby się Polacy z Moskalami na dobre pobili: tylko bitwą można zatrzeć urazy między narodami, a po bitwie mogą nawet się pokochać z sobą. Tak jak to się zrobiło między Polakami a Turkami; dobrze się bili, i dobrze się kochają i kochać będą — bo uraza krwią zatarta; przyjaźń i serdeczna i wieczna, bo na wspomnieniach męztwa oparta. —

Taką nam zostawił naukę ze swojego czynu Hetman Ukrainy.

Kiedy Król Jan Kazimierz do Hetmaństwa Ukrainy dodał Janowi Wyhowskiemu Województwo Kijowskie, i w darze dziedzictwa, starostwa Baru i Rudy, zaraz powiedział:

Oj prodam i Bar i Rudu,
Zahram Wyzuwitom w dudu. —

Na Bazyliańskim klasztorze w Owruczu do dziś dnia są haki, świadczące, że sprawdzał czynem słowo na tym Zakonie, który za obiecany Pater noster od Moskali frymarczył sprawą Polską, buntował rycerstwo katolickie przeciwko Królowi i Króla Bohatera do grobu wepchnął. — A potem z Austryą wynarodowiał Polaków i z uczuć i z mowy a potem w 1832 wymógł na Papieżu Grzegorzu bullę potępiającą tych Polaków, którzy się wzięli do broni w roku 1830 i w 1831 przeciwko Carowi Moskwy. —

O szkoda, że nie dano czasu Hetmanowi Ukrainy, aby Polskę zbawił od Jezuitów, wyganiając ich za góry i za lasy, a przegrywając im w dudy, na wesoły pochód, czy wychód. —

Mielibyśmy i Karola Sienkiewicza między żyjącymi, bo by go przed czasem nie zagryzła chęć a niemoc służenia sprawie Ojczyzny tak jak mu rozum męża Stanu, i serce Polaka wskazywało. —

I mielibyśmy Karola Różyckiego między nami, bo nie byłby klepał pacierze, jak kościelny dziadek, i udoskonalał swego ducha do ulotnienia się w wielkie nic, ale byłby siedział na koniu i z szablą w dłoni wodził nas na nowe Mołoszki, Tyszycę, Uchanie, Iłżę, za Dunaj, za Dniester, do starego Kijowa i do rodzinnego Berdyczowa. —

I byłoby lepiej między Polakami; nie byłoby tylu Faryzeuszów, i tylu Konspiratorów na bratnie dobro — na bratnią sławę, ile mamy niestety teraz przez Jezuitów i Jezuityzm. —

Byłoby lepiej. — Bogdaj Polacy zdobyli się na powiedzenie swoim Jezuitom: precz z pomiędzy nas; ruszajcie w świat, niech wam się szczęści w Chinach, w Afryce, nie u nas. —

Hetman Ukrainy, jako wykonawcom swojej ostatniej woli,

błogosławieństwo by nam u Boga wymodlił przez średniego Archanioła, Patrona Ukrainy. —

Karola Sienkiewicza dzieła otworzyły by rozgarnienie upojonym panslawizmem Hercena. —

A Karol Rożycki, jako stary Palej — powitał by nas jako Hetman Ukrainy. —

28. Lutego 1863, w Larysie, w Tesalji.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

		Stronnica
I.	Konotopska bitwa	1
II.	Putywelski zamek	15
III.	Monaster	26
IV.	Droga	34
V.	Czaple pióro	45
VI.	Pożegnanie	56
VII.	Jak dawniej szlachtę robiono	67
VIII.	Nocna wyprawa. Przeczucie	77
IX.	Biesiada. Mnich Hetmanem	88
X.	Za późno	98
XI.	Zemsta Heleny	108
XII.	Czary	120
XIII.	Czarodziejska flasza	131
XIV.	Bitwa na stepie. Narada w refektarzu	141
XV.	Źle się dzieje	150
XVI.	Knowania	161
XVII.	Lachy pod lubartowem	171
XVIII.	Powtóre hetmanem	181
XIX.	Zakon koszowy	192
XX.	I ktoby się spodziewał	200
Przypis		209

I.

KONOTOPSKA BITWA.

Lata orzeł ponad kozaczą krainą, lata i kracze. Czy braci orłów zajrzał ponad Desną, ponad Semem? — O nie! Nie orły to tam skaczą; ale dwa wojska stoją obozami i patrzą sobie oko w oko. I na wzgórzach, co się wznoszą niby skoki ziemi od Semu do Desny; i na błoniach Desniańskich taka siła namiotów, taka siła ludzi i koni, że miasteczko Konotopy zmalało, sczezło przy nich, i orle oko na nie ani spojrzało.

Po nad Desną stoi obozem Moskwa; Kniaź Trubecki temu moskiewskiemu wojsku przywodzi. Pierwszy to bojarzyn białego Cara, mąż i na głowie, i na brodzie, i na wąsach siwy, jak gołąb grzywacz; mnogie lata przeżył na tym świecie. Kiedy gada o przeszłych latach, to każdy rok liczy mnogiemi bitwami, a zawsze wygranemi. Krągło jak rybie oko, trzydzieści tysięcy dobornego żołnierza ustawił na przodzie, wzdłuż lewego brzegu Desny, i sam swój namiot na samem czole posadził, aby pokazać, że nie tylko jest głową, ale i piersią swojemu wojsku. Moskal kretem potoczył rowy i przekopy; jak w wiosennej porze sterczą tyki na Bachusowem polu, tak tu na Marsowej winnicy sterczą rogatki piechoty.

Za tem przedmurzem przekopów, wałów, rogatek i piersi pieszego żołdactwa mnoga jazda pasie konie. Dalej, już na samych błoniach, między taborami wozów stał Kniaź Pożarski z trzema dziesiątkami tysiąców konnicy i piechoty carskiej, i hukiem obozowych luzaków. Przy nim było sześćdziesiąt harmat burzących, prochy i cała amunicja.

Na prawym brzegu rzeki padło jak szarańczy, z nasypem dwa tysiące sotek kałmuckiej hordy. Kniaź Trubecki związał Desnę mostem, tak szerokim, że dwa wozy i jeden jeździec w poręcz iść mogły.

W samym Konotopie usadowił się Marcin Cicciura, Watażka, niewierny matce Polsce, z dwudziestą tysięcami kozactwa skabaconego przez Moskwę.

Od Putywla, od Taruczy nalciały te Moskiewskie sępy nad Desnę.

Na stepie, w widłach, gdzie Kijowski szlak zbiega się z Perekopskim szlakiem, stoi trzydzieści dziewięć kureni Zaporożskich, a w nich krągło szesnaście tysięcy mołodców; tych dzieci Dnieprowych, co to psim węchem wroga dotropią; orlim zerkiem wroga dopatrzą; na koniach jak w prysiudy i tędy i tędy, i po swojemu taniec zawiodą.

Za nimi trzy tysiące husarzów, pancernych i czterysta dragonji lackiej.

Na prawo tabory pułków Ukraińskich: w nich dwadzieścia pięć tysięcy kozactwa z ośmiu harmatami. Z tyłu czterdziestotysięczna horda Perekopców i Budziaków.

Te sokoły Ukrainy, te Lackie orły i te ptaki tatarskie przyszybowały od Bachmacza, od Baturyna. A wszystkim im dowodził Jan Wyhowski, Hetman Wszej Kozaczyzny, Kijowski Wojewoda.

Stoją wojska i patrzą na siebie. U góry, pod niebiosami, na pośmiech radości orzeł jak kracze, tak kracze; w jarugach niby z ziemi płowy wilk rzewnie powywa, a w piekle sam djabeł chychocze, bo wraży taniec będzie.

Szary mrok przeminął i ściemniało na niebie, a księżyca i gwiazd jeszcze tam nie było. Jak ława burego dymu z pomiędzy płomieni, tak czernial Konotopski zamek z pomiędzy ognisk rozesłanych dokoła jego podnóża. W samem zamkowem cielsku jedno tylko, jedno światełko błyska, i ztamtąd jak więzień, ciekawie, zawistnie pogląda na samowolę braci ogniów. Dokoła ognisk kozacy siedzą, i sumują i dumają; chmurno im w wejrzeniach, dziko im w twarzach, jak u nocnych ptaków. Oczu na ogień podnieść nie chcą, a tak milczą, że słychać potrzask palącego się ognia; słychać szelest słaniającego się płomienia.

Zdala na wale przechadzało się dwóch ludzi. Jeden rosły, chudy a podgarbiony wiekiem; drugi mierny, krępy, pleczysty a w samej sile wieku.

— E do djabła, Mospanie, wstydno nam.

— A to czemu?

— Moskale z nas drwią, a swoi będą złorzeczyć.

— Nie drwią oni z nas.

— Z ciebie nic, djabli synu; już ty jedną ręką trzymasz za atamański buńczuk.

— Takżeż trzymam; tylko powiem, chcę, i obudwóma rękoma go wezmę: ale jak zachcę, to i drugiemu go oddam.

— Ba, jaki ty hojny! a tobie za buńczuk w handel dać czarnobrewkę, nie prawda?

— Jak chcę, to i buńczuk i czarnobrewka będą moje.

— Nie koniecznie; ot pogadajmy z sobą po prawdzie. Ty Moskalowi baki świecisz, i Moskal ciebie hołubi; ale czy kozaki za tobą pójdą, o tem szeroko Dawid pisał.

— Jak Car każe.

— Car Carem dla Moskala, a dla Kozaka hetką pentelką. Nie przegniewaj się Panie bracie; a ani ty, ani twój Car, jaki on tam jest, niebyście nie zrobili, żeby stary Neczaj tego nie chciał.

— A jakże to się stało, że Iwaśko z Pisarza Hetmaństwa się dochrapał; a wy ojcze Neczaju, zięć Hetmański, najstarszy i najwierniejszy jego towarzysz, jakeście byli, tak i jesteście Pułkownikiem?

— Iwaśko, ha Iwaśko! trzystaby djabłów jego matkę zabrało! — Bohdanko nie po tatarsku jemu mówił; bądź opiekunem mojemu Juryszce; a on z opiekuna stał się wypiekunem. Na śmiech ludziom powiedzieć, hetmańskie dziecko jak djaka w książce czytać uczy, a sam hetmańską szablę do boku przypasał, i nam dulę pod nos pokazał. Ha! żeby no on mnie się podał w łapy!

— Tylko przyłożmy pracy, a będzie nasz; już sam nam włazi jak w matnię.

— O nie mów tego. To gracz! gracko on piórkiem smaruje, ale gracko i w szablę dzwoni: jak raz weźmie na ząb, to i pojedzie.

— Ta to daremna rzecz, trzech zawsze powije jednego.

— Jak jeden dureń i tchórz; ale jak chwat, to i trzem da rady.

Policzywszy co on ma, a co my mamy, to nas więcej jak trzech na jednego.

— Przed bitwą nie licz, to żydowska rzecz. Ja stary, zęby na wojnie zjadłem, ja to dobrze wiem. Jak Hetman dureń, jakiś parszywiec, to przed bitwą liczy, liczy i ucieknie, a jak dobry, trzystaby jego matkę, to nie karbuje wielu ich tam jest, tylko idzie, bije, pobije, a potem policzy. — Aż wyprostował się i wąsem się poczwanił. — Nie kozacka to rzecz rachować, ale kozacka bić. — Spojrzał ku stopom, nic nie widział, ale ręką ku nim machnął. — Tam Kozacy! — Obrócił się ku rzece: — Tu Moskale! — I plunął.

Marcin Cieciura milczał, ku ziemi pochylał czoło; jak koń tabunu szuka trawy, tak on z ziemi szukał słów, któremiby mógł załoskotać w uszy staremu Neczajowi. A stary Iwan Neczaj, zięć Chmielnickiego, od ćwierci wieku Pułkownik Pułtawskiego pułku, od pół wieku hulaka na wojnie, zawzięty na Wyhowskiego, że mu jak z przed nosa porwał hetmańską buławę, przez

zawiść z Moskwą sojuszem związany, w myśli sobie podumał: o żeby tym Moskalom dali łupnia, a tęgo, a po naszemu.

W zamku, w komnacie jeszcze nie zupełnie popadłej w zwaliska, siedziały dwie niewiasty czarnobrewki. I jedna i druga młoda; i jedna i druga krasawica. Jedna płacze, sobolowym zarękawkiem łezki ociera. I druga markotna. Obie są rodzone siostry, córy nieboszczyka Hetmana.

— Siostro Heleno, czemu ty tak dużo łez lejesz?

— Alboż to ja nie mam płakać czego? ja w niewoli, mąż daleko.

— Może i blizko.

— Cóż mi z tego, kiedy nie ze mną.

— Może będzie i z tobą niezadługo.

— Może, może, wszystko może i nic więcej; a tu tyle kul, tyle szabel, tyle spis, wszystko to na niego.

— Nie on sam jeden z tamtej strony.

— Ale oni wszyscy na niego uderzą. Ja taka biedna!

— Ty go tak kochasz Heleno?

— O kocham! kocham nad wszystko w świecie! nad wszystkich! — Popatrzyła nad siostrę, podała jej rękę. — I ciebie kocham Stefanido.

— Siostro moja. — Westchnęła Stefanida i zamilkła.

— Czegoż ty wzdychasz, mąż twój z tobą.

— Ze mną — ze mną! — I chciała smutek rozgonić z czoła. — Mówmy o Danielu; ja pamiętam jak on tobie dumki śpiewał, z tobą trapaka wycinał, jakaś ty była szczęśliwa!

— O ja taka z nim zawsze! ale teraz jemu boleść, mnie niewola.

— Ty nie w niewoli, tyś przy swojej siostrze, moja Heleno.

— I ty w niewoli, twój mąż w niewoli.

— U kogo?

— U Marcina Cieciury. — I zadrżała czarnobrewa.

— Nie bój się moja miła, i włos ci z głowy nie spadnie, ja nie dam, mój mąż nie da. — I do siostry się przybliżyła; i obie czarnobrewe tuliły się do siebie, jak gdyby było na pustyni, bez ojca, bez matki i kogobądź w świecie; jak gdyby sieroctwo na ich serca padło; przytulały sie do siebie, jak dwie zuzule na czeremszy, a w zamku było głucho, a na dworze było cicho.

Wypłynął księżyc na obłoki, i jasno świeci Świętemu Piotrowi i Pawłowi, bo to dzień ich święta jutro; dziś i na wiwaty janczarki grzmiały, dziś im na wiązanie hordy harcowały. A Zaporoża młodcе czekają z wiwatem, z wiązaniem; na jutro, na jutro. W kozaczym i w lackim obozie rżą konie, kopytami ziemię kołupią, strzygą uszyma, paszy nie chcą, a bezustannie zrywają się jak do biegu. Kozacy z Lachami po bratniemu

gadu, gadu, o bojach rozprawiają, a wciąż na niebo patrzą; oczyma chcieliby pchać księżyc żeby prędzej sobie płynął, oczyma świt rozniecić, i dniem niebo zabielić.

Koło namiotu Atamańskiego zebrała się cała starszyzna. Trzech było Lachów: Jędrzej Potocki, Strażnik Koronny, Stanisław Jablonowski Obożny i Łączyński pułkownik królewskiej dragonji; trójka to mężów ochrzczonych prochem i żelazem w boju. Stali tam i Sułtan Gałga, i Narudyn następca, i brat Perekopskiego Hana, dwornie z czterema Agami i dwunastą Mirżami. Podle nich: Obożny kozaczy Tymofej Nosacz, ciekawa i sprytna sztuczka; raz tylko spojrzy po polu, i wie gdzie piechotę, gdzie jazdę postawić. Cymbalista Hrehory taki zasadny, że i z niedźwiedziem mógłby pójść w boruki. Stefan Jachowski buńczuczny, rosły chłop, a tak pokaźny jak ogier między tabunem. Chorąży Michał Kulka. On białego anioła nosił przed wojskiem kozaczem, a biały anioł po patrońsku i męztwa i otuchy mu dodawał. I Samuel Zaradny Sędzia wojskowy. Dalej Atamani kurenni Zaporoża i Pułkownicy Ukraińskiego kozactwa. Między nimi byli: Jerzy Hulanicki o którym kozactwo mówi: kiedy on z nami, to biały anioł nad nami, a wraża krew pod nami. Niemirycz takoż Jerzy, Owrucki bohater i z serca i z dostatku; on jak jego praojcowie miru nie lubi, a bój to kocha. Leśnicki najpodlejszy druh Bohdana Chmielnickiego. Michał Chanenko kochanie Zaporoża. Pawel Tetera brat złaszonego Semena. Dwaj bracia Serki zbrojni znachorowie Zaporoża, tumany jakich świat nie widział; oni jak głową powróżą to wszystkie konie z tabunów Hana, wszystkie dziewice z haremów na Ukrainę przeprowadzą; a jak szablą powróżą, to długie lata będą rodziły bisurmanki, nim narodzą tyle ludu ile wysieką. Eustachy Hohol, Sebatyn, Pawołoski Czayka, Woronicz, Zuzulicz, Orlik, Zaporożkie to ptaki, po czajczemu kihiczą, szparko latają jak sokoły, a po orlemu dziubią. Sawa przesławny hulaka. Pawlenko haman na żydów. Zieleniecki i Papeńko gracze w krzywe szable. Rakocy z Siedmiogrodzianami może o tem powiedzieć; on popróbował co to się dzieje z ludem Bożym, kiedy oni go wezmą po swojemu w szable. Karpenko hołubiec czarnobrewek, czy na teorbanie zadrumkać, czy uciąć w prysiudy, metki, praworny. Proskura co szablą jak proskurką obdziela błahoczestywców Moskali. Kunicki jak mruk posępny, milczkiem słucha, milczkiem i bije. Mohyła krew Wołosza skozaczała na Ukraińskiej ziemi, na tej ziemi, na którą jakie ziarno padnie, czy Lach, czy Rusin, byle nie Niemiec, to wszystko kozaczeje. Samko serdeczny, co w boju jak buhaj na całe gardło ryczy: bij, kól, siecz wrażego syna, ale jak buhaj na rogi, tak on na spisy wroga bierze. I dwaj stryjeczni bracia Hetmańscy, Konstantyn i Daniel Wyhowscy: Konstantyn hojny na złoto i żelazo, jednem sieje między przyjaciół,

drugiem między wrogów. Daniel najkrasiwszy mołodziec z całej Ukrainy, czy na koniu, czy to w tańcu; rosły, składny, siwe oczy, białe zębki, a ciemny wąs; licho nie chłopiec. Oj licha on narobił na Ukrainie! zapytać dziewic, a co one nagadają, to i wiekby nie wystarczył dudarzom na śpiewanie dumek i o nim i po nim; a teraz i sam smutny jak ukraińska dumka.

Wszyscy czekali na rozkazy Hetmańskie. Przed wchodem namiotu stali Asawułowie, Mazepa, paź Jana Kazimierza, bałamut Laszki Senatorki. Brzuchowiecki zapiekły wróg lackich panków, bo mu ojca, dziada i pradziada zamordowali; ale siostrzan Hetmański, kozak lubiący matkę Polskę, byle ona była bez panków i wyzuwitów. Młody Daszko plemię Ostafiego Daszkowicza. Możajski Kniaź ruskiego szczepu. Kamieński i Kordysz. Żaden z nich jeszcze trzydzieści nie dożył; wszyscy sześciu takie chłopcy co to ha! czy dziewczę w hołubce, czy wroga w szable pochwycić.

Pod namiotem Hetmańskim obitym powłoczą, usłanym kobiercami tureckiemi, obwieszonym bronią i rycerskiemi przyborami, lśniącemi w srebro, złoto i drogie kamienie, dwóch ludzi tylko było.

Jeden dość słusznego wzrostu, nie cieńki, ale nie otyły, w samą miarę, postawy poważnej, ale nie chełpliwej; już przeszło czterdzieści lat przeżył na świecie, ale ciemny włos jeszcze się nie bielił, tylko gdzieniegdzie poszroniał szpakowacizną. Oczy ciemne nie duże, ale błyszczące ogniem woli, i dobre łagodnością; czoło odkryte, pogodne, twarz ospą naznaczona. Jak nie w boju, to zazwyczaj osłaniała się tęskną dumką, ale kiedy spozierał na kogo, albo z nim rozmawiał, to półuśmiech twarz rozmiłał, jak gdyby chciał sercem każdego częstować; i dla tego też serca wszystkich ku sobie garnął. Wąs ciemny podstrzyżony mszył się na wardze, a ręce miał małe i białe, jak gdyby nie do szabli były stworzone. Strój jego był skromny, kontusz siwy kusy, żupan biały, krasne szarawary i krasne buty, ale z pasa złoto jakby kapało; guz z szafiru rubinami obrzucony, w miejscu zaścieszki zmykał pod szyją koszulę. Przy baraniej czapce czaple pióro było przypięte spinką z jaskrawego brylantu, i rękojeść krzywej szabli, i buława hetmańska, i buńczuk nasypem były nasadzone złotem i drogiemi kamieniami. To był Jan Wyhowski.

Drugi niższy wzrostem, cienki, smykowaty, oczu piwnych, a takich rzutkich jak błyskawice; twarzy śniadej, a tak ruchawej jak gdyby była na sprężynach, włosy czarniawe i wąs czarniawy; taki strój jak u Hetmana, ale nie widno na nim tyle złota i drogich kamieni, a barania czapka bez czaplego pióra. To Piotr Doroszenko, pisarz kozaczyzny.

Pod tym namiotem był stół, a na nim szkatuła hetmańska z papierami, a podle niego trzy miedziane beczki, zewnątrz wybielane, pod czopami konwie: jedna z miodem, druga z wódką, a trzecia z winem. Były tam roztruchany i puhary. Hetman pod swoim namiotem częstował zazwyczaj starszyznę i kozactwo, ale teraz nie częstował Pana pisarza, tylko na rękach sparty o stół słuchał jego doniesień.

— We wczorajszej potyczce horda straciła przeszło pięćset ludzi. Sułtan Nuradyn mniema, że w otwartem polu ani Moskwie, ani Kałmukom stawić czoła nie może, chciałby zapuścić zagony ku Putywlowi.

— Zapewnie, nasz kraj niszczyć? Z tego nic nie będzie. A języki i zbiegowie?

— Zbiegów nie wielu, a wszyscy zgadzają się, że przy Neczaju i Cieciurze najstarsze kozactwo, wyćwiczone w boju.

— I nasze się wprawi.

— W obozie moskiewskim żołnierstwo ochocze, Kniaź Trubecki chce bitwy.

— To będzie ją miał. — Pomyślał trochę. — Cóż Hulanicki przywiózł?

— Desna spokojna, nie głęboka, w niektórych miejscach można w bród przeprawić się, a most jakoś niepewnie stoi. Szpieg który wrócił z moskiewskiego obozu, powiada, że sam Trubecki boi się o most.

— Mniejsza o most. — Zatarł ręce. — Dać rozkaz obożnemu, żeby wszystko było gotowe do broni przed świtem.

— Starszyzna czeka.

— Hulanickiego prosić, a potem Sułtana Nuradyna. Panom Lachom i Sułtanowi Gałdze powiedzieć, że zaraz będę z nimi.

Niedługo rozmawiał z Hulanickim i z Nuradynem; i jeden i drugi wyszedł, i wprost udali się do swoich stanowisk, a szli śpiesznie. I sam Hetman wyszedł przed namiot.

Księżyc świecił, niby srebrem słał się po stepie. Hetman zdjął czapkę, czaple pióro powjało, pokłonił się Panom Starszyznie; wszyscy czapki zdjęli. Gałga Sułtan, Agowie i Mirzowie schylili czoła, a prawe dłonie do lewego boku przyłożyli. Hetman nakrył głowę, i wszyscy głowy nakryli.

— Panowie bracia, jutro Bóg da sprobujemy się z Moskalem; Moskal i liczny i mężny, ale i nam na sercach nie braknie, a ramion nie pożałujemy. Panowie bracia, ci co dowodzicie starym żołnierzem, powiedzcie im, niech w jednym dniu nie poszkapią sławy nabytej latami. Ci co macie pod sobą młodych żołnierzy, mówcie im, że jutro w jednym dniu mogą nabyć takiej sławy, jakiejby nie nabyli i przez pięćdziesiąt lat bezustannie wojując. A jedni i drudzy niech baczą na uczciwość wojskową, na cześć i zasługi jakich dostąpią przed Ojczyzną matką i przed Królem Jegomością. Panowie bracia, sprawiedliwość

przy nas, zwycięztwo dla nas! Weźmy się szczerze do roboty, a i Bóg będzie z nami.

Po tych słowach wszyscy spojrzeli na Hetmana, na niebo i na swoje szable. Poczem Hetman zawołał:

— Konia! —

W mig przyprowadzono mu wronego rumaka, wskoczył na koń; Obożny Nosacz, dwaj Asawułowie Mazepa i Brzuchowiecki także wskoczyli na swoje konie. Hetman jeszcze raz pokłonił się starszyznie, i pojechał objeżdżać obóz.

Z prawego skrzydła z pomiędzy taborów sunie się piesze kozactwo, i pięć tysięcy się wysunęło, przed niem na czele Hułanicki. U pasów błyszczą obosieczne siekiery, w ręku jedni niosą samopały, drudzy rohatyny z kosami oprawnemi na prawiec. W prawo gdzieś się pociągnęli, a idą wilczym chodem, i jak wiley w jarugi się cisną. I z tatarskiego kosza mnogie tabuny jazdy poszłapały, a tak cicho, że tylko słychać głuchy szelest, niby padanie liścia w jesieni, i pobrzękiwanie niby świerkanie konika polnego: to podzwanianie wędzideł; tamto głaskanie szuwaru kopytami końskiemi.

Hetman powrócił z objazdu, i wkrótce wszystko ucichło tak jak gdyby nikt do niczego nie zabierał się na jutro. Hetman usnąć nie mógł, tak mu się myśli tłoczą a tłoczą do głowy, a wszystko wojenne. Pod namiotem mu duszno, wyszedł przed namiot o kilkaset kroków, i usiadł na gołym stepie; patrzał to na księżyc, to na step, a dumał nie o księżycu, nie o stepie. W tem doleciało mu do ucha drumkanie teorbanu i głos pieśni:

Wyje wicher, Dnieper szumi,
Ho, ho! orle to rozumie.
Z ponad Dniepru orląt troje,
Szparko leci, het na boje.

Wszystkie troje tegoż rodu,
Ho, ho! na krew wprawne z młodu.
W Ukrainie bój się toczy,
W Ukrainie ptak ochoczy.

Tam mogiła za mogiłą,
Ho, ho! orłom dobrze było.
Wrogów siła, bójki hukiem,
Z sępem, z czaplą, z wroną, z krukiem.

Tam Zuzula także była.
Ho, ho! to to ptaszka miła;
Jedno orle przywabiła,
I już więcej nie puściła.

Drugie takoż tam zostało.
Ho, ho! trzecie spanoszało.
Taj sokołom rej przywodzi,
Taj i orłów na bój wodzi.

Z po nad Dniepru, z nad padoła,
Ho, ho! orły swoje woła,
Za orłami matka płacze,
Za orłami ojciec kracze.

Szparki orle, mój hetmanie,
Ho, ho! zawierz w me gadanie;
Taj w Zuzuli nie wierz słowa,
Bo to ptaszka, białogłowa.

Hetman wstał, okiem szukał śpiewaka, i w tej stronie skąd słychać było drumkanie nikogo nie nadybał, choć na stepie było jasno. Koło siebie spostrzegł swoich dwóch braci Konstantyna i Daniela.

— Słyszeliście?

— Słyszeliśmy.

— A czy nie widzicie tam kogo?

— Szukamy okiem, a nie widzimy. —

Czaty widać, ale nikogo więcej na stepie; i trzej bracia wracali ku namiotom, a księżyc płynął swoją drogą.

Jeszcze świt niewidny, tylko majaczeje niby, a już pan cymbałista w kotły dzwoni. Ranny to ptaszek, dzisiaj wszystkie ptaki stepu uprzedził: on widno czekał świtu z dumką: kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. I Kozacy i Lachowie rozczumanieni, żywo, żwawo biorą się do broni i do koni. Sułtan Gałga trzy razy od ucha sprał nahajem srebrny kocioł; srebro dźwięknęło a horda wskoczyła na koń.

Świt zajaśniał, dzień biały za nim tuż. Orzeł znowu latał pod niebiosami i patrzał.

Kniaź Trubecki sprawia szyk swojego wojska; rotnictwo piesze za rogatkami staje, na skrzydła kopijnicy się wysuwają, na koń siadają roty bojarskie; kniaź Pożarski aż ku mostowi pociągnął swoje pułki po nad samą rzeką, na dawnym jakimś przekopie ustawił harmaty, taborami wozów jak płotem się ogrodził; a od Trubeckiego tylko nieszeroka smuga nadbrzeżnej sianożęci go przedziela. Mamaj sułtan Kałmuków na koń wsadził i po obu stronach mostu trzyma hordę w pogotowiu do puszczenia na czambuł. Z Konotopów Iwan Neczaj prowadzi do moskiewskiego obozu pułki starego Kozactwa: idą pod jego wodzą Hładki, Skorupadzki, Butowicz, Apostoł, Samujłowicz, Krzyżanowski, pułkownicy starzy jeszcze Bohdanka Chmielnickiego. Suną jak chmura, a ile razy spojrzą w prawo, to tak

zasumują, że aż orłowi smutno na nich patrzeć. Marcin Cieciura został w konotopskim zamku w odwodzie; tak kazał kniaź Trubecki.

W górze rzeki od Taruczy, głębokim przekopem, świeżo wyrzuconym, tłum zbrojnego ludu dosunął się aż do samej wody; przed tym tłumem tatarska horda słania się to w lewo, to w prawo, jak fale morskie, nim się rozkołyszą, i poczną tabunami bałwanów skakać; i na prawy brzeg Desny horda przebrała się takoż, jak rąbem oczom tych co z ziemi patrzą, zakrywa co tłum pieszego ludu robi; ale orzel z pod niebios wszystko widzi.

Hulanicki ze swoimi zerknął okiem ku mostowi, sam poprobował dna, webrnął w wodę po pas, po szyję, wyszedł i machnął ręką. W duch Kozactwo kopice siana, oczeret, łozinę waliło w rzekę, i calcem ziemi przykrywało. Robotnicy to ochoczy, groble umieją sypać, bo tam będą zastawki nie na młyn, ale na moskiewską jazdę.

Już gdzieniegdzie Kałmucy z Tatarami, jak charciaki przyskakują do siebie na harc, kiedy Hulanicki przemówił do Nuradyna:

— Sułtanie Nuradynie, bracie wojenny, weź dwadzieścia Kozaków, a na sokolich bachmatach pchnij w górę ku Taruczy. Niech w taborze wszystkie zastawki zrzucą, niech groble rozkopują. Wody, wody nam trzeba, żeby nasze młyny pomełły. — Obrócił się do Kozactwa: Nuże bracia, tutaj trochę drogę dla wody przekopać — wskazał ręką na smugę — żebyśmy pomełli Moskwę.

Tłum Tatarów czwałem kopnął się w górę, mirżowie na ich czele; i nowa droga dla wody się żłobiła, i grobla jak na drożdżach rosła.

Słońce wzeszło. Po raz drugi, po raz trzeci cymbalista zadwonił w kotły. Hetman na koniu, bój zawietrzył, bój wypatrzył. Oczy u niego iskrzące jak promienie słońca, a twarz jasna jak samo słońce. Pułkownicy przed pułkami, atamani kurenni przed kureniami stoją. Za nim jedzie starszyzna, a na jej czele pan Pisarz. Włosień buńczuka drze się od wiatru, biały Anioł kąpie się w czerwonej chorągwi; tuż przy nim asawułowie na koniach hasają, sami wertcy, oczy i uszy do Hetmana nastawili, a konie pod nimi wrą kipiączką ognia.

Pisarz wedle woli Hetmana sprawił wojsko. Prawe skrzydło Potocki husarzami trzymał, Hetman cześć gościnności Lachom oddał; przy nim pancerne chorągwie pod Jabłonowskim; za nim w odwodzie Łączyńskiego dragonja, i cała horda Gałgi Sułtana poustawiana kazanami, a dowództwo nad tem skrzydłem miał Potocki.

Na lewem skrzydle z rejestrową jazdą stał Daniel Wyhowski, na wilczatym koniu z czarną pręgą, oko w oko patrzał szwa-

growi Neczajowi. Obok niego piesze tabory, pod Niemiryczem Lesnickim, Sową, Pawłenkiem i Hohołem. Z tyłu w odwodzie jazda Humańska pod Zieleniecklem i Popeńkiem, i tam dowodził obożny Nosacz. Hetman Kozactwo wystawił, żeby krwi własnej nie wiele się lało.

Rdzeń bitwy stanowiło szesnaście tysięcy konnych Zaporożców, kureniami w pół-księżyc ustawionych. Chanenko im watażył, a za nim Mohyła, Tetera, Konstantyn Wyhowski, oba Serki, Samka, Czayka, Woronicz, Zuzulicz, i inne ptaki Zaporoża, wszystkie ochocze do lotu, wszystkie drapieżne na krew. Przed nimi ośm harmatek pod nadzorem Kunickiego, a za nimi reszta piechoty pod zarządem Proskury, i luzactwo w tabory pozbierane. Sam Hetman temu rdzeniowi bitwy przywodził.

Skoro Hetman przyjechał przed wojsko, stanął, obrócił się ku wschodzącemu słońcu, zdjął czapkę, głowę pochylił:

— Hospody Boże, pomyłuj nas! —

I całe Kozactwo czapki rzuciło, i Bogu się kłoniło i zawołało:

— Hospody Boże! pomyłuj nas! —

Lachowie po swojemu się odezwali:

— Panie Boże, zmiłuj się nad nami. —

Hetman nadział czapkę, i Kozacy czapki nadziali. Hetman jak białozor, w prawo, w lewo zerknął po polu okiem. Nuradyna hordy już czambułują. Hetmanowi na słowa nie czas; krzywą szablą po czapce stuknął, znany to znak, asawułowie poskoczyli końmi ksobie, od siebie, i całe wojsko ruszyło z miejsca; ziemia jęknęła, powietrze zadźwięczało, i ziemia jęczy, i powietrze szumi w uszy Moskwie.

Dziw! dziw Moskwie! Desna cicha, spokojna, rozhulała się; wyskoczyła z łoża, i taszczy się smugą sianożęci, i leje się w Pożarkiego obóz; ratnictwo w trwodze, puszkarze harmat odbiegają; a tu Zaporożec idzie, Lachy idą, i Hulanicki ze swojem Kozactwem bieży do mostu.

Trubecki w pole swoich wyprowadza. Już kopijnicy zwarli się z pancernymi i husarzami, i wstecz od siebie odskoczyli. Już i na lewo dwaj szwagrowie pierwszy pocałunek sobie dali, kiedy zagrały kozacze harmaty, bryzgnęły raz, drugi i trzeci. Moskwa przy rogatkach się kupi, chłop do chłopa się ściska, jak mur stoi. Trubecki na przedzie serca dodaje, a Zaporoże idzie.

Chwilkę harmaty umilkły, dym się rozwiał. Widno jak Hetman trzy razy czaple pióro szablą pogłaskał, koniem kopnął, i wszystkie kurenie z kopyta pomknęły, a mołodce w usta klasnęli.

— Sława Bohu! sława Bohu! —

I Lachy po swojemu prą, i rejestrowce prą.

Kopijnicy i roty bojarskie zwinęli się za ratników; ratnicy

drżą w kolanach, a oddychać im trudno, tak wicher na nich prze; z samopałów palą, nastawili rohatyny. Trubecki ledwie wykrzyknąć może: Stać!

Tak i jemu w piersiach zapiera głos; a Zaporoże taszczy się; za nimi, przed nimi, w około nich tuman, za kurzem świata bożego nie widać. Już na rogatki wskakują, przez rogatki wskoczyli, kolą, sieką Moskwę, a po djablemu wrzeszczą. Moskwa broni się, pada, w wodę skacze, i jęczy w niebowrzaski. Ztamtąd taki wrzask i jęk, jak gdyby piekło na ziemi wybrnęło, a tak się wszystko mięsza, taki dym kurzu, że i orle oko tam nie przejrzeć nie zdoła.

Ale na moście to widno. Akinof, Pożarski przebrali się z garstką na tamtą stronę rzeki, a resztę Hulanicki zachwycił ze swoimi, morduje i topi. Łączyńskiego dragonja jak do nurków, do pływających pali, a Nuradyna horda rozgoniwszy na cztery wiatry Kałmuków, chwyta w jasyr, który się wymknie z pod kozaczego noża, albo z pod lackiej kulki.

Na lewem skrzydle nie tak się działo. Stary Neczaj taborem się obsłonił i kroku nie ustąpił. Darmo Nosacz i jazdą nacierał, i piechotę podprowadzał; Neczaj nie kazał z samopałów palić, ale zjeżać się kosami rohatyn. Daniel Wyhowski ze swoimi moskiewskich kopijników zajął, i tłukł na zgniłe jabłko. Lesnicki wpadł na pułk Pożarskiego przybyły w pomoc Kozactwu, i tam ochocił się do woli, a resztę Nosacz wyprowadził z taboru, i wiódł wprost na Kosactwo Neczaja; jazda Popeńka i Zielenickiego szła za nimi. Kozactwo z Kozactwem miało się krwawić bratnimi rękoma.

Nad obozem Trubeckiego już trochę przejaśniało. Ratnicy broń rzucają, a Kozacy i Lachy kolą, sieką, żywych ludzi do Jasyra Tatarom nie dają. I nowe i stare koryto Desny topiącemi się ludźmi zasute. Hulanicki już nie tylko na moście topi, ale i za most się przebrał, i swoim pozwolił po brzegach hulać; i konie bez jezdców tabunami biegają, a Desna płynie, mija trupy i nurza topielców.

Widno już i czaple pióro Hetmana. Wybrnął z rzezi; przy nim nie wszyscy Assawułowie, a Starszyzna pomaleńku się ściąga takoż z rzezi. Żwawo obrzucił wzrokiem po polu.

— Mazepa, niech Proskura tu ze swoimi przyjdzie zrobić ład, a żwawo. —

Mazepa poskoczył koniem.

— Panie Pisarzu, Atamani Kurenni niech Kurenie zbierają.

Doroszenko zwinął koniem i pojechał.

— Kordysz, panów Lachów prosić, niech na swoich każą trąbić do porządku. —

Kordysz jak błyskawica koniem pokocił.

— Gdzie Brzuchowiecki?

— Ot jedzie. —

Brzuchowiecki wiózł przed sobą kniazia Trubeckiego rannego. Hetman ujął jeńca za rękę.

— Kniaziu, losy bitwy w mocy Bożej. Kamieński, miej staranie o Kniaziu, jak o mnie samym. A ty Brzuchowiecki, weź jazdę Popeńka i Zielenieckiego, całą hordę Sułtana Gałgi; przebrać się za rzekę, i w pogoń za tymi co uciekli; tylko nie czambułować po wioskach, ale wroga tępić. Rozumiesz.

— Rozumiem — dziko Brzuchowiecki mruknął, i zaciął konia nahajem jak gdyby mu chciał bok przeciąć, a koń tak wyskoczył, jak gdyby go darł ze skóry.

Trubecki ranny milczał, a hetman ze starszyzną i z dwoma Kureniami tylko poskoczył ku Kozactwu Neczaja.

Hetman skakał koniem po samym przodzie, czaple pióro ku Kozactwu powiewało, a wiatr jak gdyby naumyślnie białym aniołem i krasną chorągwią wjał w oczy Kozactwu. Oni na to patrzą, patrzą i na braci idących na nich. Smutno im, ale broń gotową trzymają. Neczaj nie wytrzymał, krzyknął:

— Na dół rohatyny. —

I sam wyskoczył z tabora, biegł ku hetmanowi, i zadyszanym głosem wołał:

— Niech żyje nasz Hetman! —

Hetman zsiadł z konia, ściskał się z Neczajem, i coś mu szepnął w ucho, ale bliscy tylko koniec dosłyszeli.

— Com przyrzekł, to dotrzymam. —

Kozacy się bratali i wołali:

— Niech żyje nasz Hetman! —

— A gdzie Marcin Cieciura?

— W Konotopie. — Odpowiedział Neczaj i patrzył w oczy Hetmanowi, jak gdyby chciał jeszcze coś mówić.

— Bracie Neczaju, twój lud świeży, niezmordowany; ruszysz do Konotop. Daniel Wyhowski z jazdą pójdzie pod twoje rozkazy. Oszczędzać krew bratnią; ztamtąd pójdziesz pod Putywel, tam się złączymy. —

Hetman odwrócił się i pojechał, a Neczajowi łzy w oczach stały.

— Pójdę i na samego djabła, i zrobię co ty każesz Ojcze Hetmanie, już my teraz do śmierci się nie rozłączymy; taki lwaśko jak zawsze był: to mi człowiek. —

Już w pochodzie po kilka razy ściskał Daniela.

— Twoja Helena zdrowa jak rybka; płacze, ale oczów nie wypłacze, jeszcze będą ładniejsze jak ciebie zobaczy. A tego psa Cieciurę na haku zawieszę. —

Daniel mało pytał o Helenę, ale tak mu śpieszno było, że radby całe Kozactwo zabrać na wilczatego, i z niem dernąć do Konotopa sumakiem, sokołem.

Słońce już dobrze ku zachodowi się miało; rzeź ustała. Tatarstwo nie wiele sztuk naspędzało do Jasyra, ale matka ziemia to miała trupów taki huk, że stu karbowych jednego dniaby ich przeliczyć nie mogło. Desna czerwona od krwi, a trupy kupami jak spławy pluszczą się po wodzie; gdzie niegdzie już i w grobie się poskupiały.

Harmaty burzące, broni siła, siła koni, namioty, sprzęty, przybory, wszystko to się w łupie dostało. Trzysta chorągiew, a między niemi chorągiew carska i srebrne kotły carskie pod namiot hetmański znoszono, a Hetmana tam nie było. On był przy umierającym Kniaziu Trubeckim. I ostatnie słowa konającego Kniazia, po żałobie nad straconem wojskiem, po żałobie nad pierwszą przegraną, były do Hetmana:

— Bóg ci zapłać! —

Hetman wyszedł stamtąd, ale już nie takich jaskrawych oczów, nie takiej jasnej twarzy. Po swojemu tęskną dumką się osnuł. Kazał rannym dawać staranie, i przepatrywał swoje wojsko. Pyta o Daszka: a Daszkową szablę mu przyniesiono. Daszkowi już nią nie błyskać po tym tu świecie!

Pyta o Możajskiego: i konia Możajskiego mu przyprowadzono. Już Możajskiemu na nim nie hasać po tym tu świecie!

Pyta o towarzyszów Zaporoża, o młodźców Ukrainy, o braci Lachów; którego tylko oko jego szuka, a nie nadybuje, a jemu mówią, że już się z nimi nie spotka na tym tu świecie.

Schylił czoło ku ziemi, i czaple pióro ku ziemi się kłoniło, krzywa szabla drzemała w pochwie, a oczyma nie patrzał na Kozactwo, tylko tęsknym głosem rzekł:

— Bracia, grzebać ciała, sypać mogiły. —

I wnet wszyscy kopali domy wiecznego spoczynku i sypali zamki mogiły, dla sławy kozaczej, dla uczciwości wojskowej, dla pamięci ludzkiej.

Kapłani Boży święcili mogiły, lud zbrojny się modlił, i Hetman się modlił z odkrytą głową.

Słońce już już zapadało za ziemię, i jak gdyby umyślnie chwilkę pół twarzą się zatrzymało. Nad Desną i po stepie orły krakały na dobranoc — i słońcu i sutemu żyrowi: Do jutra! Do jutra! Całe wojsko było pod bronią, i na koniach. I Hetman na koniu. Ostatni promień słońca czepiał się po czaplem piórze, twarz Hetmana była weselsza, sprawił wojsko, machnął ręką, i poszli w pochód ku Putywlowi.

II.

PUTYWELSKI ZAMEK.

Złoty ptak Ukrainy, Hetman, Kozactwa kochanie, Hetman, kozacza chluba, jednego dnia do wschodu od zachodu słońca, całą siłę Moskwy w Desnie zatopił. Z tego ogromnego wojska ledwie dziesiątek tysięcy pierzchnął, i z tych zbiegów jeszcze dwie połowy Zaporoże wynizało na spisy; bo Hetman nie spoczynkiem obchodził zwycięztwo, ale na wsze strony rozpuścił pogonie, aż do granic samej Moskwy. Zamki odbierał, szlaki oczyszczał, a Kozactwo raźnie, ochoczo pracowało, bo dla niego spoczynek to śmierć, a ruch to życie. Przejdą wieki, pomrą ludzie, a sława Hetmańska żyć będzie po wiek wieków, orły orłom będą odkrakiwały: Tu było krwi, tu było krwi, tu było ścierwa, tu był żer. Ludzie ludziom będą opowiadali o Konotopskiej bitwie, o Janie Wyhowskim. Mogiły będą gadać do oczów, wiatr będzie gwizdać do uszów, a wszystko o Janie Wyhowskim, a wszystko o bitwie Konotopskiej.

Widno Putywel Kozaczy; położył się po nad rzeką, w samym kolanie, tak jakby się ona umyślnie umknęła na jego posadę; z trzech stron srebrną szarfą uwija miasto, a z czwartej wznosi się wysoki wał. Na mogile siwieje stary zamek, jak stary sokoł na skale, a koło niego narożne baszty jak sokolęta: trzema kopułami w niebo strzela cerkiew przeczystej Dziewicy, i trzy krzyże złocą się w powietrzu, jak gdyby trzy gwiazdki spadły na kopuły, i Bożem błogosławieństwem nad niemi błyszczały. I dzwonnica z za cerkrwi wyziera ciekawie, radaby zagadać do ludu Bożego.

Dwoma szlakami dwa wojska schodziły się pod Putywel: jedno prowadzi sam Hetman, drugie stary Neczaj; przed Hetmańskiem wojskiem biegła Zaporozka jazda; przed wojskiem Neczaja prowadził jazdę Daniel Wyhowski; i jakaś zmara go napadła. Sam niej swój, a koniem bałamuci; nie zastał w Konotopie czarnobrewki, i kozacza tęsknica go napadła; nie miał kochania, chciałby złość skrupić w bójce, a tu nikt bić się nie

wychodzi. W Putywlu brzęczą dzwony pokojem, bramy się otwierają, i lud pieszy idzie z chorągwiami, z chlebem, z solą, a po jego czele starszyzna z odkrytemi głowami, a po ich przodku Marcin Cieciura, z wnurzonym w ziemię wzrokiem, taki pokorny, jak gdyby szedł w pieczary Kijowskie, w odwiedziny do błogosławionych pańskich. I Daniel i Nosacz go poznali, obóm w oczach było gniewno, obóm ręce zwinęły się do rękojeść szabel, ale sam Hetman sadził koniem ku temu ludowi.

Zna Cieciura wronego konia, jak kruk czarny, tylko chrapa podpalała, i biała strzałka na chrapie; na tym samym Wyhowski pisarzował pod Chmielnickim; na tym samym dziś hetmani kozactwu. Zna Cieciura dobrze tego męża, nie ulękł się — tylko na talerzu chleb i sól z kluczami bramy ku niemu podnosi, i woła:

— W Imię króla Jegomości, laski i przebaczenia. — Hetman wziął w rękę chleb, posolił, złamał na dwoje, jedną część poniósł do ust, drugą dał Cieciurze.

— Chleb i sól jedzmy, braterstwo nam! —

I Cieciura i lud cały odpowiedział okrzykiem:

— Cześć tobie nasz Ojcze! Cześć, cześć, nasz Hetmanie, cześć tobie Matko Polsko! —

A w Putywlu dzwony wesele głosiły na daleko, na szeroko.

Więcej trzystu Bojarów chroniących się do Putywla, Cieciura kazał w kajdany pokuć i przedstawił Hetmanowi jako jeńców, niemniej rozbrojonego ratnictwa z górą tysiąc, siła chorągwi, i innych zdobyczy. Hetman kazał to wszystko przyjąć, jeńcom zdjąć kajdany, powiadając: że sama niewola i bez tego ciężka; a czoło jego ciągle było tęskne.

Później powitał braci kozaków dawno widziany i czoło jego zaweselało trochę.

Daniel Wyhowski, stary Neczaj o żony pytają, a czarnobrewek tam nie masz. Cieciura zaklina się na matkę, w ojca, w Boga, w djabła, że nie wie gdzie się podziały. Po wycieczce z Konotop znikły z obozu i w Putywlu nikt ich nie widział. Stary Neczaj czerkieską szaszką byłby go na pół przeciął, i Dawid Wyhowski byłby go Damasceńskim pałaszem płatnął, ale Hetman jadł z nim chleb z solą: oba szwagrowie poszli do Hetmana.

Hetman wypytywał Cieciurę i nic więcej się nie dowiedział, tylko że obiedwie córy Chmielnickiego w pochodzie ujechały ze starym Wysoczanem pułkownikiem Putniańskiego pułku, tak że on Cieciura o tem ani wiedział.

Kiedy bracia Lachowie i Starszyzna Zaporoża prosiła Hetmana, żeby psu Cieciurze nie wierzył, i po Lacku kazał z niego ciągnąć słówka, on odpowiedział:

— Kiedy syn choćby jaki, przyjdzie do ojca i prosi o miłość, ojciec mu ją daje. A ja ojciec kozaczego ludu, ja tu zastępca

Króla Jegomości, a on kozak syn matki Polski; chleb i sól z nim jadłem, między nami cała przeszłość zapomniana, a na przyszłość Bóg będzie patrzał. Ojczyzna ma nagrody i kary. Sprawa Neczaja i Wyhowskiego to nie sprawa Polski. Marcin Cieciura nasz brat, stanie przed Królem Jegomością i przebłaga za swoje winy; jam rękojmią jego wolności i jego życia: jam poręczyciel jego wolności przed matką Polską. Dzisiaj żadnych sporów, żadnych zwad, ja proszę, ja każę. —

Nikt i słowa już więcej nie mówił o tej rzeczy, bo prędzejby się znalazł znachor na tym świecie, coby siny Dniepr na lichy ruczaj przeczarował, jak wołę Hetmańską zmienił na jeden włos.

Hetman pisał zarzucić bogatemi podarkami namioty Sułtanów Gałki i Nuradyna; między Tatarstwo hojne pieniądze wysypał w większej części ze swojej własnej szkatuły i odprawił z mową:

Panowie sprzymierzeni Króla Jegomości naszego i Rzeczy. pospolitej, kiedy wola, czambułujcie po Moskiewszczyznie, a na kozaczej ziemi mir, mir; pókiście nam druhy i my wam druhy. Bogdajby drużba między nami była po wiek wieków, a jak zechcecie być wrogami, to i my mamy szable. Bogdaj tego Bóg nigdy nie dopuścił.

— W imię Allaha, w imię proroka, przyrzekamy, że nigdy z tobą miru nie zerwiemy. —

Odpowiedzieli Sułtanowie obadwaj i wszyscy trzej dobyli pałaszów i w misie z wodą zanurzyli ich końce, na znak że ich nigdy w swojej krwi nie chcą maczać; po czem prawe ręce przyłożyli do serca, znak to że między ich sercami i ramionami sojusz zawarty.

Tatarstwo dowolne, rade, prażnik między kozactwem. Jedzą, piją, hulają a nie sumują, nie dumają, i czarnobrewe Putywlanki jak ptaki krasnopióre na obóz naleciały, teorbaniści w teorbany drum, drum, pobrzękują; cymbaliści w cymbały brynk, brank dzwonią. Mołodyce i dziewki tną trapaka, w hołubce płaszczą, a mołodce w prysiudy, w poskoki zahulali, gromko, szumno, raźno, ochoczo.

I stary dziad, dudarz nadnieprowy dumkę zawodzi.

Hej, hej z naszej Ukrainy
Idą, idą djable syny,
Pan Wyhowski w samym przedzie
Djablich synów k' Moskwie wiedzie.

Za nim, za nim Doroszenko,
Pod nim siwy koniczenko,
Nasz Chorąży, nasz Hryhory.
Pod nim karasz, silny, spory

Biały Anioł srebrem sieje.
Kary buńczuk z wiatrem wieje;
Cymbalista w kotły wali,
Asawulstwo w bój się pali.

Atamani hajdamaki,
Zaporoża wiodą ptaki;
Pułkownicy orle syny
Wiodą pułki Ukrainy.

Bracia Lachy suną z nami,
Z nami, z nami Kozakami
Pan Wyhowski w samym przedzie
Wszystkie wojsko w taniec wiedzie.

Idą Lachy na trzy szlaki,
A na cztery nasze ptaki,
A Tatary pole kryli,
Brali w Jasyr, co my bili.

A dziewczęta tam rżną żyto,
Bławat sieją pod kopyto;
A kosarze owies koszą,
O zwycięstwo dla nas proszą.

W naszej ziemi Moskwa stała;
Hejże po nich hala drała.
W czapkę Hetman szablą stuknął,
Hala, drała, w taniec huknął.

Hala, drała, siaki taki,
Hejże, Lachy, hej Kozaki!
Zaporoże hej w prysiudy!
Siecze, kole, siudy, tudy.

Oj nie długo tam się wlekło
Wichrem wmiotli Moskwę w piekło.
W górę czapki leeą stadem.
Krzyki w uszy biją gradem.

Sława tobie Boże Panie,
Żyj i panuj nasz Hetmanie.
Matko Polsko cześć twej sprawie!
Królu ojcze, żyj, żyj w sławie!

I nasz Hetman dobrze zrobił,
Zbawił Polskę, Moskwę pobił.
Sława tobie Boże Panie,
Żyj i panuj nasz Hetmanie!

Kozactwo się weseliło. Lachom wygadzali, zwyczajnie braciom, gościom. A Hetman w zamku nie spoczywał, nie weselił się; po bitwach, po zwycięztwach sprawiał kraj kozaczy.

Ranek począł świtać. O na jakąż to tam hulankę poczyna zabierać się na świecie Bożym. Jak step długi, jak step szeroki

tam het, śpiewacy ptakowie świergoczą; świergoczą i w czarnej puszczy. Po nad Semem jaskółka się muska, pluska się rybka w Semie, dobry dzień sobie powiadają. I czajki ptaki kozacze biją się skrzydłami po nad bagnem, ki-hi ki-hi po kozaczemu kihiczą. W oczerecie buhaj po moskiewsku buczy; rosa perłami się bieli, djamentami błyszczy, bo już i złote słońce wzeszło. A w Putywlu nie wiele jeszcze ruchu, w kozaczym obozie mniej jeszcze. Kozactwo hulało aż do białego dnia a teraz przysnęło trochę na jednem uchu.

Daniel Wyhowski i Iwan Neczaj wybierali się w drogę szukać czarnobrewek, a dwaj bracia Sirkowie oka nie zmrużyli, równo ze świtem wybiegli w pole. Starszy jak lis koło futoru myszkował koło hordy, czy nie można myszkiem zachapać co ze zdobyczy tatarskich, bo to kozacka rzecz. Młodszemu wpadła w oko dziewczyna Putywlańskiego osadniczego; poszedł wilać się, czy czasem hołubka nie wyjdzie pleć w ogrodzie, albo prać chusty u rzeki; chciałby z nią poświegotać, pomrugać, bo i to kozacka rzecz.

Osadniczego chata była za wałami nad samem bagnem, które długim obszarem ciągnęło się aż pod Putywlańską puszczę; djabeł sam tylko mógł tamtędy się przebrać. Sirko złodziejem czaił się pod płotem, nawet przysłonił się kuszczem łoziny; stał, czekał, wyglądał, i znudził się. Zaczął krzakać, pokaszliwać, jak gdyby kto o tem wiedział, że on tam czeka; potem pogwizdował jak na charta, jak na sokoła i mruknął: psia wiara trzystaby djabłów ją piekło. Już z krzaka wyhulknął, machnął ręką.

— Et, to nie warto tyle zachodu! —

A w tem w kapuście pod konopiami zamajaczała mu zapaska. Ho! ho! jego oko sokole na te ptaszki; jak sarna przez płot skoczył, żerdzi i obcasem nie dotknął, i wprost jak na oślep przez grządki walił, na przepadłe łomotał czosnek i cebule, znać że wołokita nie gospodarz. Dziewczyna pleć przestała, patrzy, poznała co to za djabeł, gwałtem trzyma oczko od mrugu, usta od pustego śmiechu.

Sirko ruchem się składa, okiem się wdzięczy.

— Dobry dzień harna dziewczyno. —

— Dobry dzień Panie Kozacze. —

Sirko zapomniał od czego zacząć, dziewica się uśmiechnęła.

— A czego wy chcecie Panie Kozacze? chleba, soli, czy krynicznej wody? —

— Ani jeść, ani pić mi się nie chce, ale ty dziewczyno, taka harna, żeby cię djabeł porwał!

— Z doprawdy?

— Z doprawdy, z doprawdy; przysięgam Bogu, jak matkę kocham. — I chciał ją wziąść za rękę, ale dziewczę się drażniło.

— Dajcie mnie czysty pokój. —

Oj dam co zechcesz, tylko kochaj mnie! —

— Jeszcze czego nie stało; albo to ty mnie ojciec, czy matka? —

— Oj kochaj mnie dziewczyno moja! —

— Jam nie twoja. —

— Jedno słówko powiedz, a będziesz moja! —

— Z doprawdy? A gdzież wy mnie Panie Kozacze zawiedziecie? —

— Nad Dnieper, w zamek; będziesz tam panowała jak Laszka Pani. —

— Z doprawdy?.. —

— W jedwabiach będziesz chodziła, na puchu spała. —

— Patrzaj! —

— I obrazek każę z ciebie wymalować na adamaszku. —

— A zkąd na to wszystko pieniądze? —

— Koniem, spisą zdobędę, a jak nie, to i konia i spisę przedam, a będą pieniądze. —

Dziewczyna się śmiała, dziewczyna mrugała.

Hoj! hoj! co tu obietnic! ale wy wiecie Panie Kozacze, obiecanka, cacanka. —

— Panie Boże tak mnie wspomagaj; niech mnie wszyscy djabli porwą, jeśli nie dotrzymam co przyrzekam. Oj dziewczyno moja łastówko, kochaj mnie, kochaj mnie! —

Tak się prosił, w prysiudy przysiadł, i obie rączki dziewczęcia już miał w swojej ręce: aż tu nagle dziewczyna wyrwała rączki:

— Uciekaj! chowaj się! —

Kilka kroków w bok odskokczyła, i poczęła pleć jak gdyby nie nie było.

Sirko schował się w konopie, w kuczki przysiadł, i łaso na dziewczynę patrzał, jak kot na mysz; aż tu trzech ludzi koło niego przeszło. Poznał: byli to Marcin Cieciura, osadniczy Prokop, i jakiś dziad rudobrody jak szerszeń, piegowaty i zielonawych oczów. Przez płot przeleźli i jeszcze tam długo z sobą rozmawiali. Potem dziad poszedł wprost w bagno, a Cieciura z Prokopem wracali.

— No, już to jak on chodzi przez to bagno, to djabeł to wie? —

— No wielkie dziwo, nie koń to koniaka; djabeł a on, to niby to nie wszystko jedno. —

— Mniejsza o to, ale on nam pomoże Wyhoszczukom sadła zalać. —

Prokop spojrzał na córkę.

— Parasko moja, co tobie tak na pracę się wzięło? —

— Trzeba pleć żeby ziele nie zagłuszyło kapusty. —

— Ale najmyczkaby to zrobiła! —

— O ona tak nie zrobi jak ja. —

— Oj ty robotnica! Chodźno teraz z nami. —

— Nie mogę, niech dopielę. — I oczkiem spojrzała w konopie.

Cieciura odrzekł:

— Zostaw ją kiedy tak chce, będzie jeszcze czas, byle przed wieczorem. —

Szli ku chacie, a Sirko ich okiem popędzał.

W obozie kozaczym Daniel Wyhowski sierdził się a miłczał. Stary Neczaj osełedec targał i mruczał.

— Służba to nie radość. Dobrze to mówią, cudza bieda to ludziom śmiech. Jemu to nie... a u mnie żonki jak nie ma, tak nie ma, tak nie ma. Nieboga gdzieś tam gorzkiemi łzami płacze, a tu Iwaśko nie pozwala ruszyć na ratunek. —

Daniel Wyhowski przystąpił.

— Bracie Iwanie, jak ty myślisz o tym Wysoczaninie. —

— Ba, djabeł go wie. —

— Mnie się jego wiara nie zdaje bardzo szczera. —

— Bóg to święty wie, teraz taki paskudny czas nastał, że i sam sobie człowiek nie wierzy. —

— Żeby no on czasem nie był w zmowie z tym psem Cieciurą? —

— Tateż oni często z sobą rozmawiali. —

— A o czem? —

— To o tem, to o owem; a djabliby ich tam podsłuchiwali, albo spamiętywali. Słowa to nie taka łakoma rzecz dla mnie; co jednem uchem wleci, to drugiem wyleci; jak przyszło, tak poszło. —

Stary Neczaj nieprzyjaciel słów, kiedy ochota kozacza rozczumani serce, teraz w kozaczej chandrze niemi szafuje, zwyczajnie lichą, zdawkową monetą. I boi się o czarnobrewkę i żal mu jej. A Daniel słowami skąpi a zębem zgrzyta. W tem nadszedł młodszy Sirko. — Tak mu jakoś dobrze z oczów patrzy, jak myśliwcowi po uszczwaniu gracza zająca, a wąs podmuskiwał i nogą podrzucał, jak człowiek co to zrobił jakieś chwactwo. Nic nie mówi, a chciał żeby jego popytano, bo mu język świerzbi; a tu jak na złość nikt o nic nie pytał.

— Ha, trzystaby jego matkę, co ładny to ładny ranek dziś. —

— Nie było odpowiedzi. —

— Ojcze Neczaju, co wam takiego na wąsy wsiadło? —

— Ot, tak sobie. —

— He! he! i Pan Daniel coś taki chmurny, jak gdyby miał burzą sypnąć na świat: tak to kiedyś nie bywało, pamiętają jak to my Kijowiankom sprawiali zabawę? —

— E!.. —

— Nie ekajno tak panie bracie, ot chodź ze mną, zobaczysz jakie Putywlanki. Jak zajrzysz mołodyce, czy dziewczynę, to aż ledwie człowiek ze skóry nie wyskoczy, tak chce rączki jej dotknąć. —

Daniel Wyhowski odwrócił się.

— Prawda, że to ty żonaty. Biedny chłopcze, i na co to było robić takie kiepstwo; nie lepiejże to było zostać jak ja, jak Konstantyn, jak wszyscy chłopcy Zaporoża. Do nas dziewczęta śmieją się, za nami płaczą a na ciebie patrzą jak na nieboszczyka, jak na trupa jakiego. Niech mnie djabeł żywcem porwie, jeśli ja kiedy tę pohaną rzecz zrobię. —

Stary Neczaj zbliżył się do niego.

— I przestałbyś paplać. Siedemset tysięcy par djabłów byś zjadł, tobie śmiech, a nam płacz. —

Staremu Neczajowi łza w oczach stanęła, a na twarzy Sirka wesołość jakoś zaturbowała się.

— Przepraszam was ojcze Neczaju, daruj Danielu, nie przegniewajcie się. Ja nie myślał, żeby wam tak smutno było po żonkach, ale poczekajcie, ja wam dam dobrą radę. Zobaczycie, podziękujecie, mnie. —

— Co takiego? — Obadwa przystąpili bliżej.

— To psiawiara ten Marcin Cieciura . . . —

— Ha! co! — I uszy podkładli pod usta Sirka. A on opowiadał im wszystko co widział, a przytykał wargami, a kręcił głową. Nie zapomniał poczwarnić krasę Putywlańskiego dziewczęcia, ale obadwa szwagrowie nie słuchali tego nawet ani jednem uchem.

— Jedźmy panie bracie. —

— A ty Sirko pojedź z nami. —

— Ta czegoby ja dla was nie zrobił, ale pod warunkiem: że przed świtem tu będziemy, bo i ja mam swoją hołubkę na doświtki — pokręcił wąsa.

— Hej koni! — Oba szwagrowie wołali, i żaden nie zrobił tej roskoszy Sirkowi żeby spojrzał na jego minę, po pokręceniu wąsa, a on jechał dla nich.

Noc była — kury na północ przepiały; na Semie w oczerecie i na halawach kaczki dziwnemi głosy homonią w powietrze. Cyranka cyrka jak gdyby dziobem łamała suchy oczeret. Świstuny pogwizdują. Łyski drą się wrzaskiem. I hohole i podgorzałki, i płaskonose i krzyżówki kwaczą. Dzika gęś gęga, Putywelskiej straży zasnąć nie daje. Czarny bocian, nocny hajster dzióbem postukuje, a czapla powrzaskiem wypłakuje rybiego ścierwa. Na cerkwi putywlańskiej puszczyki puhuczą; po chuszczach putywlańskie słowiki pieją; dziwna mięszanina, ale świat Boży dla wszystkich.

W Putywlańskim zamku Hetman jeszcze czuwał. Już przestał pisać listy, myślą dumał, a wzrokiem wodził po komnacie. To ta sama komnata, w której po Beresteckiej wyprawie naradzał się Bohdan Chmielnicki z kilkoma ze starszyzny kozaczej.

Zabawiał się Hetman w grę przypomnienia. On wtenczas

był młody, niedawno pułkownik. Starszyzna ręce opuściła, zaniemiała jak kamień. Chmielnicki zwątpił, praworność go odbiegła, wódz przed starszyzną się tłumaczył.

— Ledwie nas pięćset koni, i to nieskorych do boju. Panowie kozacy zwyczajnie starszyzna, każdy o sobie myśli, ten Lacha, ten Moskala, ten Bisurmana się czepia; a chłopi kozacy powiadają: niechaj temu Pan Bóg daje, kto dla nas dobrze duma. Lach zbrojno zajechał nasze kraje. Bisurman het precz w Ostrowy pozaganiał Zaporoże. Moskwa załogi powsadzała w nasze zamki. Wyzuwici naszym po łacinie Boga każą chwalić. Bojarowie naszych w poddaństwo zapisują. Tatarzyn niechrzczona psiawiara, mołodyce, dziewice nasze w Jasyr goni; a my ani ludu nie mamy, ani grosza nie mamy, nie mamy za co zaczepić. Nic nam nie pozostaje tylko uciekać za Don, za Wołgę, i ztamtąd wyglądać co nam Bóg da, albo tam na czużynie położyć naszą kozaczą głowę. —

Wszyscy milczeli, usta nie śmiały powiedzieć, ale myśli wtórowały Chmielnickiemu: nie ma co robić, uciekajmy. Wtenczas młody Jan Wyhowski wziął papier, krótko napisał, i podał Chmielnickiemu.

— Ojcze, te słowa rozeszlij między lud wszej Ukrainy, a zobaczysz czy będzie trzeba nam uciekać, czy wszystkich nie podużamy. —

Hetman w głos odczytał te słowa:

— Od stepów Nizowskich, od Dońca, po Słucz, po Boh, na wszej Ukrainie, każdemu być Kozakiem. —

Starszyzna otworzyła oczy, nie rozumiała, ale Chmielnicki zrozumiał.

— Tak, tak, każdemu być Kozakiem; podużamy, zwyciężymy. Janie Wyhowski, ciebie mianuję pisarzem kozaczyny. Jak słowa Boże, tak te słowa obwieść, obesłać po wszej Ukrainie. —

Słowa wichrem poleciały, i rozwiały się po wszej Ukrainie, a widzieli ludzie co porodziły. Chłop kozacki już kozak biegł do broni, a kozak w domu nie siedział, bo by było i nie ładnie i nie wygodnie. Nie wiele czasu trzeba było żeby Ukraina kozaczą pieśń wolności zaśpiewała, i kozaczej swobody używała na całą gębę. I gdyby potem Pan Chmielnicki nie był szalał i mataczył, djabeł by się nie wmięszał w sprawy kozackie, i nie byłoby licha na kozaczyznie, z którego i sam Chmielniczenko spowiadał się przy śmierci: a kiedy śmierć człowieka garnie, to wtenczas z ust wychodzą słowa szczerej prawdy.

O owym to czasie rozpamiętywał Hetman, a potem już niedawniejszy czas sobie przypomniał. Tu w Putywlańskim zamku, w tej samej komnacie, przez umierającego Chmielniczenka, który nie chciał hetmańskiej buławy powierzyć ani synowi, ani zięciom, mówiąc: com ja popsuł, to Jan Wyhowski naprawi;

przez wybór kozactwa już Hetmanem, pisał list do Króla Jegomości, i do Senatu Rzeczypospolitej Polskiej, którym kozactwo wracał do mateczynego łona, i żądał dla niego wolności wiary, swobody i równości z bracią Lachami; ten list sprowadził Hadziacką umowę, a umowa Konoposką bitwę.

Z takiem to dwojgiem dzieci swojego wspomnienia pieścił się Hetman; i do tej zabawki dorzucał myśl o szczęściu kozaczego ludu, o służbie matce Polsce na przyszłość. W teraźniejszości potężnej żenił z przeszłością przyszłość.

Tak dumając otworzył okno, chwytał świeży wiatr w piersi. Czy słuchał pienia słowika, bo on i to lubi? O! nie! tam drumkanie teorbanu spłoszyło słowiki, i znowu pieśn nieznanego dudarza ostatnią zwrótką brzmiała:

Szparki orle, mój Hetmanie,
Ho! ho! zawierz w me gadanie;
Taj w zuzuli nie wierz słowa,
Bo to ptaszka, białogłowa.

Potem drumkanie, po niem słowa zwrotki nieznanej:

Bałamutka to zuzula,
Ho! ho! w dumę się rozhula,
Mimo chęci, mimo wolę,
Wwiedzie orły na złą dolę.

Pieśń ustała, drumkanie ustało, rozgłosem konało i skonało, a Hetman stał w oknie, nic już nie słyszał; a tej pieśni z myśli pozbyć się nie mógł.

Równo ze świtem trzech jeźdźców przybieżało z putywlańskiej puszczy do kozaczego obozu; wszystkie trzy konie pianą zmydlone, rozparły się i robiły bokami. Dwa jeźdźce zostali, a trzeci ledwie z siodła skoczył, pobiegł ku wałom.

Ci dwaj stali jak dwa słupy miłowe, nic do siebie nie mówili, nawet na konie nie spojrzeli, a oni kozacy, a to bracia konie. Dopiero po chwili, jak gdyby im na jedną dumkę zagrało w duszy, zawołali!

— Ha psiawiara! — I obadwa dłoniami złożonemi w kułaki, uderzyli się o uda.

— Już to on!

— O on! trzystaby go djabłów piekło. —

— Ja mu dam! —

— I ja nie pożałuję. —

— Hycel! —

— Zdrajca! —

— Chodźmy! —

— Chodźmy! —

Rozmówili się panowie szwagrowie, i szli prosto do zamku, a miny ich były czepko złe; zdałoby się komu, że cały świat chcą

wymordować. Stary poddawał młodemu, a młody staremu. Weszli wprost do hetmańskiej komnaty, gdzie była starszyzna; między nimi był i Marcin Cieciura. Hetman popatrzył na nich okiem, i jak szczwacz harapem powstrzymuje charty od zwady, tak on ich powstrzymał. Była mowa o kozaczych rzeczach, a żaden ze szwagrów nie śmiał przed Hetmanem w obec starszyzny wytoczyć swojej sprawy; bo ile razy usta już składały się do mowy, to tyle razy oczy ich spotkały hetmańskie oczy i milczeli; ale za to mową tych oczów nałajali Cieciurę.

Przy wychodnem napotkali młodszego Sirka, i jego żar gniewu palił.

— Ha psiawiara! hołubkę mi zabrał. —

— Kto? —

— Co? —

— Ha! dziad czarownik. —

— Marcin Cieciura? —

— Ha! nie, ten hycel; ja mu dam, ja dotropię. —

— Kogo? —

— I moją i waszą; ruszajmy. —

— Czekajmy. —

— Czas nie stoi. —

— Cieciura huncwot przyjdzie. —

Nie wychodził Cieciura, a czas uchodził.

— Ruszajmy na gorący trop. —

— Czekajmy trochę. —

— Ruszajmy. Dalibóg dopędzimy, a damyż psiawiarze, damy. —

— No kiedy ruszajmy to i ruszajmy. — I wszyscy trzej poszli.

III.

MONASTER.

W Baturyńskim lesie między Nikolskiem a Utężą, stał sławny monaster pod godłem Trójcy Świętej. Na północ monasteru leżało jezioro, we środku czyste, a tak spokojnej i gęstej wody, że zdawało się oku jak ława zastygniętego srebra; choćby jaka burza była na świecie to wody zmarszczyć nie zdołała, i jaskółcze skrzydło od wody odślizgało, i musnięcia na niej ani znać było; po jeziorze nigdy a nigdy czółno się nie pluskało, bo tam ryba nie mieszka, bo tam ptak się nie plawi. Do koła jeziora opasała się rąbem łozina szuwarem i chuszczami podszyta. Za tą łoziną hulaszcza dąbrowa; zrzadka sterczą dęby rozsochate, niby strażnicy monasteru, czołami w niebo patrzą, a gałęzie chylą ku ziemi, jak do podjęcia, jak do uścisku. Trawa bujna, szerokolistna, narzucona różnobarwnem kwieciem; tam liljowe dzwonki piją rosę, wstydzą się słońca, i medwedunka ukrainka z pod mszystego liścia to różą, to błękitem się mieni; piwniak młodziec od słońca jaskrawiej jaskrawieje; krwawnik w trawie wstydem płonie, ostróżka po nad trawą buja, a kraśny budiak wszystkiemu hetmani. Wśród takiej dąbrowy było jezioro, i nigdzie oko ludzkie nie mogło znaleść śladu zkąd się brały wody, i gdzie odpływały; na jeziorze nie było pleśni, ani ubytku, zawsze w równi stało, zawsze było czyste.

Dąbrowa zajęła krągłe wzgórze, a około wzgórza porało się bagno przepaściste, istna topielica; a za bagnem het ku Utęży, ku Szymkom, ku Nikolskowi, ku Ustji ciągnęła się czarna puszcza. Przez bagno jedna tylko nagłówka prowadziła na wzgórze, i to długą a krętą taśmą. W puszczy było kilka drożyn, ale to takiemi wertepami, że ludziom tamtędy jeździć to kara Boża; a tak tam bezludno, że nigdzie nie słychać supiłki pastuszka, ani kołokoła bydlęcia; w całym lesie nie było ani futoru, ani pasieczyska. Monaster tylko sam jeden w Baturyńskim lesie gościł, ani dobrego, ani złego sąsiada nie miał. I dla tego jedni zwali go Trojeckim Monasterem od godła Świętej Trójcy, drudzy Samotnikiem.

Jak wieść niesie, że kiedy Ataman Swiergowski z mołdcami na Wołosze poskoczył, bratnią rękę podać Hospodarowi Iwoni, chrześcijańskiem żelazem wychlustać psa bisurmana; trzy jego córki, krasne dziewice, ojcowskim groszem w Baturyńskim lesie monaster wystawiły; poświęciły świętej Trójcy, na uproszenie czci i sławy ojcu i kozactwu, i powiedziały: tu będziemy czekały, póki ojciec nie powróci. Czekały, czekały i nie doczekały się ojca powrotu: ale przed śmiercią doleciała ich wieść o uczciwej śmierci ojca, o sławie, o czci atamańskiej, o sławie, o czci kozaczej. Pomarły dziewicami, a ich towarzyszki, takoż kozacze dziewice, poprzysięgały na monasterne życie, i ztąd powstały Czernice Baturyńskiego lasu.

Monaster w czworogran się wznosił; w ścianie od jeziora była brama, dniem i nocą na wrzeciądze zaparta. Na bramie był przybity krzyż ze Zbawicielem, pod nim święcielnica z wodą święconą i kropidło; nad bramą wieżyca darła się w trzy ramiona, i na każdem stał krzyż złocony. Obok trójramiennej wieżycy druga kopułą kryta, a pod nią trzy dzwony jeden pod drugim, na wiązaniach zawieszone; tam była cerkiew, a obok niej mieszkanie starego Czernca, spowiednika zakonu, i starego dziada posługacza cerkiewnego; i ta ściana zwała się ścianą Świętej Trójcy. W ścianie od wschodu były mieszkania gościnne dla pielgrzymów i podróżnych, okna z niej wychodziły na dąbrowę, na świat Boży, i ta ściana zwała się: ścianą błogosławionej Anny, od imienia najstarszej dziewicy Atamana Swiergowskiego. Południowa strona przeznaczona od nadworu dla chorych, od środka na rozmaite składy, zwała się: ścianą błogosławionej Zofii, od imienia średniej córki Atamana Swiergowskiego. W zachodniej części mieszkały Czernice; do tej części wchód był ciągle strzeżony zamkniętą furtą, a przez korytarze, małemi drzwiami był wchód do cerkiewnego chóru; ta część zwała się: ścianą Marji, od imienia najmłodszej córki Atamana Swiergowskiego. We środku ogród warzywny przerzucony sadem śliwkowym i wiszniowym; tam była krynica ocembrowana, a nad nią groził kruk z zaczepionem wiadrem. Ogród był oczęstokolony, a w około niego szerokie miejsce przechodu.

W zaczeluścionych kurnikach śpiewał drób w różnogłosy, ale go widać nie było; słychać było i rachanie wieprza, ale nie było go widno; czasem kot na dachu się ukazał, albo kuna z pod muru pod mur przebiegła, i kilka liszek biegało w około częstokołu, zaglądało jakby tu można z monasteru wyleść: to gospodarstwo księdza Spowiednika. Zewnątrz siwemu monasterowi przeciwnym obyczajem jak u ludzi, młode łysiny na starość coraz bardziej a bardziej chwastem porastały.

W samotnym monasterze zazwyczaj było cicho, głucho, jednako, i jednako, ale od dni kilku nie tak się działo; przyjechali

nie pielgrzymowie, ale podróżni, i to dostatni, bo dworno przy nich było. Czerniec spowiednik poznał pułkownika Wysoczana, bo i czerniec Filaret zakonnikiem się nie urodził; kiedyś on bratem koniem po stepach hasał; kiedyś siostrą szablicą mahał w prawo, w lewo; dla niego jęczał wróg pod nogami; dla niego śpiewała czarnobrewa krasawica. Oj! ganiał on i na czajce w bisurmańskie grody. Znał się on z Wysoczanem, witał dawnego brata wojny; patrzał na konia, na szablę, i dawne czasy mu się przypomniały; a kiedy ujrzał niewiasty czarnobrewki, i dowiedział się, że to córy Chmielnickiego Bohdana, to tak w nim kozacza krew zagrała, że na ich jedno słowo dałby się był rozćwiertować.

Przełożona, ksieni Czernic, rodzona siostra Wysoczana, przyjęła gości. Mieli wszelkie wygody, ale oko ich nie widziało żadnej Czernicy, tylko ucho słyszało śpiewy w cerkwi. Obie czarnobrewki tęsknily na tem odludziu, i co dnia, po kilka razy na dzień pytały Wysoczana, co się dzieje na bożym świecie, gdzie ich mężowie? On wciąż jedno i toż samo odpowiadał:

— Żaden mnie posłuch jeszcze nie doleciał, ale mam ja wiernego człowieka przy Cieciurze, on mnie o wszystkiem doniesie. Córy mojego nieboszczyka Hetmana, bądźcie spokojne, włos wam z głowy nie spadnie, wrócę was waszym mężom; ale teraz póki zamieć w Ukrainie, lepiej tu przesiedźmy, a jak nam nasze słońce zajaśnieje, to ruszymy w drogę. —

Obie czarnobrewki znały wierność Wysoczana dla krwi Chmielnickiego; on nad niemi mimo ich wiedzy czuwał, i jak tylko skmetował, że Cieciura nieczestne zamiary knował, natychmiast uprowadził ich z kozackiego obozu.

Wysoczan dziki, okrutny, tak iż go wszędzie nazywano rosumacha kozacka, Lachów nie cierpiał jak kot psa, Moskwę zaś jak pies kota; z Bisurmanem tak się nie godził jak ogień z wodą, a Wołoszy tak był przyjaznym jak woda ogniowi. Bohdana Chmielnickiego tyle ukochał co swojego konia i swoją szablę, i do jego krwi czul takież samo przywiązanie. Nie miał ani żony, ani dzieci, ani jednego serdecznego druha w całym Kozactwie; za młodu, powiadają ludzie, że jako tako z ludźmi przestawał, ale na starość to się zmieniło. Do jedynej siostry ledwie parę słów przemówił, i ze starym Filaretem unika rozmowy. Jego służba powiada, iż jeden tylko dudarz Naum Pohany, dla brzydoty swojej twarzy tak przezwany od Kozactwa, miał do niego przystęp, a ten dudarz to djabeł, kto wie jaki człowiek; wszyscy mówią, że niesamowity.

Dzień to był sobotni, dzień Matki Dziewicy. Słońce objaśniało świat cały, ukraińskie niebo takie czyste, że kiedy sokol leci, to oko kozacze dojrzy ślad jego lotu; a wiatr tak drzemał,

że kozacze ucho, choć tam z wysoka, słyszy poświst jego pióra. Obie czarnobrewki wyszły na dąbrowę, chodzą sobie jak dwie łanie; to kwiecie zbierają, to wysłuchują czy jaki rozgłos nie homoni po puszczy. Wysoczan do koła nich z daleka krąży, jak drop stadnik, oko bystre na zerki, a ręka chwacka do szabli. Patrzał na niebo: od wschodu pojedyńczo orzeł po orle leci, pomruknął:

— Czy już po wszystkiem? —

Znowu patrzy od zachodu na wschód: kawki i wrony tabunami się taszczą; machnął ręką:

— Już po wszystkiem. —

I czerniec Filaret takoż ku jezioru się zbliżał, i on patrzał na orły, na kawki i na wrony; zrozumiał co to znaczy, żegnał się krzyżem świętym; bił się w piersi i szeptał pacierze, modły, o wieczny odpoczynek dla dusz poległych w boju ludzi; o przebaczenie im ich win.

Aż tu w lesie zagwizdało, nie sowa to, ani żadna ptaszka. Wysoczan się naszczudlił, i obie czarnobrewki ku niemu się zbliżyły. Jeszcze pogwizduje; Wysoczan machnął ręką:

— To on, to Naum. —

— Wieści nam niesie! —

Obie czarnobrewki zaświegotały, i rozglądają po dąbrowie; aż tam idzie starzec, a obok niego dziewczyna: starzec rudobrody, a taki ponury jak pies przed wścieklizną; dziewczyna czarnobrewa, a taka smutna jak owieczka na powrozie. Już przyszli: dziewczę milczy, a rzecz dziwna! Wysoczan z Naumem nie powitali się kozaczym obyczajem: Sława Bogu — Na wieki wieków; tylko Wysoczan mruknął:

— Cóż tam słychać, Naumie? —

Obie czarnobrewki uszy nastawiły ku starcowi, a okiem patrzały na dziewczynę, bo twarz starca im nie w smak. Naum na nie niby nie patrzał, odmruknął:

— Moskwę djabli wzięli. Cieciura zmarnował czaple pióro, bo dwóm czaplim piórom nie być na kozaczej ziemi. Na djableśmy imię zeszli! pan Pisarz hetmani, a krew naszego ojca Hetmana, krew Chmielnickiego uniżenie pana Pisarza słucha. —

Obie czarnobrewki spojrzały na siebie, a Naum jak z umysłu westchnął.

— O tak, tak mnie żal. Czemu nie Juryszka? wszak to rodzone dziecię Bohdana? Czemu nie Neczaj? czemu nie Daniel? Wszak to przybrane dzieci Hetmana nieboszczyka. Czemu nie oni czaple pióra noszą? A to Pisarz... człowiek z niczego, i niczem Chmielnickiego krwi. Oj! gorzko nam gorzko! Na liche imię, do djabła Kozaczyzna idzie. —

Obie córy Chmielnickiego słuchały, a Wysoczan się zniecierpliwił.

— Babom płakać i narzekać, a nic nam; cóż tam teraz Naumie?

— Pan Pisarz panuje, Lachy i Tatary po Ukrainie się włóczą.

— A taż co za dziewczyna?

— Córka Bundiucznego Prokopa osadniczego Putywla; mnie ją powierzył, żeby ją schował przed Lachami i Tatarstwem. —

Helena przygarnęła do siebie dziewczynę.

— Parasko, ty moja siostra mleczna. —

Zbliżył się i czerniec Filaret. Czerniec się wzdrygnął, i Naum się wzdrygnął; może oni gdzie się z sobą i znali. Czerniec imię Boże wyszepnął, a Naum wymruczał imię djable.

Kiedy wchodzili do monasteru, wszyscy palce maczali w wodzie święconej, i trzykroć razy żegnali się ojcem świętym, tylko jeden Naum tego nie uczynił. A jak czerniec wziął kropidło, i wodą święconą i ludzi i gmach błogosławił, Naum się umknął i wstrząsł się jak gdyby go dreszcz napadł; nikt jego nie zważał oprócz starego czernca.

Naum wszystkie a wszystkie wypadki opowiadał Wysoczanowi, a czoło pułkownika chmurzyło się i chmurzyło, a usta burczały imieniem djablem; w końcu powiedział:

— Neczaj dudek, Cieciura szachraj. Chmielnickiego krew musi panować. Niech ich wszystkich djabeł pobierze. —

Mleczna siostra Heleny opowiadała o Putywlu; jakiego tam ludu mnóstwo, jak ojcu nie wiedzieć się co przywidziało i wyprawił ją tu na pustynię. Rozpowiadała o Sirku holubczyku, dwa razy go tylko widziała, raz na tańcach, drugi raz w ogrodzie. Widno, że Sirko czasu nie stracił bo w serduszko dziewczyny dobrze się ugościł. Helena wypytuje czy jej co nie mówił o Danielu Wyhowskim, bo Wyhowscy a Sirkowie to przyjaciele pobratni na pohulankach Kozaczych. Biedna czarnobrewka mniemała, że Sirko taki niegłaźny, iżby miał ładnej dziewczynie gadać o przyjaciołach, albo o innych bojach; on nie z takich ludzi. I Paraska nie umiała odpowiedzieć na pytanie Heleny.

Wysoczan postanowił kilka dni przeczekać, a tymczasem wysłał gońców na zwiady.

Mrok szary po niebie jak mglisty tuman po nad ziemią się rozwijał; na dębach ptaki już zadrzemały; w ługu lis skowytał, a niebawem wilk w puszczy zawył. Stary Naum nie chciał nocować w monasterze, mówił, że mu tam ciasno oddychać, poszedł nocować na dąbrowie. Czerniec Filaret pokręcał głową, wyszedł na dzwonnicę patrzyć, co ten człowiek będzie robił. Chodzi po nad jeziorem, wzrok wnurzył w ziemię, jak pies co

zwierza tropi; zbierał zielę choć ciemno, chróst łamał, i zemknął z oczów w łozinie. Długi czas nie było go widać, aż nareszcie się ukazał, ale ledwie majaczał, tak już zaciemniało w powietrzu.

Widział Filaret jak rozłożył ogień tuż pod oknami, gdzie mieszkały córy Chmielnickiego, sam usiadł, grał na czterostrónnej bandurce i spiewał:

Hej wyje wilk w czarnej puszczy,
Gwiżdże sowa w ciemnej huszczy,
I noc czarna, czarno płynie,
Smutno, tęskno Ukrainie.

Pan Chmielnicki nasz serdeczny,
Poszedł, poszedł w pokój wieczny,
Obcy człowiek nam panuje,
Krwi Bohdanka rozkazuje.

Hej w zakonie syn Bohdana,
Krasne córy mają pana;
A Kozakom łza nie płynie.
Smutno, tęskno Ukrainie.

Cześć hetmańska, nasza sława!
Buńczuk kary i buława,
Czapie pióro, pieczęć złota,
Wszystko poszło w obce wrota.

Obcy człowiek rej nam wodzi,
I hetmani naszej młodzi;
A Bohdanka krew nie słynie,
Smutno, tęskno Ukrainie.

Drumkał Naum, a tylko jedna głowa wychyliła się zwolna i słuchała jego pieśni. To była młodsza córa Hetmana nieboszczyka, Helena, żona Daniela Wyhowskiego. Naum podniecał ogień, i w czarnem tle dym biały, niezwyczajny, wzbijał się w górę, a dudarz jakby niechcący poganiał go ku oknu, gdzie była czarnobrewka. Tak drumkał i jedną a też samą pieśń śpiewał, i ogień podniecał i dym poganiał, póki Helena od okna nie odeszła i okna nie zamknęła.

Stefanida, żona starego Neczaja, przy łóżku klęczała i modliła się do Boga, a Helena i modlić się długo nie mogła, i drumkanie i śpiew nie mogły ją rozerwać, tak jej tęskno za mężem kochankiem, a sen gwałtem ciśnie się na powieki. Jeszcze wcześnie, północy nie masz, a obie siostry nim zasnęły zawsze zwykły długo a długo z sobą gadać, choć cały dzień razem z sobą przepędziły; bo w sercu kobiecem tajemnice plenią się a plenią, snują się a snują, i nigdy tak się nie wysnują, żeby tam zostawiły czczość. Ale tą razą ledwie spać się układły; Stefanida gadała i nie odebrała żadnej odpowiedzi.

— Heleno, ty śpisz, Heleno! — Darmo wołała. Helena spała i sen jej nie był pustym. Ledwie oczy zamrużyła, stanął przed nią Ojciec, w sutym atamańskim stroju, jaskrawym od złota i drogich kamieni; ale najkrasiwsze ze wszystkiego było czaple pióro przy czapce; twarz jego była ani smutna, ani wesoła; wziął córkę za rękę.

— Chodź ze mną. —

I ona za nim szła. Szli z monasteru, na dąbrowę po nad jezioro, i po jeziorze zaczęli chodzić; ale tam nie tylko oni sami byli; mnodzy ludzie przechadzali się tak jak i oni suchą nogą, a wszysci byli w kozaczych strojach, i wszyscy mieli przy czapkach czaple pióra; nic nie mówili do siebie, nawet większa część zdawała się stronić od Chmielnickiego, a Chmielnicki gadał do córki:

— Patrz na tego, jaki rosły, jaki butny, to Lach. Lanckoroński z rodu, Przecław z imienia. On Moskwie na Bisurmanach pokazał co siła kozacza może; mógł być królem Wszej Rusi, a przyprowadził Kozactwo i oddał Polsce. Obok niego ten łysy, to Ostafi Daszkowicz, dziecię Dnieprowe, porohów kochanie, przedmurze i podpora Polski. Podle niego Bohdanko Kniaź Różyński, powiernik Wielkiego Króla; to trójka nierozerwana, też samę dumkę śpiewali: Sława i potęga Polsce. Na pokład tejże samej budowie szablami siekli, na potęgę i sławę Polsce. Oni wszyscy trzej kłonią czoła przed tym samotnikiem, a on w górę po orlemu patrzy; i oni mają czego przed nim się kłonić, i on ma czego tak w górę patrzeć. Od stworzenia świata aż do jego końca, nie było i nie będzie męża z takiem szczerem sercem, z takiem dzielnem ramieniem jak on: to Piotr Konaszewicz Sahajdaczny. —

— Oni odemnie stronią, oni mnie nie zrozumieli, i mało kto zrozumiał. —

— Patrz, to stary Iwan Kniaź Rożyński, ten kochał Kozaczyznę, ale nie długo nad nią przywodził: to Wężyk, dusza lacka zkozaczała u nas; tamto Swiergowski, zna go Wołosza, u niego Bóg, dobra wiara i Kozacza sława, a więcej o nic nie dbał i dla tych trzech rzeczy zginął. Ten młody co się ciągle zżyma, to Szach; jemu się wciąż zdaje, że on na Carogród płynie, tak brwi marszczy jakby miał huknąć: w pień, w pień Bisurmanów. Ten ponury, smutny, to Skałozub, skurczyć się nie chciał, jak męczennik chrześcijański zginął; to kozaczy święty.

— I ci odemnie stronią, oni mnie nie zrozumieli. —

— Patrz, oto Podkowa, dziecina Wołoszy, na jego szyi jeszcze widno krew od lackiego miecza. Za nim Pawluk taki blady, jak gdyby tylko z lackiego pola zeszedł. I Nalewajko cały w ranach; tego bracia Lachowie, za zaufanie jakie w nich położył, w kotle, jak padło jakie gotowali. —

— Ci do mnie się garną, bo oni mnie nie zrozumieli, i nikt nie zrozumiał. Chodź córko, może ty mnie zrozumiesz. —

Szli dalej pomiędzy tymi ludźmi, ale Chmielnicki milczał, a Helena patrzała na nich; wszyscy mieli przy czapkach czaple pióra. Przeszli jezioro i poszli w ziemię. Chmielnicki szedł śmiało, Helena drżała, ale szła za nim. Tam w pieczarze stanął, stuknął nogą, i ze złota korona z berłem zjawiła się na ziemi.

— Córko, mnie zwą i będą zwali zdrajcą. Wyrzucać będą, żem prowadził w poddaństwo Moskwy, żem zdradzał Matkę Polskę. O nie! chciałem ładu w Polsce, chciałem ją podeprzeć, postawić na nogi. Król Władysław mi świadkiem. Ale wyzuwici, ale pankowie bezładni, to kąkol w narodzie. Z nim Polska to próchno; nic z niej nie można zrobić, chyba samemu z nią razem spróchnieć. Moskwie baki świeciłem, żeby ją znieść z kolei, i czaple pióro zamienić na koronę kozaczą. —

Rzucił czapkę z czaplem piórem o ziemię, a nałożył na głowę koronę.

— Córko, krwi moja, ty mnie zrozumiesz może! —

Helena padła na kolana. —

— Ojcze! Ojcze! —

Tak mocno krzyknęła, że Stefanida zerwała się z łóżka.

— Siostro, co ci jest takiego? —

I Helena otworzyła oczy.

— Ojcze! Ojcze! Stefanido! —

— Co ci jest takiego? —

— Nasz Ojciec! — tam w ziemi — na jeziorze —

— Co ci jest takiego? Patrz na mnie — Heleno! —

Helena otwiera oczy; siostra przy niej, ona na łóżku. Księżycowe światło płynie po izbie, a jej w oczach jeszcze majaczeją i czaple pióra i korona, a tam z za okna pieśń z drumkaniem łeci:

Czaple pióro hej jaśnieje.
Hej korona złotem sieje!
Dla Hetmana, Króla pana!
Hej dla mężów, córBohdana

Helena skryła oczy w dłonie.

— Ojciec! nasz Ojciec! —

— Siostro moja Heleno, co tobie jest takiego? —

I obie czarnobrewy tuliły się do siebie, jak dwa gołąbki kiedy zasłyszą świergot szulaka, a księżyk srebrem sypał i sypał, a do koła było cicho, było głucho.

IV.

DROGA.

Szlakiem Baturyńskim bieży kilkunastu jezdzeów, a na rączych koniach; i bachmatom tatarskim nie zawodzić z nimi o wytrwałość, i arabskie neżdy nieszparksze od nich biegiem, i czekierskie dżianety w susach nieraźniejsze: to Dnieprowe kozacze konie, i Kozaków na sobie niosą.

— Hej Sirku! czy nie w ślepego my gramy?

— Ho! ho! spuść się na mnie, Ojcze Neczaju, psi węch ja mam a sokole oko.

— To to ty tuman, ale i djabeł tuman.

— Pokaże się, kto kogo w pole wyprowadzi.

— Ta żeby to Bóg dał, żeby tak było.

— Ojcze Neczaju, tak będzie; ty wiesz, że jak który z Sirków wsiądzie na trop, czy tatarski, czy djabli, darmo zaskoki, darmo kluczki, on swojego dojedzie. Niech nam w oczy pluną ludzie, jeźli pokażą, że tarantowaty koń, albo Czarnobrewa dziewczyna wymknęła się Sirkom. —

— Tu Daniel Wyhowski koniem skoczył.

— Ot, ot, coś majaczeje. —

Sirko w poprzek drogę przebiegł.

— Nie tak szparko, jeszcze nie czas.

— Ale on nam się wymknie.

— Słuchajno Danielu, żebym ja tylko o sobie myślał, tobym gonił; może to i moja ptaszka tam się czerni: ale gdyby to i oni, ptaszka może nic nie wyśpiewać, bo może o niczem nic wie, a djablowi wyrwij słowo z ust, to będziesz i sam djabłem. Wtenczas to dopiero łam sobie głowę, gdzie droga i dokąd jechać. Panowie bracia, wierzcie Sirkowi. Miejmy go na oku, a on nas zaprowadzi. O! nieraz, nieraz tak wodzili Sirków samiż Tatarowie do tabunów Hańskich. —

Stary Nieczaj wąs musnął.

— Ta-że ty dobrze mówisz, musi być twoja prawda. Zresztą nie wszystkim nam rozkazywać, tylko jednemu, bo inaczej to i najlepsza rzecz na durne imię pójdzie. —

Jechali stepem, a tam w dali coś majaczaje, i het biegło przed nimi, a tak dałeko że i kozacze oko nie mogło rozpoznać, co to takiego.

Już ku wieczorowi się zabierało; po szerokiem polu promienie słoneczne pomiotem jak len się słały, a ptastwo stepowe, jedno leciało na noclegi, drugie dziwnemi głosy homoniło po szuwarach; bez pastuchów wiodą żrebie tabuny, a ziemia dudni pod kopytami. Siwe woły, rogate, wałkami wałą przez burzany i ryczą. Czaban gra w supiłkę, batogiem kłaszcze, ku futorom pędzi wełniste barany. Het po połach, gromadkami, pojedynczo, idą mołodyce, idą dziewczęta ze żniwa; na głowach wianki z pszenicy, z bławatka; za pasem sierpy, a z ust piosnki dźwięczą. Idą kosarze, na plecach kosy, u góry z pomiędzy grabiów żelazca jeszcze resztkami promieni słonecznych błyszczą. I wiązacze niosą resztki przewioseł z pola, żeby je rosa nie zmoczyła. Wszystko tak jak gdyby w tym kraju wojny nie było. I rzecz nie dziwna; Moskał tam jak na gospodarstwo się sadowił, i nie niszczył tego co miał za swoje, a pan Wyhowski tak szybko, tak gracko się zwinął, że lud Boży ani się obejrzał, gdzie wróg się podział.

Wszystko tam było jak być powinno. Słońce zachodziło, rosa padała, a mrok ciemniał!

Kozacy jechali i jechali. Sirko zajrzał w sioło, dawne Horodyszcze; tam ów maniak potoczył się, i już go widno nie było.

— Ojcze Neczaju, tutaj nad jarem przenocujemy.

— A czemuż nie w siole?

— Dla tego że nie w siole. Ot tak sobie — powiedział Sirko.

Neczaj zdiął czapkę.

— Za przeproszeniem Waszmość Pana: ja zapomniał, to ty Watażka, już więcej tego nie będzie.

— Widzicie Ojcze Neczaju, żebyśmy byli w siole, mnieby skorciało do czarnobrewej jakiej, a to rzecz niepotrzebna, kiedy ma się co innego robić.

Niebawem Kozacy siedzieli, leżeli nad jarem, a konie w jarze się pasły. Daniel zły, markotny, od ludzi się odsunął, burką się obwinął, i tam do niej coś pomrukiwał. Neczaj, inna natura, w swojej markotności do ludzi się garnął, i rozmawiał i słuchał; od kozaczej dumki smutek jak mógł to odganiał, a Sirko harcował z myślami jak z Tatarami, jakby tu starego djabła w szory ubrać, a czarnobrewę Putywlankę w rączki dostać.

Po jarugach wiatr świszcze, djabeł gdzieś harce wyprawia; Kozacy nie śpią, o djablich sztuczkach dogadują. Jeden z Sabatyńców gorzałki pociągnął, z łulki zakurzył, parę razy prztyknął wargami.

— Ot panowie bracia, wy temu może nie powierzycie co mnie się raz przytrafiło. Było to jeszcze za nieboszczyka króla Władysława, dobry to był człowiek, on lepiej lubił kozaków jak panków lackich; mówią ludzie że on dobrze pił, musiał tedy w winie prawdę znaleść: że z Kozakami można i lad zrobić, i do dobra wszystko przyprowadzić, a z lackimi pankami to będzie mądry jak to utnie; djabeł by ich rżnął, każdy dmie się jak paw, choć pusty jak pęcherz. Wszystko tylko — Mościpanie, nie pozwalam, i po ten dąb mila jego rozumowi, a jak przyjdzie ciągnąć wóz ojczyzny, to ten w prawo, to ten w lewo, a wóz na miejscu stoi, jeźli się nie połamie; paskudnie robią, ale djabeł ich tam pobierz, tu nie o tem rzecz. Barabasz psiawiara był naszym Hetmanem, a Pan Chmielnicki jeszcze w pierze nie porastał. W Kaniowskim zamku my wtenczas byli, ja stałem na straży, a Barabasz pił w zamku z panami Lachami. Ciemno było, i noc chłodna, a szabla nie grzała w rękę, i kamień w nogi nie grzał. Puszczyk niedobrze puhaczył na dachu, psy wyły i biegły na Dniepr, i trzy gwiazdy latawce w Dniepr spadły, znaki niekoniecznie samowite, aż tu do mnie coś biegnie, a łopocze; silniej ścisnąłem szablę w ręku, i zacząłem mówić. — Wszelki duch chwali Pana Boga — Tupotanie ustało a wyraźnie słyszałem: Me he he; jak gdyby cap zamekczał. I tak trzy razy się powtarzało, i to było o samej północy. Ja nikomu nie gadałem o tem ale podumałem sobie: źle się dzieje — i źle się działo. Nazajutrz rano przyjechał Wojewoda Kijowski; wtenczas był nim Pan Kisiel, z tym czarnym Niemcem. — I zaraz Barabasz tak się zaprzedał łackim pankom, że i wiarę i swobodę kozaczą chciał puścić na przepadłe imię. Otóż cap swoje wymrukał. Potem już później, kiedy Chmielniczeńko ciągnął na braci Lachów, myśmy byli przy Barabaszu, bo Sabatyńce zostali wiernymi matce Polsce; byliśmy w obozie z wielkim Hetmanem Potockim, znowu w nocy byłem na straży i cap po trzykroć razy mekczał. Zrana przyjechał czarny Niemiec; myśmy poszli pod Żółte wody i wszystko djabli wzięli.

— Twój djabeł to był prawdziwie djabła wart, nie taki jak ojca Syroda Hańskiego. Rzekł Sotnik Iwanowski.

— A jakiż to był djabeł Hańskiego? zapytał Mykita Czernik.

— Jaki? to ja powiem. Wiecie, że stary Damian Hański mieszkał na odludnym futorze; otóż jednej nocy przyszedł do niego Niemczyk, skłonił się i powiedział: Zapisz mnie swoją duszę, a ja ci dam pełną bednię czerwońców — Damian to był zuch — zgoda, niech i tak będzie; tylko nie dziś, ale jutro. Niemczyk przystał — Damian cały dzień kopał a kopał ziemię, i postawił na niej bednię, ale wprzódy dno wybił. W północy przyszedł Niemczyk, sypał złoto i sypał, i dziwił się mocno, że nie może napełnić; już nareszcie dosypywał; Damian chciał

z czubem, Niemiec mówił dosyć; ale on targował się jak z żydem, strychował, giął czerwońce czy dobre złoto, ważył na palcach, i tak wszystko kierował, mimo że Niemczyk gorący jak w ukropie parzony, aż kur zapiał, a on jeszcze duszy mu nie zapisał. Niemczyk naglił, Damian nudził; kur raz drugi zapiał, Niemczyk grozi, a Damian krzyż święcony położył w djabelskiem złocie. Aż niemczyk i pisnął i kichnął, a tu kur raz trzeci zapiał — Niemczyk wert, skrypnął i poszedł — ale krzyknął. — Żeby żaden z twoich nie chodził z szablą po złoto. — Zasumował Damian, bo to djable przekleństwo na kozaka zamówić go od szabli, ale złota było co korcami mierzyć. Zaraz Damian wystawił cerkiew, a księdza Czernca miał nieodstępnym przy sobie — tak i Niemczyk więcej nie powrócił. — Prawda że teraz Hańscy się nie biją, ale co mają groszy, to mają.

— No to lubię, Damian Niemca ubrał w szory.

— Niech go trzysta djabłów weźmie z takiem ubraniem! wolałbym ja z torbami chodzić, jak wiedzieć o tem, że moje dzieci nie będą kozakami z szablą i ze spisą.

— Et nie zawsze to przekleństwo djabła się sprawdza.

— No to chwacki areszt położył Hański na djablem złocie. —

Wiatr zawył w jarudze, a Sabatyńcowi widno coś się przysłyszało, bo krzyżem świętym się przeżegnał.

— Co ci jest takiego?

— Jak Boga kocham, cap mekcze. —

Śmiej się z tego Sabatyńcze, choćby mektał, to nic nie wymekcze; prędzej żaba żabięta piersią pokarmi, jak tu na tej Ukrainie Niemiec się zjawi.

— Ho panowie bracia, ja widział, jakie to złe wróży.

— Dajmy pokój temu, ot niech Iwanowski wywoła nam djabła Hańskiego, on może nam nasypie złota w czapki, a każdy z nas krzyżykiem złoto przyaresztuje.

Któryś tam snem zmoroczony stęknął:

— E, i rosa oczy wyje, nim się Hańskiego djabeł zjawi. —

Tak kozacy między sobą bałakali, i pomalutku jeden po drugim zachrapał. Neczaj zasnął, staremu wołokicie do żonki nie bardzo się spieszy, lulkę na krótkim cybuchu miał w ustach, koło niego stała bakłaszka z wódką, te rzeczy przydobniejsze kozakowi w drodze jak młoda żonka, z sobą je zabierze i na czajkę i na kulbakę, a z młodą żonką, po hułankach wojennych się nie wozić; konie się pasły w jarze, chrupotały trawę i drzemały nad trawą, a księżyc z nieba stróżował nad niemi, on nie spał — i Daniel Wyhowski nie spał; często obadwa na siebie patrzali. Księżyc był blady, smutny, i Daniel zły, markotny; obadwa milczeli, ale obadwa dumali. Księżyc o ziemi kochance, wieki wieków w około niej koluje, koluje, a dostać się nie może choćby do jednego pocałunku. Daniel po niebie, po ziemi czar-

nobrewki szuka; kłnie Sirka czemu czekać każe, a sam jak dziecko bez niańki jechać się nie odważy i nie wie gdzieby jechał, gdzieby szukał. — Dłużej nie wytrzymał.

— Hej do koni! już świt. —

Czutko, rzutko kozacy na nogi się porwali, a każdy jeszcze oczów nie otworzył, a już za szablę dłonią chwycił. Daniel gwidznął raz, drugi i trzeci; zbudziły się i konie w jarze, i jak psy na pogwizd w czwał biegły do kozaków.

Sirko kiwnął głową.

— Z ciebie nocznica Danielu, ale kiedyśmy wstali, to i w drogę, koni nie bałamucić. —

Stary Neczaj wziął za bakłaskę.

— Na dobrydzień panowie bracia! —

Łyknął, i kolejko jeden po drugim z bakłaszki łykali, potem skrzesał ognia, zapalił lulkę, i wszyscy kozacy pozapalali tytuń i kulbaczyli konie.

Słaniała się pełzła twarz księżycowa, jak twarz dziewicy, kiedy bladość zetrze rumieniec, świt prószył się po niebiosach, a mgła z ponad ziemi tumaniła się het precz szeroko, a kozacy wsiedli na koń, i pojechali w drogę; konie stępą kroczą i nozdrzami piją mgłę. Kozacy tytuń kurzą i łykają dym z mgły, a cichemi dumkami Bogu się modlą. Czas jakiś tak cicho jechali, jak gdyby się wałęsali za lisem, albo za Tatarem po stepie. Nareszcie Sawa Oczeretny, któremu tak rzadko siadała troska na wąsie, jak ptak na kołącym budiaku, zaczął śpiewać, nie frasując się czy to dla ludzi, czy dla siebie.

Kukuryku chłopcy idą,
Kukuryku w nogi zbiegą;
Sabatyńce hajdamaki
Lecą końmi niby ptaki.

Krasne dziewczę porzuć chatkę,
Porzuć ojca, porzuć matkę,
Z Sabatyńcem dernij w pole,
On ma złoto i sobole.

Ludzie sielscy, bracia swaty,
Ojcze, męże, nuże z chaty.
Hej psiawiary hulk w pokrzywy,
Kiedy który chce być żywy.

Z Sabatyńcem nie iść w żarty,
Czysty djabeł, pies uparty;
Jak się zmarszczy i rozgniewa,
Kukuryku wtenczas śpiewa.

Kole, siecze, we łby wali,
Grabi, niszczy, chaty pali;
Po tatarsku czambułuje,
Kukuryku pośpiewuje.

Oczeretny śpiewał, kiedy natknęli się na sioło, bo za mgłą nie było nic widać. Tak rano, a już dzieci koło kołowrotu bawią się, nie w chrząszczyka, ale w inną zabawkę. Na szubienicy wisiało pół tuzina obdartych Moskali; drzewo szubienicy poskrypywało, a dziatwa gruszkami trafiała w wisielców. Kozacza to zabawka!

W karczmie nie było czarownika z Putywlańską dziewicą, jak może sobie myśleli panowie kozacy, ale byli tam inni goście. Przed karczmą stała kolasa, po pod płotem stało uwiązanych kilkadziesiąt koni jedznych, a dalej na słomie, kulbaki mając pod głowami, spoczywali ludzie w kaftanach łosiowych z wierzchu pokrytych stalowemi koszulkami, w misiurkach na głowie, z szablami u boku, a u głów leżały krzywe luki ze strzałami; to towarzystwo lekkich litewskich chorągwi, z samych Tatarzynów werbowane, a zwane pocztowemi znakami, spali na dobre, i konie na dobre strawę jadły.

W pierwszej izbie w karczmie, na ziemi na rozciągniętych derkach i burkach, spoczywała starszyzna litewsko-tatarska; chrapali, a twarze im się marszczyły, a wąsy im mrugały. Szynkarz z szynkarką już przygotowali wódkę i palanicę na dobry dzień.

W drugiej izbie zwanej alkierzem, dwóch ludzi już nie spało: jeden suchy, cienki, chudy, z policzkami tak zapadłemi, z oczami tak wklęsłemi wgłąb, jak u konia zrodzonego ze starej kobyły. Jednak te oczy po kociemu wyzierały z dołów. Wygodnie im tam było; nie potrzebował nikomu oko w oko patrzeć, a przynajmniej nikt jego szczerego wzroku zajrzeć nie mógł; był on w ciemnobrunej kapocie, po bakalarsku skrajanej, długiej za kostki; na głowie czapka bobrowa, nakształt takiej jaką nosili ojcowie Jezuici. Drugi dorodny, przysadkowaty, zaledwie wyszedł z mierzyna, a pokaźnie się pobundiuczał. W kontusz z kusa po tatarsku przybrany, czerwona barwa, suto złota, mina gęsta, bez słów mówiły: to wojak z pancernego, albo huzarskiego znaku.

Chudeusz tak nastroił się surowo jak bakałarz, kiedy ma wyrwać jakiegoś tam nequam do lekcji, a potem za tablicę.

— A cóż Mości Muchawski czas już w drogę?

— Bene domine Vulpius, ależ ludzie tylko co się spać pokładli.

— Mniejsza oto, a my?

— Illustrissime domine, w kolasie dobrze się śpi, ale na szkapie djabelnie ciężko szpaka ująć.

— To się prześpią na miejscu. —

W mowie nie było brzmienia czysto polskiego, ale taki suchy, ucinkowy głos, że Muchawski przypomniał sobie dawne szkólne czasy; wyszedł do alkierza, a usta dłonią zatknął, żeby słowo przypadkiem nie wyleciało.

Muchawski rotmistrz husarskiej chorągwi Pana Wojewody Ruskiego, Starosta Stężycki, imieniem Franciszek Salezy, rodem Mazur, całe swoje nauki zakończył w infimie, w szkole tak zwanych braciszków świeckich, którzy gwałtem chcieli się podszywać pod opiekę ojców Jezuitów, chociaż największa część z nich bardzo niewiernie służyła kościołowi rzymskiemu; była to zbieranina włóczęgów cudzoziemców i Polaków niewartych dobrego szlacheckiego imienia. Żeby się pokryć bakałarskim płaszczem, każdy przybierał łacińskie zwanie, niby wojenne imię; każdy z nich starał się przyczepić do jakiego wielkiego pana, albo do tego co im się dawał powodować. Jak się który dochrapał tego szczebla, używano go do rozmaitych poselstw, i przez dziwny jakiś rachunek swoje czyny starali się kłaść na karb ojców Jezuitów. Zwano ich także doktorami mądrości.

Ci to braciszkowie boćkowskim kańczugiem tak się dali we znaki Panu Muchawskiemu, iż nauczył się jak sroka paplać, Illustrissime domine, i kilka innych słów z Alwara, a tak dobrze pamiętał te szkólne czasy, że jak przejeżdżał koło jakich szkół, to mu pot zimny przechodził po za skórą, a skóra świerzbiała jak gdyby przeczuwał że za frycówkę bakalarz sprawi mu frycówkę. Zazwyczaj krzykała i uparty, zawzięty jak ślepy Mazur, skoro zobaczył bobrową czapkę, to taki był potulny jak trusia, i trzy ledwie zliczyć umiał; a o mało co nie prosił peto fores: robił wszystko co mu kazano. Ci bobrowi braciszkowie i Kniaziowie Suzdalscy dowiedli to światu Bożemu, że chcąc człowieka zrobić posłusznym i sprawnym, to to nie w głowę rozum należy mu pakować, ale w skórę bizunami walić.

Ledwie Muchawski począł budzić starszyznę, aż tu przed karczmę zajechał kozak jeden, i ten nie drogą przybiegł, ale z za karczmy wyhulknął, a czając się na koniu, w okno zajrzał. Chudeusz jak djabeł od święconej wody, tak od okna odskoczył.

— Laudetur Jesus Christus! Domine Muchawski, ratuj nas! —

Muchawski wpadł do pokoju.

— Illustrissime domine! — I podniósł rękę do góry jak student, na znak że gotów na rozkaz.

— Patrz Waćpan. Domine Deus. —

Rotmistrz husarski popatrzył.

— To Kozak.

— Syzmatyk, Antychryst. Zdrada jaka!

— Ale to nasz zapewnie być musi, nie Moskal. — I wybiegł.

— Nasz, nasz Kozak; — bluźniercza, lepszy Moskal. — Spojrzał przez okno że Muchawski jakoś przyjaźnie rozmawiał z kozakiem, i domrukiwał: tak, tak, lepszy Moskal, prędzej czy później będzie nasz, a tego to nigdy nie dostaniemy. Ja to wiem, ja jadę, tak kazano, ale wiem, że z tego nic nie będzie.

I tak się czoło i twarz doktora Vulpiusa namarszczyły, jak

gdyby z ust i z oczów miał cisnąć pioruny trzaskające i śmierciodajcze na cały naród kozaczy.

Wpadł Muchawski, ale tak radośny, że zapomniał nawet o obecności groźnego mistrza.

— Nec locus ubi Troja fuit; Pan Wyhowski tak się uwinął z Moskalami, że i na nasienie nawet żadnego nie zostało, na całej Ukrainie. Requiam in pace im, hula babula, co djable, to djabeł porwał. —

Nim Chudeusz odpowiedzią powstrzymał rotmistrzowską wesołość, ukazał się w karczmie Sirko. Jak za wniesieniem światła do izby ciemność znika, tak za wejściem starszego kozackiego, zmieniła się twarz Chudeusza, uśmiech musu na nią wyjrzał, i przychylnością musu do niego się wdzięczył. I już nie po łacinie, ale po polsku przemówił.

— Chwała niech będzie Bogu, Panu naszemu, za odniesione zwycięztwa, a wy dzieci Polski odbierajcie cześć należną. —

Mówiąc te ostatnie słowa drgnął, jak gdyby go co ukłuło w język. Kozak chmurno je przyjął; skłonił się, parę słów przemówił z Muchawskim, a potem karczmarza o jakieś rzeczy na stronie wypytywał.

Niebawem nadjechali i inni kozacy; stary Neczaj i Daniel Wyhowski znali się z Muchawskim, w tych czasach w kraju polskim, kiedy wszyscy na wsze strony uganiali się za wrogiem; rycerstwo rodzone na jednym krańcu, znało się z rycerstwem rodzonem na drugim krańcu. Zwyczajnie lud bitny w kraju wrzącym wojną. Powitanie ich mimo smutku Daniela, mimo zasierdzonej chandry Neczaja, było braterskie. Chudeusz zagaił obudwóch natychmiast i perorował, a z minką uśmiechającą się, życzliwą i dobroduszną. Ale Sirko krzyknął.

— Panowie bracia, na koń, komu droga, temu czas. —

Sabatyniec za drzwiami kręcił wąs na palec.

— Sto djabłów by jego matkę piekło i zapiekło; ja mówił, że mekczał, otoż i jest, bogdaj tylko wszystkiego nie wymekczał. —

Trzy razy splunął, trzy razy smyknął słomy ze strzechy i rzucił po za siebie, w stronę Chudeusza.

Jechali kozacy, Sabatyniec jak koń tabun, kiedy wilka czuje, zniżył kark, wnurzył oczy i wiódł wzrokiem po ziemi. I Oczeretnemu głos na śpiewkę się nie nawinął, Neczaj krzesał ognia i kurzył z lulki, wszyscy milczeli. Sirko wiódł przodem ale milczkiem. A Daniel był smutniejszym jeszcze; spotkanie Vulpiusa złym swędem wionęło na kozaków, i niejeden pomarzył w dumce, trzeba było licha się pozbyć, żeby licho nie robiło.

Słońce już poczęło wschodzić, złote promienie darły się przez tumanne mgły, a mgły powoli, powoli osuwały się na ziemię; i oko ludzkie widzi już świat Boży. Niebo błękitne,

czyste, bez chmurki, i step taki szeroki, taki daleki jak niebo, a po stepie wszędzie niby jeziora leżą; i ludziom zdaje się chłodniej, i konie jak do wody raźniej zbierają nogi; a jeziora precz uciekają i znowu z przodu się kładą, i tak się drażnią póki w ziemię nie wsiękną; a step ustroił się w rosę i promienie słońca, zdawał się utkany drogiemi kamieniami.

Szumno, wrzawno, ptastwo śpiewa, ptastwo leci, tabuny czwałują, woły, owce suną na paszę, ludzie sielscy na robotę, a wszyscy śpiewem, rżeniem, rykiem Boga schwalą, schwalą dzień biały.

Sirko jak pies tropowik, po drodze wzrokiem rzuca, czasem okiem w step spojrzy, i bieży przodem, konia nie w cały kłus puszcza. Kiedy rosa oschnie i na suchym calcu ślad kól ledwie gdzieniegdzie się znaczy, posyła w strony na wypadki, ludzie mówią: wóz się tędy pokocił, w prawo, w step, ot tędy gdzie orzeł poleciał; ot tamtędy gdzie ten tabun się pasie. Kosarze musieli widzieć, pytajcie tych czumaków, oni musieli zdybać. Gdyby orzeł chciał gadać, onby najlepiej powiedział; ciągle nad nim leciał, dopiero koło ot tamtej trzydziestej mogiły go porzucił. Takiemi poszlakami biegli, i nad wieczorem znowu im niby wóz zamajaczał daleko. I nazajutrz dzień po rozwianiu się tumannej mgły, znowu ślad znaleźli, i o poszlak się dopytali. I tak biegli trzy dni całe, aż nad wieczorem zamajaczała im Baturyńska Puszcza.

Słońce w puszcze zapadło, i nic przed puszczą dojrzeć nie można było; przyjechali pod puszczę, i radzi nieradzi musieli tam noclegiem stanąć. Sirko znał okolice, wiedział gdzie monaster, kmetować że tam musiał czarownik z Potywlańską dziewczyną podybać; ale w nocy taką ciemną puszczą niekoniecznie pewno jechać, zwłaszcza że djabli mogliby drogę stumanić, i gdzie w takie wertepy zawieść, zkądby ciężko się wyłabudać, a kozak choć odważny jak orzeł, ostrożny jak czapla.

Już świtem wjechali w puszczę, a tak cicho, tak myszkiem jechali, żeby djabła nie zbudzić, jak gdyby on mógł i w dzień Boży, po puszczy buszować. Już dojeżdżali do bagna, kiedy dało się słyszeć jakby drumkanie gęśli. Sabatyniec myślał, że to cap mekcze i przeżegnał się trzykroć razy krzyżem świętym. Stanęli, słuchają, wyraźnie drumczy, a nawet i piosenkę pośpiewuje.

Leci orzeł dniem i nocą,
Leci, leci, poco? poco?
Po zuzulę, kumkę lubkę,
Po zuzulę, po hołubkę.

Twa zuzula jest w niewoli,
Twej zuzuli serce boli;
Stęka, płacze, nudzi, swarzy,
Na szulaka bardzo skarży.

Hej, hej szulak hajdamaka,
Nuże orle na szulaka:
Daj ratunek kumce, lubce,
Daj ratunek swej hołubce.

I śpiew ustał i drumkanie ustało; Daniel zawołał.

— Bieżmy, ona na nas woła, za mną. —

Wysforował się naprzód, a choć koń pod nim dzielny, i ścieżka w tem miejscu gładka, taki talerz zebrał, że aż pyskiem ziemi zachwycił. Sabatyniec się przeżegnał.

— Nie jedźmy, zły znak, cap mekcze. —

Sirko chciał w bagno poskoczyć z drumkaczem, ale koń zachrapał, znarowił się, a po lesie taki szum i trzask się poniósł, że aż wszystkim czapki podniosły się na głowach. Daniel Wyhowski zerwał konia i ścieżką sadził w skoki, kozacy za nim, a Sirko już nie mógł przedrzeć się naprzód tylko krzyczał: w lewo, w prawo.

Przed bramą monasteru stał Wysoczan, a podle niego kilku z jego przydwornej służby. Kozacze ucho zasłyszało tentent konia; już miał wejść w mury, i dać rozkazy obrony, kiedy na dąbrowie pokazał się jezdziec jeden, za nim drugi i trzeci i inni. Czy poznał Wysoczan tych jeźdców, czy taką garstkę za lekce ważył, bo postąpił naprzód a służba za nim; ale mieli dobyte szable. Błysk szabli, zapalił krew Danielowi; wychwycił szablę z pochwy, konia przypuścił, koń wojenny wprost na Wysoczana sadził, a nim ten zdołał umknąć się wpadł na niego i zwalił piersiami na ziemię. I przeniósł przez służbę jeźdzca płatającego szablą na wiatr, i na wiatr wołającego.

— Psie, gdzie moja żona? —

Podniósł się Wysoczan, służba mu biegła na ratunek, nie bardzo rada, że powstał zły Pan. On wypluwał ziemię z gęby; a kiedy go stary Neczaj witał kozackim żartem:

— Panie bracie, najadleś się sałamachy, chodź popijemy, a gdzie moja czarnobrewka? —

Wysoczan mruczał.

— Sto djabłów by jego ojca i matkę, dam ja mu sałamachę, poczekaj. —

Brama monasteru już się otworzyła, Daniel ściskał Helenę, Helena tuliła się do niego. Czarnopręgi robił bokami i parskał. Stefanida szła naprzeciw staremu mężowi. I Putywlanka już spostrzegła Sirka znachora. Wysoczan trochę się udobruchał, i kozacy się witali. Czernice błogosławiły wszystkich wodą święconą, i krzyżem świętym. Kiedy za murami monasteru rudobrody Naum zaśpiewał.

Cześć hetmańska nasza sława,
Buńczuk kary i buława,
Czaple pióro, pieczęć złota,
Wszystko poszło w obce wrota.

Tak ciche było to śpiewanie, że choć dosłyszały wszystkie uszy ten śpiew, nikt słów nie zrozumiał; ale Helena je zrozumiała, spojrzała na męża, nie w oczy, nie na postawę, ale na baranią czapkę; westchnęła, nad nią nie powiewało czaple pióro.

— Co ci jest takiego moja luba?

— Nic mi nie jest, ja ciebie kocham. —

I pocałunek mu dała, ale patrzała na baranią czapkę, a tam nie ma czaplego pióra.

V.

CZAPLE PIÓRO.

Weszło słońce nad Putywlem, toż samo słońce, co patrzało na Konotopską bitwę. Przypatruje się, poznaje tych samych Kozaków, których widziało pod Konotopem, ale nie widać przed nimi wroga; na koniach nie harcują, szablami nie grają, i wrzaskiem w uszy śmierci nie ślą. W czystem polu, z odkrytemi głowami, słuchają służby Bożej. I Hetman z odkrytą głową, a czaple pióro do kolan mu powiewa. Sam Metropolita Kijowski, Bazyli Tupolski, starzec włosa białego jak mleko, służbę Bożą odprawiał, i po służbie błogosławił i Kozaków i Lachów.

Hetman dosiadł konia, objeżdża pułki, kurenie; wrony jak paw' ogonem się przykrywa, po łabędziemu zachyla szyję, i czwaniąc się stąpa, a czaple pióro po nad kołpakiem pływa. Hetman daje rozkazy kozactwu, na pograniczne straże, w zamki na załogi, i na leże spoczynku, i wszystko w pochód się zabiera, bo tak Pan Hetman kazał.

Z każdego pułku, z każdego kurenia zostawało po jednym starszym, po dwóch mołodców, ale takich że już na nich nie spojrzy umizgiem ani mołodyca, ani dziewica choćby jaka; głów nie potrzebowali golić, znoje i lata były im golarzami, a wąsy wypłowiały, wybielały na wojennym blichu; szable poszczerbiły twarze, a kule i spisy ciału piegów dodały; ten bez ucha, tamten jednooki, ten podusty, a ten znowu jednoręczka; tamten krzywonogi, a tamten szramonos; wszyscy kalecy, noszą się z upominkami moskiewskimi, tatarskimi, bisurmańskimi i łackimi nawet. Ci dosiedli wronych koni jak kruki, a wszystkich jednakich. Wzięli w ręce chorągwie, kotły i trąby zabrane na Moskwie, a na ich czele stanęli: Nosacz, Hulanicki i Niemiryez. Oni to mieli zawieść podarek Królowi Jegomości i Rzeczypospolitej Polskiej.

Drugie tyle starszych i mołodzców wskoczyło na konie, na wrone stepowe konie, ale u tych wąs się czerni, i rumieniec

krasi; zuchy co do szabli i koni, ale też zuchy do dziewczęcej buzi. Niemi przywodzili Konstantyn Wyhowski, starszy Sirko, a miał w drodze dogonić Daniel Wyhowski; te młode orlęta czupurno spozierają na stare orły; dobrze im z ich prawornością, z ich łatami, a jednak w duszy mówią: Bogdaj my tak Ojczyźnie służyli! Bogdaj i my takimi kiedyś byli!

Dwa pokolenia kozacze słał Hetman naraz do Polski, na pokaz Królowi Jegomości i Rzeczypospolitej, jakie to w nich są dzieci; jedni nieśli na sobie świadectwo co zrobili, drudzy pewną obietnicę, co potrafią zrobić.

Poszła stepem gromada kozacza z darami jak z wielkanocnemi pisankami do Króla i Ojca, i Hetman wracał do Putywla. I czemuż wrony przed chwilą taki żwawy, taki ochoczy, zwiesił łeb ku ziemi jak gdyby strawy szukał, a dziś zrana nie żałowano mu złotego owsa i semskiej wody; co mu się nigdy nie zdarzało talerze zbierał, a nawet westchnął. Gdyby Hetman na boje jechał, byłby to zły znak, ale do Putywla! —

Koniowi puścił na samowolę, i dumkę puścił na samowolę; tylko czaple pióro się czwaniło, wiejąc się po nad kołpakiem to w prawo, to w lewo.

W bramie już mu dano znać o przyjeździe Muchawskiego z listami Panów Hetmanów koronnych wielkiej i polnej buławy, a w zamku między starszyzną Lacką, zastał gońca i doktora Vulpiusa. Kiedy witał Lacha przybylca, dawnego znajomego, niewiedzieć dla czego ręka mu drgnęła, jak gdyby kto w nią ukłuł; może to szorstkość dłoni wojennego męża, i miecze obudwom brzęknęły w pochwach, choć je ręka ani dotknęła.

Muchawski oddał listy Hetmana, a Hetman kozaczy witał gościa drogiego w kozaczym zamku.

Twarz Hetmana choć na uprzejmość się sili, we wspak woli posępnością się obleka, a gość słodko się uśmiecha, i znienacka okiem strzela po Hetmanie i po starszyznie kozaczej.

Marcin Cieciura do niego się garnął, tak iż kontusz kozaczy muskał się o kapotę. Cała starszyzna kozacza splunęła i pomyślała; tfu! Kozak przy Wyzuwicie! za takiego go tam miano. Wdzięczniej się jeszcze uśmiechnął, oddając list Hetmanowi.

— Od Królowej Jejmości Pani nam miłościwej do Jaśnie Wielmożnego Waćpana. —

Tą razą rzucił okiem już nietylko po starszyznie kozaczej, ale i po panach Lachach, i na wszystkich twarzach oprócz jednej jaśniała dobra wola ku Hetmanowi.

Hetman podziękował i wnet list od Królowej czytał, a twarz miał tak jednaką, że mistrz choć jaki nie mógł zerwać i dźbła myśli snującej się w duszy. Potem zaraz czytał listy Hetmanów i już nie można było wiedzieć, z jakich wrażeń uczucia wypływały na twarz.

— Panowie bracia Lachowie, rozkaz Panów Hetmanów każe wam wracać za Dniepr. Przyjmcie nasze serdeczne braterskie dzięki, i po bratersku wspominajcie o nas kozakach. Myśmy dzieci jednej matki, bogdaj tak zawsze między nami było jak teraz.

— Łzy Hetmanowi stanęły w oczach i Lachom oczy się łzawiły; chwilowe milczenie lepiej mówiło o braterstwie Lachów i Kozaków, jak wszystkie słowa przyrzeczeń, jak wszystkie słowa przysięgi.

Hetman znowu zabrał głos.

— Bracie Cicciuro, pojedziesz z Panem rotmistrzem Muchawskim, taka wola Króla Jegomości, taka rada Panów Hetmanów. Przebłagasz naszego ojca za przewinienia, on ci przebaczy. Pan łaskawy nasz ojciec. —

Cieciura spojrzał na Chudeusza, a Hetman wziął to za wzrok obawy.

— Bracie Cicciuro, niczego się nie lękaj. Dobroć i łaska Miłościwego nam Pana, nasze zasługi przed matką ojczyzną, nasze szczere chęci do jej posług, rękojmią twojego życia i twojej wolności; a co do twego dostojeństwa, to moja rzecz; jakeś był tak i będziesz Starodubowskim pułkownikiem, a z twoich dostatków żadna ręka i szeląga nie tknie oprócz twojej. —

Cieciura dziękował i ludziom zdawało się, że szczerze.

Hetman następnie pisał listy do Królestwa Iehmościów, do Panów Hetmanów i do Senatu Rzeczypospolitej, a potem były pożegnania. Stoły rzęsisto zastawione obfitem jadłem, z mięsiwa, ryb i rozmaitych bakalji; w puhary w roztruhany sączyły się: węgrzyn, małmazja i zamorskie wina; teorbany drumkały, pieśni grzmiały, i z samopałów i z harmat palono na wiwaty. Hetman, Pan Kozaczy, Senator Polski, hojnie i serdecznie częstował lubych gości, braci wojny i pokoju. Można było powiedzieć, że napoje strugami się lały, a jadło stertami się walało. Każdy od najdostojniejszego aż do najmizerniejszego, dostał podarek od Hetmana, w miarę swojego dostojeństwa, w miarę swoich zasług. Każdy dostał podarek, żeby kiedyś jego prawnukowie mogli mówić: Pod wodzą Jana Wyhowskiego nasi praojcowie pod Konotopem byli i gracko Moskalów pobili: a oto podarek Hetmański w świadectwie. Na samym końcu po staropolsku dostrzemienne wypijali; na raz wszystkie harmaty huknęły i bracia Lachowie pojechały w drogę.

Noc ciemna, noc cicha była dla wszystkich, ale spoczynek to był nie dla wszystkich. W starym zamku starszego jeszcze Putywla, w trzech komnatach, nie księżycowe światło błyskało, i u trzech ludzi były otwarte oczy i bezsenne myśli, a każdy był sam na sam ze swojem dumaniem.

W jednej suchy a słuszny człowiek jak cień nocny przesuwał się po komnacie, z końca w koniec. Na twarzy jego nie masz tego uśmiechu, w który zazwyczaj stroi się przy ludziach; była ona ponura i blada jak światło świecznicy płonącej w rogu komnaty; kiedy niekiedy wypsnęły się mu słowa, jakby na rozmarzenie, jakby na podsycenie rozmyślania.

— Trudno — ale kto wie? — o ta potęga Polski — nie damy jej wzrość! — Niech się wadzą między sobą — i niech się sami zjedzą. Inaczej poszliby daleko. — Germanowie panami świata — a ludzie powiedzą, to Jezuici zrobili, i dobrze niech tak mówią, niech ich potępią a tamci niech giną — tego nam potrzeba. Ten list przeciw niemu — przeciw niemu się obróci — łaska stanie się zgubą — zawiść to burzycielka — pewniejsza potęgi jak potęga jaka. Uderzył się w czoło — Może kiedyś i Cesarz Pan i Germania powiedzą: Vulpius przyczynił się do zgubienia tej potęgi, co na drodze stała naszej potędze. —

Spojrzał po komnacie, on tam sam jeden tylko z ludzi; ale kot pomrukiwał, i czasem na pół otwierał oczy, on słuchał jego słowa, a może chciał wysłuchać i myśl: nogą go wytrącił za drzwi, i drzwi łepiej zamknął.

Ale światło świecznicy patrzało na jego twarz, a może chciało wypatrzyć i myśli. Zdmuchnął światło, zadławił, i było ciemno, a on dalej rozmyślał; tylko kot pod drzwiami bezustannie miauczał jak gdyby na to, żeby ciekawemu uchu, jeżliby takowe się znalazło, nie dać dosłyszeć i jednego słowa Pana.

W innej komnacie bezsennym był Marcin Cieciura; jak wilk chowany, tylko przy ludziach niby potulny, niby łaskawy, ale sam bez nikogo czy to na łańcuchu, czy w zagrodzie, to w swoje gra, tak i on zżymał się, pyrchał, to zębem zgrzytnął, to oczyma po djablemu przewracał.

Ha psiawiara! moja praca, a on będzie jadł kołacze! ha trzysta djabłów by ich rżnęło, suczy ród, i buławę i czarnobrewkę wszystko mi na raz wychwycili. Choć głową nałożę, a taki moje będzie.

Jasno sine oczy krwią zaszły; ciężko, nierównie oddychał, tak nim gniew krztusił, a duży łeb trząsł się na karku, jakby chciał z niego zlecieć. I tak się bundiucznie sierdził, bo cicho, głucho było koło niego. Jak w noc ciemną, w noc pustą, wilk sumując po jarugach ostrzy zęby na bydlęta, tak Marcin Cieciura zacierał ręce na pohybel Hetmanowi i Hetmańskiemu rodowi, na pohybel Lachom.

W Hetmańskiej komnacie Hetman i czytał i dumał i pisał, a twarz jego to smutkiem się powlekała, to jaśniała wolą, tak jak płomień świetlicy, tlejący to ciemniej, to jaśniej. Już noc za połowę ku dniowi ubiegła, świetlicy zasnąć się chciało choć

na chwilkę, a Hetmanowi nie zbierało się na sen. W świetle oka nie mrużył, i taka jego była wola, żeby światło na niego patrzało.

W tem drzwi się otworzyły, i wszedł do komnaty starzec. U niego na głowie i na brodzie biała zima, i twarz i oczy jaśnieją od tej bieli, jakby były za tumanem pruszącego śniegu; na ciele szata czarna aż ku ziemi się ściele, na piersiach krzyż Zbawiciela ze srebra, ręce miał złożone dłoniami ku sobie, a chód jego był powolny, równy, jakby sunął się po niebieskim promieniu.

Hetman powstał.

— Wielebny ojcze, co cię przywiodło tu o tej godzinie?

— Synu, może potrzebujesz przyjaciela. —

I obadwa zasiedli w krzesłach. Metropolita stary wiekiem i świętością, a Hetman po Konotopskiej bitwie stary już sławą.

Na dorywczo słowami do siebie nie sypnęli. Metropolita spojrzał na popisane listy i na twarz Hetmana, a na tej twarzy był szczery spokój, jawne pokazanie, jawne jak na dłoni dowolnego z siebie sumienia.

— Ojcze, Starostwa, buławę polną, a potem i koronną mnie obiecują, byłem tylko je przyjął.

— Synu, tyś ojciec Kozactwa!

— I syn wierny przesławnej cerkwi.

— Potęga twoja większa od tej którą ci dają.

— Ta potęga tylko czasowa, ty wiesz ojcze, com przyrzekł?

— Komu?

— Nieboszczykowi.

— A Kozactwu?

— Będę służył wiernie póki sił, póki tchu stanie.

— Bóg ci niech pomaga. — Wojewodo, Hetmanie, strzeż wiary naszej, ale nie daj rozrywać się ogniwu wiążącemu dzieci jednej matki. Nie dawaj w ręce miecza, coby go na własną zgubę mogły użyć. Pomnij, że ta szabla, którą Stefan Batory dał nam na to, abyśmy się stali piersią światu Chrześciańskiemu od Bisurmanów, w swawolnej dłoni nieraz na bezprawie pracowała, świętej wierze niosła szkodę, uczciwości wojskowej poniewierkę; pomnij że ta szabla, którą król Władysław chciał ukrócić bezład i podeprzeć powagę tronu, rozdarła matczyne łono; tyś je zagoił, i teraz chcesz szablę oddać w Bóg wie jakie ręce. — Wojewodo, Hetmanie. —

Metropolita skończył i nie spuścił oka z Hetmańskiej twarzy. Hetman słuchał i dumał, i takie było milczenie, że gdyby nie ściany starego zamku, nie zaszklone kraty, głos ten poleciałby po wszej Ukrainie, i zaleciał aż do Polski.

Kogut zapiał na doświtek, a oni jeszcze nie spali. Świt zajaśniał, a świetlica w Hetmańskiej komnacie konała, konała

i skonać nie mogła; ale za to słyszała ostatnie słowa przy rozejściu się:

— Synu dla wiary, dla Ojczyzny.

— Ojcze przyrzekłem.—

Z dniem białym u Hetmana były posłuchania. Rozporządzał, rozkazywał, i we wszystkiem było nie tylko na dziś, ale i na jutro, a to na dalekie przyszłe jutro. Był on gospodarzem co w lecie myśli o zimie, i wszystko na zimę sposobi, jakby ona tuż wisiała nad głową. Na twarzy Metropolity cicha radość siadła; a myśl: on nas nie myśli opuścić, radością poiła jego duszę.

Kiedy Jan Wyhowski oddawał listy i żegnał jak brata Marcina Cieciurę, przygody niepowszednie stały się w Putwyłu.

Ze stajni Hetmańskiej wyrwał się koń dżanet, perskim kobiercem przykryty, z uzdą tylko na głowie. I służba, i parkany go utrzymać nie mogły; ludzi poroztrącał, parkany, przekopy poprzesadzał. Jak tuman burzy pędził, aż strach ludziom było na niego patrzeć; wiatr mu rozczochrał i ogon i grzywę. Z wysokiego wzgórza wskoczył w Sem, bił się po wodzie, po oczerecie, na drugi brzeg przepłynął i tam padł bez ducha; a kiedy ludzie tam przyszli, znaleźli pod brzuchem dżaneta dwa koty, jeden rudy, drugi czarny; w skórę, w koście wpiły się pazurami, a zębami aż do wnętrzów przegryzły, a taka była ich wściekłość, że w biegu, w wodzie, i na ziemię padłszy trupem, nie puściły swojej pastwy.

W tejże samej chwili ponad Putywlem trzy jastrzębie goniły za jednym puszczykiem, a mała ptaszka piskliwie świegotała nad jastrzębiami. Puszczyk skrył się w dzwonnicę cerkwi, a jastrzębie z takim pędem na niego biły, że jeden rozbił się o złoty krzyż kopuły i padł na miejscu bez ducha; drugiego djak dzwonnik pojął żywcem w kopule; trzeci długo do koła cerkwi szybował, nim go kulka spuściła na ziemię, a ta kulka nie wyleciała z kozaczej strzelby, tylko z rusznicy lacha sługi Pana Muchawskiego.

Zrana zabierało się na dzień jasny, i słońce pięknie weszło, i chmury nie pływały po niebie. Tak tam było i jasno i czysto, jak gdyby całe sklepienie było ze szkła szlifowanego. W tem nagle ni ztąd ni zowąd dwie chmury czarne, jedna od Tatarszczyzny, druga od Moskiewszczyzny, jak dwa konne hufce cwałem parły do siebie, starły się i gromy huknęły. W zygzag błyskawice po błyskawicach iskniły i migotały i deszcz kroplisty lunął.

W tej właśnie chwili Doktor Vulpius, Muchawski i Marcin Cieciura odjeżdżali z Putywla.

Lud kozaczy chmurzył się, wąsy pomuskiwał, pocierał brody, a znachorowie już poczęli kmetować o złej wróżbie, i przebąkiwać złą wróżbę.

I chmury gdzieś w obłoki wsiąkły, deszcz ustał, i słońce zajaśniało, i jeszcze ładniej było na stepie jak po rosie, i w tymże samym czasie wyjeżdżał z Putywlańskiego zamku Hetman na czele mnogiego rycerstwa; za nim wiedziono charty na smyczach, za nim wiedziono na berlach sokoły i białozory, na mnogich wozach ciągnięto rozmaite sprzęty; luzacy wiedli na powodach dżanety, bieguny i bachmaty, różne maścią, różne rodem, a wszystkie zdobyte dziełem wojennem Kozactwa, albo hodowane w kozaczej ziemi. Hetman jechał na swoim wronym koniu, i twarz jego była pogodna. Kozakom wróciła otucha i wołali:

— Jedź zdrów nasz ojcze! i zdrów wracaj do nas! —

I Putywlanom żal było po nim. Wyszli w step i długo, długo patrzali. I Hetman i Kozactwo z oczów stracili, i patrzali jak orzeł po nad stepem latał, i krakał, Hetmana także szukał, i za Hetmanem sumował.

*

Obiedwie Chmielnickiego córy z swoimi mężami do Baturyna zjechały. Stefanida przy starym Neczaju zdaje się niby dziecię przy ojcu, ale jak dziecię dobre, potulne, ze spokojem na twarzy, z pogodą w oku. Widno że jej swobodno w duszy, a błogo na sercu; ale Helena męża sława, męża kochanie, czemu nie szczerze wesoła? Czy grzechy ojcowskiego życia powiały na jej szczęście tęsknotą? czy smutne przeczucie gość nieproszony mąci się między jej dumki? Mąż stanął przed nią, ale i jemu coś markotno, chciał jakieś słowa mówić, a nie wiedział od czego zacząć. Może chciał o markotność żonę pytać, a może swoją jej powierzyć.

Czarnobrewka do niego się uśmiechnęła tak lubo jak kiedyś.

— Danielu, moje kochanie, jedźmy do naszego zamku. —

On jej pocałunkiem odpowiedział, tym pocałunkiem co to nic mówi ani tak, ani nie, ale za odpowiedź stanie.

Na poparcie prośby łza stanęła w czarnobrewki oku.

— Ty zawsze odjeżdżasz, a mnie samej bez ciebie młode lata biegną.

— Tak zawsze nie będzie.

— Co mi tam, że kiedyś tak być może! niech teraz tak będzie! Danielu dziś nasze, a jutro kto wie czyje.

— Moja luba!

— Danielu, jedno młode lato bądźmy z sobą. I rączką popieściła go po twarzy.

— Daniel milczał, i rękę żony do ust przycisnął, jak gdyby w dłoń szeptał odpowiedź.

— Ty nic nie mówisz?

— Moja jedyna, nie potrwa długo: miesiąc jeden, nie więcej.

— Co takiego?

— Mój odjazd.

— Dokąd? — Liczkiem zbladła, a drobną rączką za ramię przytrzymywała męża — Dokąd? po co?

— Taka wola Pana Hetmana.

— Czy znowu na jaką wojnę?

— Nie moja luba, w poselstwie do Króla Jegomości i do Rzeczypospolitej. —

Jakże nagle odegrały i twarz i lice czarnobrewki! połysk oka łzę olśnił, a bladość krasnym rumieńcem zapłynęła na licach; i połysk był jaśniejszy od gwiazdki, i rumieniec był kraśniejszy od maliny.

— Do króla Jegomości, do Rzeczypospolitej; taka Pana Hetmana wola? —

— Co ci jest Heleno?

— Nic — nic — ty jedziesz, jedź szczęśliwie. Niech nam Bóg dopomaga; a wracaj prędko, a wracaj. — I pocałunkiem chciała domówić, czego słowem nie domówiła.

Daniel patrzał na żonę zdziwionem okiem.

— Tak, tak, moje kochanie, pamiętam, jeszcze malutką byłam, kiedy nieboszczyk ojciec opowiadał o Królu Jegomości, o Panach Senatorach Polskich. Pamiętam jak dziś, mówił o Wielkim Kanclerzu Ossolińskim. —

Daniel westchnął i tak cicho szepnął, że za westchnieniem słów słychać nie było.

— Bogdajby go nigdy był nie znał!

— Czego ty się smucisz luby? Słuchaj co mówił nieboszczyk Ojciec: — Gdyby nie Wielki Kanclerz, nigdybym nie był tym czem jestem. On przezemnie chciał wdziergnąć się w tajemnicę króla Władysława, i mnie dał w ręce potęgę i moc. Najmłodszy byłem z całej starszyzny; gdybym był po szczeremu samym tylko koniem i spisą pracował, byłbym sobie zapracował na mogiłę i na trochę sławy, ale chwyciłem za rękę co mną się chciała posługiwać i posłużyłem sobie.

— Heleno, nie mówmy o tem.

— Dla czego nie mamy mówić?

— Nie mówmy, on twój ojciec.

— Tak, mój ojciec. Jam Hetmańska córka. — I wzrostem dumy podrosła, i szatą dumy się przyodziała. —

Mąż chciał ją ująć za rękę, ale ona spojrzała na niego, na jego strój, i ręki mu nie dała.

— Tak, tak, jam Hetmańska córa! Dzieckiem jeszcze bawiłam się czaplem piórem. —

Wyszła, a tak prędko, że Daniel nie mógł słowa schwycić na odpowiedź. Stał jak w odumieniu, z myśli nie wychodziły ostatnie słowa żony: Czaple pióro — i okiem szukał na swoim kołpaku czaplego pióra.

I pół godziny nie upłynęło. Helena we łzach przychodziła przepraszać męża pieszczotami, słowami.

— Mój ty luby, nie jedź w poselstwie. Zostań ze mną. Ja taka szczęśliwa z tobą! —

On jeszcze smutny, ale nie odtrącał żony, tulił ją do siebie.

— Nie mogę, taka wola Pana Hetmana.

— Na co to nam wszystko się zdało? — czyż my nie mamy dosyć naszego szczęścia?

— Nasze szczęście! nasze szczęście! — Potrząsł głową.

— Danielu, ty mnie nie kochasz?

— Kocham Heleno! ale kocham Ojczyznę.

— Czyż niedość jej służyłeś?

— Nigdy dosyć.

— Nie jedź mój jedyny!

— Nie mogę, moja luba; taka wola Pana Hetmana.

— O źle to być Hetmanem, kiedy się złe robi drugim. Najlepiej być u siebie. Prawda Danielu!

— Prawda, prawda moje kochanie.

— Ty nie pojedziesz Danielu! —

On milczał. — Czarnobrewka tak ładnie, tak składnie się hołubiła, że Daniel gotów był dla niej poświęcić życie kozacze, a nawet sarkał na wolę Pana Hetmana.

Kilka razy tak się trafiało na dzień. Mąż w głowę zachodził, co za choroba napadła żonę. Sirko znachor co po kozaczemu swoje robił, a wszystko widział co w około niego się działo, zżymał ramionami.

— Licho przystąpiło do niewiasty, jak nawiedzona to płacze, to skacze, a człowiek sobie rady nie da. Otóż to tak, nie miała baba kłopotu, taj kupiła sobie prosię; nie miał człowiek biedy, taj wsadził sobie żonkę na kark. Panu Danielowi płacz, a ludziom śmiech; było czarnobrewki hetmańskiej nie zachciewać, a żyć po naszemu w koszu, a za koszem nie żałować sobie a hulać. Hej! hej! z nami tak nie będzie; skacz, śpiewaj dziewczyno jak ja każę, a nie chcesz to nahajką w plecy, na koń, i bywaj zdrowa! będzie druga! Żeby tak o dobrego konia, jak o dziewczynę, ba ba. —

Strzepnął się jak szczupak w szarawarach, kontusz na nim zaruszał się jak skóra na łoskotliwym koniu, poprawił seledec, łypnął okiem, mrugnął wąsem, i poszedł do dziewczyny Putywlanki pośmiać się trochę.

Na czwarty dzień przybiegł sam Hetman do Baturyna, za nim Kozactwo, za nim charty i sokoły. Stary Neczaj z pułkami Hetmana witał, a Hetman tak się braciom Kozakom kłaniał, że czaple pióro zmiatało pjanę z wronej grzywy konia. Skoro zobaczył Daniela Wyhowskiego, jasne czoło trochę się schmurzyło.

— Panie Pułkowniku jeszcze tu?

— Zaraz jadę, ojcze Hetmanie.

— Kozacze zaraz nie w słowie. —

Młody pułkownik nic nie odrzekł, tylko ręką machnął na służbę, i ztamtąd głos zabrzmiał.

— Hej koni! żywo, żwawo! —

Hetman witał, a Daniel żegnał czarnobrewkę. Helena nie śmiała powiedzieć mężowi: zostań, zostań, tylko jak w tęczę patrzała w czaple pióro Hetmańskiej czapki, a łzy perły z oczów padały.

Pojechał młody mąż, a żona za nim nie patrzy, tylko wciąż tkwi oczyma w czaple pióro. Długo, długo na ganku stała i łzawiła soboli zarękawek, a tam przed bramą guślarz w gęślę brzdąkał, jakąś piosnkę nucił, dla każdego kto chciał jej słuchać.

Pokłon tobie ojcze panie.
Pokłon Tobie nasz Hetmanie.
Po Bohdanku złote zbroje.
Po Bohdanku pióro twoje.

Buńczuk sławny i buława,
Nasza pieczęć, nasza sława;
Wszystkie skarby, wszystkie mienia,
W twoje ręce wszystko dano.

Hej Wyhowski! ty nam panem;
W naszym koszu ty Hetmanem,
Całej Rusi Hospodarem,
Ukrainy złotym Carem!

Hej po zmarłym to Bohdanie!
Hej po sławnym to Hetmanie!
Spadło Tobie tyle sławy,
W cześć i k'dobru naszej sprawy.

Hej w moździerze, hej we dzwony!
Chmielniczenka, hej w pokłony.
On wam ojcem, on wam panem,
W pokłon, w pokłon przed Hetmanem!

Przy Wyhowskim nasza sprawa,
Całej Rusi przy nim sława;
Jemu, jemu kłaniać trzeba.
Za sól, wodę i kęs chleba.

Czaple pióro kto dostanie.
Temu, temu panowanie;
Panowanie nad wszystkiemi,
W naszym koszu, w naszej ziemi.

Hetman schmurzył czoło.

— Hej tu tego gęślarza! —

Dwóch Asawułów, skoczyło, ale nim przepłynęli tłum, guślarz gdzie tak utonął w tłumie, że ani go znaleść można było. Koło Baturyńskiego zamku tłum był szeroki, a taki gęsty, jak podszyty ług ciemnej puszczy. Wszystek ten lud, jak na prażnik, jak na odpust zbiegł się oglądać i witać zwycięzcę Hetmana.

Hetman do czarnobrewek przystąpił i do obudwóch z ojcowskim uśmiechem mówił. Starsza córa Chmielnickiego jak ojcu uśmiechem na uśmiech, na słowa słowami odpowiadała, a młodsza w myśli jak pacierz odmawiała całą piosnkę guślarza od początku do końca, a oczów ani spuściła z czaplego pióra. I Hetman odszedł, a czaple pióro jeszcze jej majaczało w oczach i z tym majakiem w łoże się układła. We śnie o niem śniła, a na jawie o niem marzyła.

VI.

POŻEGNANIE.

Do Czehryńskiego zamku, do bratowej, do hetmańskiej żony Helena przyjechała. Tak dobrze jej tam było w gościnie, jak we własnym domu, ale jej nigdzie nie dobrze, wszędzie markotno.

Bratowa mówi:

— Heleno, tak płaczesz jakbyś wdową była, a mąż twój powróci niezabawem. —

— Niezabawem! O jak to dalekie to niezabawem! —

— Dajże ty pokój! żeby Daniel pojechał na wojnę, nie mówię. —

— O! wszędzie przypadek spotkać może. —

— Ależ na cóż takie złe myśli do głowy przypuszczać? —

— Dobrze to być z dobremi myślami kiedy kto ma męża przy sobie, mnie bez mojego nudno. —

I odwróciła się od bratowej. Szła przez komnaty, szła w sad, a łzy z jej oczu padały przed nogi. Hetmańska żona temu się nie dziwowała, i nie dziwnego! rok nie spełna jak się pobrali, i to ledwie miesiąc byli razem z sobą jednym ciągiem.

Hetman zdybał młodą bratowę, ale skoro zobaczył, że smutek z nią w nierozdzielnej parze się wałęsa, nie pytał ją o nic, nie pocieszał, tylko zostawił ze smutkiem; pozwolił jej posmucić się. On wiedział że to najlepsza posługa jaką mógł oddać.

Tak niedowolnie dnie po dniach, noce po nocach roniła czarnobrewa córa Bohdana, w tymże samym Czechryńskim zamku, gdzie przeskakała młode lata; w tymże samym zamku, gdzie każdy kamień, każdy sprzęt, i woda Dniepru i wiatr stepowy wciąż mówili o sławie, o potędze nieboszczyka ojca: w tymże samym zamku, na który z dalekich pustyń zlatywały się stare orły i zsiwiałe białozory, zobaczyć dawnego znakomca, serdecznego druha Bohdanka, i odlatywały dziko krecząc, że go tam nie ma, ale w tem krakaniu obzierały się ze ezcią, z orlą miłością na nowego Hetmana, bo orły i białozory choć jak stare

tłuką się po stepie wojennych schadzek, i w Janie Wyhowskim poznały wodza z pod Konotopu.

Był to dzień poniedziałkowy, dzień na Ukrainie nie dobry. W poniedziałek djabeł karbowy karbuje wszystkie psoty niedzielne, czarownice biegają po świecie, i co tylko zacząć, to wszystko niegłaźnie idzie, do końca nie bieży. Jednak tego dnia na niebie było dobrze. Bezchmurne obłoki jaśniały słońcem. Siny Dniepr nie bardzo się sierdził, mętna woda tylko się zginała w zwyczajne marszczki starości. Wicher nie rozhasał się od Nogaju, tylko zwolna podmuchiwał. I piersiom lubo było pić stepowe powietrze, i oczom lubo było patrzeć na stepowe łąki, kędy między bujne trawy plotło się barwiste kwiecie, jak w myśli szczęśliwego człowieka, między błogie domki, roskoszne wspomnienia.

W taki dzień czarnobrewka zaraz po służbie Bożej z cerkwi wyszła wprost za miasto; ale wyszła nie sama. Zdala za nią postępowała służba, a obok niej mnich jakiś. Jak gdyby rzucić biały kwiat kaliny na całun grobowy, tak twarz mnicha młoda, blada, tęskna i potulna wydawała się między czarnym kołpakiem, a czarną szatą. Oczy mdlały od jasności dnia i w dół się kłoniły, do lepszej im spodoby bawić się z czernią szaty, jak ze złotem słońca. I fałdy szaty nie pływały pohożo, ale nierównie i zawsze inaczej się gięły. Widno, że niepewne stąpają stopy młodego mnicha, co krok boją się przeszkody jakiej.

I jakże on różny od czarnobrewki! Ona choć smutna i tęskna, idzie jakby płynęła z falą Dnieprową w dzień nieburzliwy, gładko, pohożo, jak młode orle głową igra z wiatrem, a oczyma ze słońcem. I łasiczka nie taka składna, nie taka ładna, i łania nie taka posuwista. I zorza jutrznia nie taka dumna, i gwiazda wieczornica nie taka tęskna — jak ona.

Szli oboje i trzymali się za ręce, szli i milczeli, a tak szli aż po nad sam Dniepr. Tam na mogile leży kamień dziki, a ta mogiła czyja? tego nikt nie wie. Może ztamtąd ogniskiem Tatarzyn przyświecał swoim na znak, że już poborukał stary Dniepr i goni w łackie ziemie. Może tam próchnieją koście setnych ludów zmięszane z sobą razem; bo ruska ziemia, to pobojowisko szerokie dla ludzi wszego świata. Bóg kazał ludziom schodzić się tam na bój, Bóg przeznaczył tę ziemię na wieczny spoczynek dla ludzi boju. Dziki kamień leżał jak sierota: nie było tam ani drzewa, ani budjakowych badyli, coby go przysłoniły od słońca. Oboje na nim usiedli, jak gdyby oni sieroty do sieroty przyszli, z pociechą, z pożałowaniem. Służba za mogiłą została. Młody Ihumen szeptał pacierze, a w dół, w ziemię patrzał. Czarnobrewa dumki w myśli szeptała i pławiła się wzrokiem po nad ziemią.

— Patrz Jerzy, tam Sobotów gniazdo nasze! —

— Boże daj odpoczynek naszym, na wieki wieków. Amen. —

— Ty nie patrzysz, jak tam kopuła cerkwi błyszczy, tak kiedyś sława naszego Ojca błyszczała po wszem świecie! —

— Niech mu łaska Boża teraz błyszczy! — i modlił się.

Czarnobrewa umilkła; może o mężu, może o ojcu zadumała się.

A tam z Czehryna chmura jeźdźców zwolna się wysuwa. Wiodą na smyczach rącze charty. Wiozą na berłach lotne sokoły, oczne białozory. Sam Hetman na łowy musi jechać, boto taka jego przywyczka; jak nie na bojach, nie na radzie, to na łowach. Czarnobrewa patrzy: ona lubi patrzeć na to podobieństwo wojny, i w marze myśli, mara męża kochanki przed nią harcuje. Młody Ihumen rzucił okiem raz, drugi i nie mógł zaczepić oczów na łowieckiej zabawie. Nazad, nazad ku mogile je chyli: widno, ze mu ona milsza z bezdnią ciszy, jak to życie szału.

Łowce w ławę się rozwinęli, i ławą suną w step.

Brodzą w burzanach, po ścierniach, kopytami strychują, utoną w jarze i znowu na pole wyplyną; skryją się na trochę w dębowym kręgłaku, i znowu ich widno, a tak równo się suną jakby sznurem ława była związana. Zakapturzone białozory i sokoły drżą na berłach, poprawiają skrzydła i dziób ostrzą; a dzwonki berel brzęczą im dziko. Charty lby podrywają, uszyma strzygą, oczyma iskrzą w pole na daleko, a idą w smyczach. I łowce wznoszą się nad siodła i jak walne sokoły do koła okiem zerkają.

Helena z tą ławą okiem idzie a idzie; ją to bawi, ona to lubi. Już poznała Hetmana; w samym środku jedzie na wronym koniu; przy nim na smyczy dwa charty białe jak mleko, to hetmańskie ulubione charty. Poznaje starszyznę, między nimi nie masz Daniela. Westchnęła, ale znowu patrzy. I już nie zważa na młodego Ihumena, że on nie patrzy na to, co ona lubi.

Z przed samego prawie Hetmana pomknął się szarak z pod miedzy, skokami strzepnął, słuchy po sobie położył i wybrykał jak dla igraszki. Hetman trochę odpuścił i zemknął swoje charty ze smyczy; jak z procy pomknęły a razem. Hetman koniem kopnął. Hejże go ha! I cała ława łowców w skok bieżała, a charty przed konie rwały się na smyczach; domagają się, domagają białe, i domogły się. Jak w piłkę zającem zagrały, jeden drugiemu podawał; trzy obroty daly, ale nie śmiertelne, pół obroty tylko, i zając w mig się odsadził. Gracz, białe hetmańskie charty mydlarze, rzecz nigdy nie bywała! Szarak jak od stojących się odsuwał, i nie kładł się po sobie, a strzygł słuchami. Hetman krzyknął — puszczaj, hejże go ha! — I dwójkami charty po chartach rwały się ze smyczów, a łowce po łowcach zawrzeszczeli — Hejże go ha! — W susach sadzą charty, jak struny się wyciągają, piersiami głaszczą ścierń, w chmurę się zganiają.

Szarak wymknął na drożynę, i koci jak sankami po gołole-

dzi, a czereda psów długim ogonem wyciągnęła się za nim; białe hetmańskie charty rej im wiodą, i w oczach znaczą, jak gdyby błyskawica ciągnęła burą chmurę za sobą.

Po pod samą mogiłą i psia i łowiecka laja przesuwała. Hetman pierwszy z łowców do chartów się domykał, a dwóch na przełaj polem kopało: oba byli na wronych koniach. Helena ich poznała. To Paweł Tetera i Grzegorz Brzuchowiecki. Słychać było głos jakiegoś łowca z tłumu: — Puścić sokoły i białozory! — Ale widać było machnięcie ręki Hetmana że nie. Szarak kocił wprost jakby strzelił do Sobotowa.

Helena tak się wpatrzyła, że się nie spostrzegła jak młody Ihumen drżąc przytulił się do jej ramienia.

— Jerzy, ty nie patrzysz! Patrz, jak to ładnie! —

— Dzika zabawa! Boże, uchowaj ich od przypadku. —

— Patrz! Patrz! — I wznosiła się na palce. — Wprost do Sobotowa pędzą. —

— Heleno chodźmy ztąd, mnie nie dobrze. —

Helena spojrzała na bladość twarzy Ihumena, wzięła go za rękę.

— Jerzy, nie bój się, myśmy jedna krew, krew Bohdana. —

Ledwie te słowa wymówiła, jakby czarem jakim pieśń z Dniepru zabrzmiała, dzika, pomrukliwa, jak rozgłos bójki Dnieprowych fal ze skałami.

Krew Bohdana! krew to nasza!
Nie Moskiewska ani Lasza,
Ni Tatarska, ni Wołosza,
Krew to z Siczy, krew to z Kosza!

Stary Dnieprze! siwe skały,
Jary, ługi, stepie cały.
Oj wy znacie krew Bohdana,
Ukrainy, Cara, Pana.

Stare orły i orliki,
I sokoły, sokoliki,
Wszystkie ptaki Ukrainy,
Zaporoża wszystkie syny!

Kraczcie smutnie po Bohdanie,
Kraczcie smutnie po Hetmanie.
Krew Bohdana nie zmarniała:
W nie zmarnieje jego chwała.

Młody Ihumen zadrżał:

— Siostro Heleno, chodźmy ztąd! —

Czarnobrewa tak się wsłuchała w piosnkę, że trącenie brata dopiero ją ze słuchania obudziło.

— Co ci jest mój Jerzy? —

— Ja znam ten głos, on mnie zawsze tak śpiewa. —

Helena wstała z kamienia i szła ku Dnieprowi.

— Siostro! Siostro! tam nie chodź. —

Ona szła, i dobiegłszy brzegu, zajrzała jak Dnieprem z wodą mknęło czółno, a w nim człowiek. Mknęło szybko, i do drugiego brzegu przybiło. Człowiek zeskoczył i przepadł między krzakami, a czółno stało. Helena służby nie zawołała, tylko wróciła sama do Ihumena. On klęczał koło kamienia i modlił się.

Spojrzała czarnobrewa na niebo. Chmurka jedna nadbiegła, z niej błysnęło, i piorun trzasnął wprost w rzekę, a deszcz nie lunął, tylko głos przestrachu trysnął z piersi Ihumena.

— Boże! Boże! dziej się twoja święta wola. Miej nas w swojej opiece. —

Chmurka popędziła dalej w drogę. Słońce jasno świeciło, spłoszone ptaki znowu wracały nad Dniepr, dzień jeszcze był piękniejszy jak przed chwilką, a od Sobotowa wracali łowce.

Z po nad brzegu czapla się porwała, i wrzasnęła płaczem, skrzydłami do nieba się bije, a wije się w wianki po powietrzu i płacze. Z bereł furknęły sokoły i białozory, szparko sznurkiem lecą, a czapla po nad niemi wyżej, wyżej koluje i pociąga ku mogile. Już niektóry sokół młynkiem podbija się do góry, już niektóry białozór przełajem leci na odpoczynek, a czapla już jak plamka na niebie, tak wysoko, że i kołowań jej ani dojrzeć: tylko jeden sokół czy białozor ani razu jeszcze ni młynka zakręcił, ni w przełaj nie posunął, po nad czaplę w słup leci: już on daleko, daleko mniejszą plamką od czapli, a oboje mgłą się przed okiem ludzkiem, i w mgle coraz głębiej a głębiej toną.

Łowce do mogiły nadbiegli. Hetman wita Helenę, wita młodego Ihumena. I starszyzna wita, a wszyscy w niebo patrzą. Czapla ze mgły wypływa; już widniej ciemnieje, i słychać przeraźliwe płacze czapli. Sokół górą nad nią, sokół kulką uderzył raz, drugi, czapla wrzasnęła, ale jeszcze się usunęła z pod ptaka, a ptak na dół pędził, ale młynkiem się zatrzymywał w powietrzu, i w duch podbił się w górę.

Wtenczas trzy pióra czaple spływały po powietrzu, i dziwnym wypadkiem zawisły na trzech osobach: na czarnobrewej niewieście, we włosy jej się uwinęło; na Pawle Teterze na piersi mu padło, na Grzegorzu Brzuchowieckim; ten w rękę chwycił pióro. A ptak znowu kulką spadł na czaplę, i tą razą już z nią przewracał się po powietrzu, a ona wrzeszczała. Ihumenowi taki strach, że aż przypadł koło kamienia, a wszyscy patrzą jak czaplę w powietrzu boruka, i oczyma ciągną ich ku sobie. Litość precz uciekła z ich oczów na czapline wrzaski, nawet z ucha Czarnobrewki. Dziw! dziw! na Ihumena padła czapla już trupem, a na niej siedział białozor hetmański, i pazurami ją darł, i dzióbem gługał, a tak zażarcie, że go ledwie ztamtąd oderwać można było.

Młody Ihumen kiedy powstał z ziemi, na szacie miał pełno czaplego pierza, a na twarzy krew czapliną. Siostra strach od niego odgania, starszyzna z tego wszystkiego kmetuje coś między sobą. A Hetman miał twarz rozjaśnioną.

— Bratowo Heleno; mój białozor zrobił cię nam dziś Hetmanką, masz czaple pióro, a oto twoi Asawułowie. Wskazał ręką na Pawła Teterę i na Brzuchowieckiego.

Czarnobrewa zakraśniała, westchnęła, a bawiła się czaplem piórem.

Tegoż samego dnia, nad wieczorem, Helena żegnała brata odjeżdżającego do Kijowa. Jerzy Chmielnicki wbrew woli dzisiejszego Hetmana wstąpił do monasteru i nosił się w szatach zakonnika, a mimo iż żadnego święcenia nie wziął, zwano go już Ihumenem Kijowskim.

Młody Ihumen był smutniejszy jak zawsze. I Helena była smutna, ale wetknęła czaple pióro w krucze włosy, i z tym uśmiechem co to niby lekceważy i smutek i wesele, przystąpiła do dziewczyny Putywlanki.

— Parasko, patrz czy mi dobrze? Jerzy nie chce, to ja będę hetmanić, wszak i ja hetmańska córa, a mówią ludzie: często się uda córka w ojca, syn w matkę. — I zaśmiała się niby, ale nikt jej się nie odeśmiał.

Paraska już to nie była owa dziewczyna z Putywla, pusta, wesoła, co to się śmiała niewiedzieć dla czego, byle się śmiać. W zamkach zesmutniała, i rumieńca trochy straciła, i nie była taka krągła. Ludzie mówili że teraz piękniejsza, ale ona nie mogła powiedzieć że szczęśliwsza. O Sirku od dawna nie było żadnego słuchu, a tęskno jej było i za ojcem i za Putywlem. Spojrzała na Ihumena, on spłonął rumieńcem, i oko miał takie, jakby łza gniewu do niego zazierała. Ona użalała się nad nim milczeniem, on powtórzył.

— Tak, tak. —

I na Putywlankę spojrzał przyjaźnie.

Czarnobrewka wciąż się uśmiechała:

— Powiadają, że nieboszczka matka strasznie bała się konia i szabli. —

Tak. Bądź zdrowa. —

Ty się spieszysz do swego monasteru, prawda, że tam bezpiecznie. —

Zagryzł usta.

— Kiedy już gwałtem chcesz jechać, proszę ciebię, zmówże trzy pacierze o powrót mego męża, a trzy o pomyślność i sławę dzisiejszego Hetmana. —

— Dobrze. — I więcej domówić nie mógł.

— Niech się krew Chmielnickiego modli, kiedy hetmanić się lęka. —

Ihumen wyszedł, a łzy gorzkie spadły mu z oczów.

Długo Czarnobrewka uśmiechała się, nie dobrą wolą, ale złośliwością dumy. Putywlanka nie wesoło mówiła.

— Pani zrobiłaś nie dobrze bratu. —

Helena poszła za bratem, a nie znalazłszy go, płakała rzewnie: łzami serca spłukiwała uśmiech dumy. Hetman ją taką spotkał.

Czego tak płaczesz moja bratowo? —

— Za bratem. —

— Wszak on nie umarł, ani mu nic się złego nie stało?

— O! on umarł dla świata, dla nas.

— Jeszcze z zakonem niczem więcej nie związany tylko suknią. —

— On jej nie porzuci! —

— Bóg to wie. —

— Kto raz te suknię wdzieje, to już się z nią nie rozstaje. —

— I Konaszewicz Sahajdaczny tę suknię nosił, nim poprowadził wojsko pod Chocim. —

— On był Hetmanem! —

Hetman potrząsł głową, ścisnął za rękę Czarnobrewkę.

— Uspokój się bratowo. — I odszedł.

Ona za nim pozierała. — O tak, tak, uspokój się; dobrze tobie to mówić, a mój brat zakonnikiem, a mój mąż pułkownikiem tylko, a ja córka Bohdana Chmielnickiego, Hetmana całej Kozaczyzny. —

I nie płakała, tylko wyhardziała dumą, i tak była piękną jak Pani, co od dawna nawykła rozkazywać.

W tej chwili przeszło dwóch ludzi przez komnatę, i obadwa przed nią się pokłonili; to byli siostrzeńce Hetmana, Paweł Tetera i Grzegorz Brzuchowiecki. Pierwszy swoim zwyczajem się uśmiechał, i szedł wolnym krokiem do którego nawykł, odbywając poselstwa do Stambułu, do Hospodarów, Multan i Wołoszy, i do Króla Jegomości; drugi jakby się gniewał na wszystko i zawsze, tak szedł jak gdyby chciał i posadzkę rozbić i wszystko z przed siebie porozbijać. On do tego nawykł w bojach na koniu i na czajce; w obozach i w koszu na Siczy. Jeden szedł jak wyżeł wypieszczony w komnatach, puszczony na łowy; drugi jak koń tabun ze stepu porwany i wprowadzony na brukowane ulice wielkiego grodu.

Helena za nimi powiodła okiem.

— Jam dziś Hetmanka, i oni takimi Hetmanami. —

Młody Ihumen wracał do Kijowa, a naśmiewania się siostry nie mógł odgonić od swej myśli nawet modłami. W tem mdłem ciele, przy potulnem i trwożliwem sercu, była w duchu cząstka ojcowskiej dumy; leżała ona tam jak uśpione dziecię cicho,

spokojnie; jeden komar, jedna mucha mogły je ze snu zbudzić i do krzyku przyprowadzić, i znowu słowo piastunki zdoła je uspokoić i uśpić. I jemu siostry słowa rozbudziły dumę; cześć ojca, ojca sława, potęga, świegotały mu w ucho duszy: tyś zmarniał, i gorzko mu było; ale użalenie się dziewczyny Putywlanki, choć nieme, zostało w jego pamięci, i dobro niosło sercu. Po matce, po piastunce, to pierwsza istota co się nad nim użaliła. I on o niej myślał, myślał kiedy modlił się, myślał kiedy marzył. — O gdyby ona była moją siostrą, ona by mię zrozumiała. — I z tą myślą zajechał do Monasteru.

Tam go otoczyli bracia Czerńcy, ze czcią go otoczyli, zwyczajnie potomka Bohdana Chmielnickiego. Pytali, czy chce pokarmu ciało, czy chce spoczynku ciało; ale żaden nie zapytał o troskę duszy, żaden nie pocieszył tej traski, i młody Ihumen między ludźmi był sam z sobą jak na pustyni.

Po odjeździe Jerzego, wieczorem do Czehryńskiego zamku przybyło kilku zadnieprzańskich pułkowników, między nimi byli Wysoczan i Kresa, a razem przybył goniec z Polski. Hetman czytał listy, miał długi rozhowor z pułkownikami, a rozhoworu tylko te słowa usłyszeli ludzie:

— Co zrobię, to jawem, a wprzódy nikt wiedzieć nie będzie. —

Twarz hetmańska nie była gniewna, tylko spokojna, a jednak pułkownicy, co bezczelnie zazierali w paszcze tureckiemu działu, co twarz nadstawiali na szable jak na pocałunek, stali, i nie śmieli wzrokiem po nim wodzić i słowa żadnego więcej powiedzieć, bo chmurka złej woli zmarszczką przepłynęła po czole Hetmana, bo szybka błyskawica mignęła w jego oczach.

Potem przyszedł do Heleny.

— Bratowo, nie smuć się. Daniel zdrów, wróci niebawem. Król Jegomość był łaskaw na nas. —

Łagodnie to mówił, ale nie czekał odpowiedzi, i to tylko dowiedziano się z tego, co odebrał przez gońca.

Nie zaweselała Helena.

— Nic nie pisał do mnie, nie pisał ani słowa? —

I szła w swoje komnaty dumać i tęsknić.

Już świeczniki zapalono, kiedy weszli do komnaty Heleny dwaj pułkownicy, Wysoczan i Kresa, dwa to dawni i wierni namiestnicy Bohdana Chmielnickiego, obadwa trzymali do chrztu czarnobrewkę; po pierwszych przywitaniach zasiedli, i Kresa zabrał głos.

— Córo naszego pana i dobrodzieja, i nasza chrzestna córko; przed tobą my przyszli wygadać wszystką prawdę jak przed

spowiednikiem, a ty nam dopomóż, bo jak krew Chmielnickiego Kozactwu nie dopomoże, to nikt nie dopomoże. Jak dziś się stało, tak nam stoi w pamięci dzień śmierci nieboszczyka Hetmana. Trzech nas było przy jego śmiertelnem łożu: ja, Wysoczan i Leśnicki. Pierwszy przemówiłem: Ojcze serdeczny, to nic nie zawadzi, jak Bóg da, to wyzdrowiejesz, i Jemu będzie chwała. Nie zostawiaj chaty bez gospodarza, okrętu bez sternika; a twoją chatą Ukraina, a twoim okrętem naród Kozaczy. On wstrząsł głową: Prawda wasza, narobiłem wiele złego, trzeba żebym zrobił i dobre. A kogóż wam zostawić na gospodarza? Wysoczan się odezwał. A jużci nie kogo tylko Juryszkę, to twoja krew ojcze, a Kozactwu po Bohdanie Chmielnickim nie chodzić pod wodzą człowieka z innej krwi. Nieboszczyk stęknął: Dziękuje wam; Juryszko za młody, Bóg wie jak się przyda; ja go kocham, to mój syn; ale i was kocham, bo wy mój naród; z tego nic nie będzie. Leśnicki się odezwał: A gdyby Neczaja, jemu ani wieku ani doświadczenia nie braknie; ojcze, on by był i nam i Juryszce ojcem, a potem na swojem miejscu jak syna by posadził. Bohdanko machnął ręką: Neczaj dobry pułkowodzca, ale jeszcze nie urósł na Hetmana, w innym czasie możeby i udźwignął buławę, ale teraz to trudno, bo trudne chwile przyszły na nas; nie chcę wam dać za pana, niech będzie waszym sługą. Ja wtenczas ośmieliłem się powiedzieć: Ojcze serdeczny, ja przypominam moją chrzestną, wszak to twoja hołubka, sameś jej wybrał męża, i dalibóg z wyboru można go i pokazać ludziom i z nim się pochwalić. —

W chwili, tych ostatnich słów Wysoczan tak zmarszczył brwi, że jedne aż do drugich się zeszły, a rzęsą gęstą jak szczecina krył oczy. Helena schyliła czoło, i była ładna chlubą o mężu. Kresa dalej mówił:

— Nieboszczyk trochę się uśmiechnął: Daniel najprędzejby podołał temu wszystkiemu. Ale już mój głos nie taki potężny, jak wy myślicie; jest inny potężniejszy. Na Koszu już wiedzą, że moja ręka bierze rozbrat z szablą, a tam żeby panować, trzeba mieć wiecznie szablę w dłoni. Zamilkł na czas jakiś; po sprężeniu się żył na skroniach widno że mocno myślał, a potem kazał przywołać pana Pisarza. Długo mówił o tem co się dzieje na Kozaczyznie, gorzko narzekał na białego cara, dobrego imienia nie dal Bisurmanom, a potem bił się w piersi: Moja wina, moja wina. Szlachta broiła, a ja na ojczyźnie matce się mściłem. Zarazem gubiłem i Polskę i Kozaczyznę. Jeszcze dłużej o tem mówił, a w końcu obrócił się do pana Pisarza: Iwanie Wyhowski ty jeden możesz mnie zastąpić, a nawet naprawić złe które ja zrobiłem. Buławę, dzieci moje, naród mój, wszystko tobie oddaję w opiekę. Iwan Wyhowski wtenczas powiedział: Przyjmuję opiekę nad wszystkiem, ale przed Bogiem i ludźmi przysięgam, że jak czas przyjdzie kiedy

moja opieka stanie się niepotrzebną, twoje oddam twoim. Nieboszczyk Bohdanko przemawiał jeszcze tak do całej starszyzny o tem samem, i pomarł jak przystało na Chrześcianina, a Iwan został Hetmanem. Co było to było; każdy z nas ma na sobie swój grzech, ale to nie stanowi, żeby Iwan nie mógł dotrzymać co przyrzekł nieboszczykowi. Kozaczyzna zaweseliła się zwycięztwami i pokojem, Leśnicki nas odstąpił, ale my przyjechaliśmy prosić opiekuna o dotrzymanie danego słowa. —

Wysoczan mruknął. — A on nam powiedział: Pójdźcie precz do licha, ja tu pan. —

— Prawda, prawda. — I obadwa zwrócili oczy na Helenę. Ona spuściła oczy.

— I cóż ja na to poradzę? On Hetman, nasz opiekun. —

— Iwan Wyhowski Hetmanem krwi Chmielnickiego? Bogdaj djabeł tego nie dopuścił. Słuchaj córo naszego Pana i Hetmana, ty Kozaczyznę możesz uratować od wojny swojej i obcej. —

— Dla czegóż ja? —

— Juryszka już nie dla nas. Ihumenowi nie nosić czaplego pióra. Neczaj za stary, za uparty; jemu spodobało się być lepiej wiernym sługą Wyhowskiego, jak nam i jemu hetmanić. Ty krasna pani możesz swego męża ubrać w czaple pióro. —

— On bratem Hetmana! —

— I braterstwo warto na chwilę poturbować dla buławy. —

Helena milczała.

— Jak ty zechcesz krasna pani, on wszystko zrobi. —

— A Król Jegomość? a Senat!

— Mamy listy od Cieciury, że radziby jednej chwili pozbyć się Iwana Wyhowskiego z hetmaństwa. Dla nich on groźniejszy od samego Bohdanka. Senator Wojewoda równy najwyższym w Rzeczypospolitej. Hetman z wojskiem i zwycięzca potężniejszy od Hetmanów Korony i Litwy. U Lachów kto z nimi na równi stanie, tego oni się obawiają aby nie stanął wyżej. —

Czarnobrewka na wspomnienie o Cieciurze mimowolnie się zatrwożyła, a potem słuchała; i jakby to nie do niej było mówionem, powiedziała:

— Daniel nic do mnie nie pisał.

— Nic. Choćby i pisał, toby ci nie oddano. —

Zamyśliła się Helena.

— Cóż zrobię?

— Co? krasna Pani! Córo naszego pana, jedź z nami za Dniepr. Tam wierni przyjaciele Bohdana Chmielnickiego. Mąż twój przyjedzie, i czy zechce, czy nie, gwałtem mu przypniem do kołpaka czaple pióro. Tobie być hetmańską żoną.

— Jechać, jechać bez męża? —

Mąż przyjedzie. Córo Chmielnickiego, ty nas nie odstępuj.—

Ona milczała. Obaj pułkownicy ją żegnali.

— Jutro o świcie wszystko gotowe. W twojej mocy męża sława, twoja sława i ojcowska sława. Krasna Pani, bądź z nami. —

Oni odeszli, a czarnobrewka i samej sobie w myśli nie powiedziała ani tak, ani nie. Siadła, wodziła okiem po makatach komnaty; wodziła myślą po dumkach sławy i wielkości, a ręką bawiła się z czaplem piórem.

VII.

Stary Kijów, stary, a Dniepr jeszcze starszy, dwaj starcowie do siebie się przytulili i rozmawiają z sobą. Dzwonami Kijów gada, o starych ruskich czasach, o kniaziach przesławnych, o Chrobrym królu lackim i o śmiałym jego potomku; i o Konaszewiczu Sahajdacznym, a Dniepr szumem fali odgaduje, co tam wyżej w ruskich ziemiach działo się i dzieje? Co tam niżej na Zaporożu się świeci: o wyspach osnutych tajemniczą Siczy; tajemnica dla wszystkich, krom braci koszowych, i starego Dniepru, i Boga jedynego; o pustyni kochaniu kozaka, co złowieszczy każdemu, o limanach szerokiej przystani kozaczej czajki; gada, gada jak po nad brzegami hasa kozak na koniu; gada, gada jak po sinej wodzie hula kula kozak na czajce. Ho! ho! to lube Dnieprowe pogadanki! zwyczajnie starego ojca o młodej dziatwie.

Czy jest ze słowiańskiej krwi człowiek choćby jeden, ktoryby nie westchnął z serca, i łzy z serca nie uronił, kiedy w starym Kijowie setne dzwony grobowym pojękiem zajęczą? Czy jest taki Sławianin, w którymby krew nie zaskakała, w którymby nie zaskakała dusza, kiedy w Kijowie na prażnik, setne dzwony wesela brzękiem zabrzęczą. A kiedy też same dzwony zahomonią na modlitwę: homon, poniesie się na daleko, o! wtenczas każda dusza sławiańska modli się i korzy, każda dłoń sławiańska w pierś się uderzy, Bogu odsłoni serce; każde czoło sławiańskie, choćby jakie harde, przed Bogiem kłoni się w pokłony.

Czy jest na świecie kozak taki, któremuby krew nie zakipiała, nie drgnęła ręka, i serce i dusza nie porwały się do lotu, kiedy szum Dnieprowej wody zagra mu w ucho; to muzyka kozaczego serca! bo w tym szumie wszystka dumka przeszłości kozaczej, bo w tym szumie cała wieszczba kozaczej przyszłości.

Stary Dniepr gdzieś z daleka wypłynął z za litewskich puszcz, i pustynię kozaczą przepruł na dwoje, a sam stał się dla kozactwa wojennym szlakiem, do Istambułu, w Bisurmańskie kraje.

Stary Kijów usiadł nad Dnieprem, groźnem okiem patrzał na pustynie, a silną piersią stał się ludnym ziemiom.

Bracia Koszowi dzieci Dniepru i pustyni, stali się dziećmi Kijowa, bo ich ojciec pan Koszowy, stał się Hetmanem wszej Ukrainy i wojewodą Kijowskim. Dniepr i Kijów, Hetman i Kozactwo, wszystko to teraz uznaje za matkę i panią Polskę.

Prażnik dziś wielki w Kijowie, choć nie żadne święto cerkiewne, ale świeżo kozacze. Od białowej jutrzni już podzwonne gromko rozbija się po wietrze, z wiatrem lasami taszczy się na Czarnobył, na Owruez, aż pod stare krańce Litwy, z pędem Dniepru niesie się w stepy, w pustynie, za Budziak aż po Czarne Morze. Na skrzydłach wiatru, na grzbiecie wody, całemu Kozactwu rozgłasza: prażnik! prażnik!

Hetman wojewoda dziś przyjeżdża do Kijowa, i posłowie kozaccy do Króla Jegomości i Rzeczypospolitej Polskiej dziś wracają do Kijowa. Nadzieja i wesele we wszystkich twarzach.

Wśród tego powszechnego wesela dwóm ludziom było nie wesoło. Może złowieszcze przeczucie motylicą padły na długie tkanki nadziei, a może dla tego im smutno, że wszystkim wesoło; bo i tak się zdarza między ludźmi.

W Sofijskim monasterze, razem z jutrznią, wstał starzec białowłosy, i modlił się; a po każdej modlitwie jak amen powtarzał: Boże odwróć go od tego; zeszlij łaskę nam, nam twojemu wiernemu ludowi; i modlitwę przeplata, to westchnieniem takiem ciężkiem, jakby na drugie już tchu brakło w piersiach, to łzą taką trudną, że ledwie ją mógł wycisnąć z oka; troska tak w nim się zwarła, że ledwo, ledwo na jaw wydobyć się mogła na chwilową ulgę.

Starzec to bogobojny, błogiego żyeia, wiary i miłości. Kochał lud swój, i czegóż się trapi, kiedy nadszedł dla jego ludu dzień prażnikowy?

Ihumeny zcicha między sobą mówią:

— Co za smutek spadł na naszego ojca metropolitę?

— On takim nigdy nie bywa.

— Wiek go morzy, może żałuje przeszłości.

— Może mu wiek za długi? lęka się o przyszłość.

— Modli się za nas, za lud cały; żałuje za grzechy nasze.

— Za nasze, bo on swoich nie ma.

— O! on błogosławiony Pański.

— Może Bog mu jakie nieszczęście objawił. —

I Ihumenów smutek gwałtem siada na wesołe serca, jak szare ptaki żałoby na zielone drzewa wiosny; troska ciśnie w błogie dusze, jak gradowiny chmurnego nieba w łąki barwione kwieciem.

W tymże samym monasterze był i drugi człowiek od którego wesele stroniło; po pieczarach wodził się ze swoim smutkiem; przed błogosławionymi pańskimi zapalał jarzące świece

na ofiarę, niby na prośbę żeby troska spłonęła z ich światłem; modlił się przed nimi, i ztamtąd wychodził na biały świat, patrzał na stary Kijow, patrzał na stary Dniepr. I tak prędko od nich wzrokiem uciekał, jak gdyby ich się lękał. Ni razu nie błysnął okiem, ni razu nie zapanoszył postawą po kozaczemu, a jednak on z krwi kozaczej.

Szedł między ulice orzechowe. Tam drzewa mdlawą zielonością wieją tęsknotę na duszę; tam mu było najlepiej. A jednak nie dobrze, niepokój wodził go jak piastun malutkie dziecię, wyrwać mu się nie miał siły, iść z nim nie miał chęci: szedł pomimowolnie, bo się go pozbyć nie mógł.

Ku niemu zbliżył się mnich Czerniec już nie młody, z poszanowaniem się pokłonił.

— Bracie Gieskonie, jakżeś ty tęskny!

— Nie dobrze mi, bracie Filarecie.

— Bracie Gieskonie, czyś nie chory?

— Nie, nie; dziś Ojca widziałem. — I przeżegnał się krzyżem świętym. —

Drugi mnich przeżegnał się także.

— We śnie? Boże daj wiekuistą chwałę jego duszy; taką jaką miał na ziemi. Bracie, Ojciec ciebie błogosławił?

— Nie, nie, kazał, tylko kazał. — Szedł dalej, ale dalej nie rozmawiał; tylko jak bez myśli rzucił za sobą kilka słów rwanych. — Tak — zrobię — biada mi — biada — —

Obejrzał się raz po za siebie. Brat Filaret stał w miejscu, a w oczach jego było poszanowanie i podziwienie i nic więcej. Gieskon, tak się nazywał duchownem imieniem młody Ihumen, potrącił głową, i ciemne włosy się powiały; ale nie strącił tęsknoty z serca, ale nie wywiał niepokoju z duszy.

— Oni mnie się dziwią, oni mnie szanują, oni przedemną się kłonią, ale nikt się nie użali! Ona tylko, ona się użaliła, i to raz jeden tylko, raz jeden w życiu. —

Oparł się o orzeszynę, i kilka liści spadło mu na głowę także jakby na użalenie się.

Brzęczą dzwony a brzęczą, a w Kijowie pusto. I na Chreszczatce, i po siedmiu wzgórzach starego grodu, i na Padole, i na Pieczerskiem nie widać ludzi; chyba dziecię malutkie przed domem tarza się w piasku, chyba stary niedołęga kazał się wynieść przed dom, i ztamtąd patrzy. I psy ulicami z miasta ciągną, i koty po dachach ciągną z miasta. A tam za miastem co się dzieje? — Czy wszystkie a wszystkie drzewa Smilańskiej puszczy jak żywe przyszły w odwiedziny do starego Kijowa, a teraz wracają do swojego domu; taka ciemna puszcza wali się z miasta na Czehryński szlak. O! nie puszcza to drzew, ale puszcza ludu Bożego idzie witać Hetmana Ukrainy; leje się jak woda rzeki.

Naprzód idą cerkiewne cechy, a przy każdym cechu kapłan

Boży. Starostowie niosą ewangielie, pałamarowie kropielnice ze święconą wodą, djaki w prażnikowych strojach na wiatr puszczają chorągwie z matką dziewicą, ze świętym Michałem, ze świętym Mikołajem, że świętym Andrzejem, ze świętym Józefatem, ze świętą Zofią, ze świętą Anną, ze świętemi pańskiemi, a chorągwie jak ptaki rajskie, złote, srebrne, barwiaste porywają się z drzewiec, nad ludźmi powiewają błogosławieństwa i chcą lecieć tam do raju, do Boga Ojca. Dalej parami idą Czerncy, czerń na ich ciele, a biel w ich duszach; jak czarna wstęga suną zastępcy świętego Bazylego. Za nimi biskupi, archimandryci, protopopy, archireje, błachoczynni i starszyna duchowna. Wszyscy w sobolowych kołpakach, wszyscy w świątecznych rasach. Potem sam Metropolita na białym jak mleko koniu na złocistem siedzeniu. Za złote uzdy wiedli konia Ihumeny, za złote strzemiona trzymali Ihumeny, a obok szedł młody Ihumen Gieskon niespokojny, trwożliwy, oczów w świat podnieść nie śmiał. I Metropolita smutny patrzał w swoje piersi. — Znowu starszyzna duchowna, i znowu długi ordynek mnichów świętego Bazylego.

Dalej na dżanetach tureckich, na polskich rumakach zdobnych w złociste, w srebrzyste rzędy, natykane kamieniami drogiemi, sami strojni i butni bogactwem i przepychem, jechali: Kasztelan, Podwojewoda, Podkomorzy, Wojski, Miecznik, Łowczy, Starostowie i wszyscy dostojni ze szlachty województwa Kijowskiego. Za nimi szły znaki dworne panów szlachty z Kijowskiego, w barwach pancernych, husarskich i petyhorskich.

Za pańskiemi chorągwiami sunął pułk kijowski kozaczy, szły piesze roty, za niemi konne towarzystwo, a temu pułkowi dowodził Jan Zieleniecki. Szedł Horodniczy, i Ławnicy wszyscy, cała miejska rada, na srebrnych talerzach nieśli chleb, i sól, a Horodniczy miał na tacy klucze miasta. Kończył się orszak poczetami miejskiej konnej straży. W hełmach, stalowych zbrojach jeźdzce. W nagłowiach, napiersiach i w nabiodrach stalowych konie. Hełmy strojne w pióropusze, i głowy końskie w pióropusze strojne. Zda się oku, że ciężkie, żelazne hufce Chrobrego Lachów Króla zmartwychwstały z grobów, i przyszły między żywych witać Chrobrego Kozaków Hetmana. A hurmy ludu Bożego, mężów, niewiast, dzieci, starców, końca nie było. Powodzią z bramy się sunęła, a nigdy jej nie brakło, jak gdyby z ziemi wyrastała, jak gdyby spadała z nieba.

Słońce świeciło jaśno, cało, ale i jemu nie starczyło promieni na błogosławieństwo każdemu człowiekowi; taki ich tam był tłum. Wiatr polecial precz w stepy! oddechy ludzkie go tam poparły, a ptastwo ciekawe stadami się zlatywało, szybowało nad tłumem, zawisło w powietrzu na oddechach ludzkich.

Cały tłum słał oczy szlakiem ku Czehrynowi, a ztamtąd

gońcem tuman bieży. Z kurzu wypłynął jeździec, ręką macha, znak że Hetman się zbliża. Orszak się zatrzymał, a lud wiał się na boki, i kryl nadszlakowe pole. Tam się zatrzymali gdzie dwa szlaki w jeden biegły.

Obudwoma szlakami chmury kurzu suną. Od strony stepów wracali młodzce z poselstwa od Króla Lackiego i Rzeczypospolitej Polskiej. Od strony Dniepru bieżą bracia Koszowi, tak sam Hetman z czaplem piórem u czapki po przedzie, a nad nim wieje srebrny archanioł w krasnem polu, i kary buńczuk ze złotego drzewca. I lud wszystek, i kozactwo wszystkie zakrzyczało w jedno: — Hura! hura! Niech żyje nasz Hetman! Tak zakrzyczało, że oszołomione ptaki z pod nieba, gradem padały im pod nogi a świat dokoła zahuczał grzmotem wrzasku huczniej, głośniej jak harmaty ziemskie, huczniej, głośniej jak pioruny niebieskie.

I Hetman zdjął czapkę na pokłon ludowi, i tak z odkrytą głową jechał aż do Metropolity; tam zsiadł z konia i ukląkł przed starcem. Starzec błogosławił go krzyżem świętym, lud przypadł na kolana, kozactwo korzyło czołem, i tak było cicho, że koń wędzidłem nie brzęknął, i tak było nieruchomie że człowiek głową nie poruszył. Tylko widno rękę starca piszącą krzyż w powietrzu, i głowę do nieba ku ludziom się kłoniącą, zbielałe włosy, jak promienie łaski Bożej, z krzyżem świętym na lud się wiały. Tylko słychać było głos: Hospody Boże błohosławy nas! I chwilę w milczeniu zawisło życie świata.

Znowu świat ożył i z życiem w bramy starego Kijowa się wali. Przy Metropolicie pieszo szedł Hetman po prawicy, a po lewicy młody Ihumen. Smutek jeszcze rzewniejszy osiadł na twarz Metropolity. Niepokój jeszcze jawniejszy owionął młodego Ihumena, a jasna pogoda patrzała z oczów Hetmanowi.

Przyjął chleb i sól i klucze miasta. I szli do Sofijskiego Monasteru na służbę Bożą.

Po służbie Bożej przed Monasterem zgromadziła się starszyzna kozacza, wszyscy młodzce co byli w poselstwie i tłumy ludu. Hetman długo był w Monasterze z Metropolitą i młodym Ihumenem. Kiedy weszli, żadnej nie było zmiany na twarzach. Hetman był jak siwy sokół, pogodny, bystry, a Metropolita z Ihumenem tęskni jak zuzule. Hetman z czapką w ręku przemówił:

— Panowie starszyzna, panowie bracia! Wieść wesela wam niosę. Król Jegomość — Pokłonił się, i wszyscy pokłonili. I senat Rzeczypospolitej, baczny na nasze usługi dla Ojczyzny matki, utwierdził i uświęcił Hadziackie umowy. Wiarę naszą przesławną uszanowano. Na krzesłach senatorskich zasiądą nasi Biskupi, i nasi jednowiercy. Szlachectwo polskie otwarte dla

każdego kozaka, szablą do niego droga, i do wszystkich dostojeństw w Rzeczypospolitej. Pułki regestrowe i wojsko Zaporoża, przyznane za wojsko Rzeczypospolitey. Swoboda wszelka, bezpańskość, wolność kupczenia i pędzenia gorzalki przez Rzeczpospolitą zaprzysiężona wszemu kozaczemu ludowi. Takim nas upominkiem obdarza Król Jegomość i Rzeczpospolita, dziękujmy im. Hetman się kłonił i wszyscy się kłonili. A służmy tak, żeby o nas mówiono: zamałośmy im dali, oni więcej warci. —

Krzyki się odezwały: Niech żyje Król Jegomość! Niech żyje Rzeczpospolita Matka!

Hetman odetchnął: — Panowie bracia; łaska Króla Jegomości przebaeza wszystkim wszystkie winy, Marcin Cieciura wolny, obsypany łaskami królewskiemi: pojechał za Dniepr, między swój ród, do swego pułku. W wielkiej swej szczodrocie pozwolił przez moje ręce nagrodzić tych sześciuset naszych braci, którzy chodzili w poselstwie do Warszawy, a których wy sami wybraliście, jako najwaleczniejszych. Oto jest przywilej Jego Królewskiej Mości, potwierdzony przez Senat Rzeczypospolitej. Tu dobył papier. Którym dozwala sześciuset młodzcom przybrać szlachectwo z herbem i imieniem Wyhowskich. Witam was moi imienniey, ja wam bratem, ja wam ojcem. —

Huknęły wrzaski: Hura! hura! niech żyje nasz Hetman, nasz ojciec!

A tak gromko huknęli, że w całym Kijowie wszystkie dzwony same z siebie zajęczały i po skonaniu zawrzasku czas jakiś dźwięczały jeszcze.

Jeszcze, jeszcze dźwięczały, a Hetman dalej mówił:

— Panowie starszyzna, panowie bracia. Wygnaliśmy Moskala z naszej ziemi. Wołosza nam się korzy. Bisurman nas szanuje. Z Tatarzynem zawarliśmy sojusz. Z bracią Lachami jak z bracią żyjemy. Wszyscy kozacy pod jedną chorągwią białego archanioła służą, wszyscy razem w zgodzie za jeden wóz ojczyzny ciągną. Po grodach, po siołach, po stepach naszych, we wszej Ukrainie mir i swoboda; przez wasze szable wszystko to się stało, ja wam służyłem i wysłużyłem, żem spełnił wolę nieboszczyka naszego ojca Bohdana Chmielnickiego. Wam cześć i sława, a mnie za to dziękować wam. Bóg to widzi, że jak mogłem, tak nieboszczyka wolę spełniłem, a teraz spełnię przyrzeczenie moje. Bohdanowi Chmielnickiemu naszemu ojcu i Panu, przyrzekłem być jego synem, jego hetmaństwa i was wszystkich jego dzieci. Jerzy Chmielnicki krew naszego Pana doszedł do lat, jemu oddaję co jego, jak ojciec jego tak i on niech będzie naszym ojcem, naszym Panem. Panowie Starszyzna, Panowie bracia, w jego ręce oddaję i czaple pióro, i buńczuk i buławę, czekam jego rozkazów, i my wszyscy jego rozkazów słuchajmy. —

Głuche było milczenie, jak gromem uderzeni wszyscy stali w miejscu. W słup im poszły oczy, w słup myśli. Wyhowski za rękę dzierżył młodego Ihumena.

— Panowie bracia! Konaszewicz Sahajdaczany nosił się po mniszemu, a potem do składu mu było z czaplem piórem, w kozaczej burce; a to krew nasza, krew Chmielnickiego Bohdana.

Niech żyje Jerzy Chmielnicki, nasz Hetman. —

Milczeli. Jerzy Chmielnicki słowa przemówić nie mógł, ale oczyma zdawał się prosić: to nie dla mnie.

Jan Wyhowski odjął czaple pióro, i oddał Jerzemu Chmielnickiemu, on je wziął drżącą, niepewną ręką; a Wojewoda Kijowski kłonił się starszyznie; wtenczas dopiero z jękiem ozwało się kozactwo.

— Ojcze nasz, ojcze, nie opuszczaj nas. —

Metropolita zapłakał, ale Jerzy Chmielnicki miłczał jak kamień. Wojewodzie zalzawiły się oczy, szybko do monasteru odchodził, z pogodą w sercu, a z żałością na czole. Lud cały wołał:

— Ojcze, ojeze, nie opuszczaj nas. —

A Jerzy Chmielnicki w Ihumena szacie, ale z czaplem piórem w ręku stał w miejscu, jak kamień.

Prażnikiem dzień się zaczął a skończył jakby stypą pogrobową dzieci po ojcu. W starym Kijowie tłumnie ludzie po ulicach chodzą, a nie weselą się. Smutnie sobie popatrzą w oczy, smutnie potrząsną głowami, i milczą. Oni wszysey, o wszystkiem, o ciężkiej żałości nie miło gadać nawet między sobą.

W hetmańskich komnatach przechadzał się Jerzy Chmielnicki, ale już nie w szatach Ihumena, ale w kontuszu, w żupanie, tak jak nosił się jego ojciec, a na stole leżały barania czapka z czaplem piórem, i buńczuk, i buława. Z nim był mnich Czerniec Filaret, dawny towarzysz. Jerzy był blady, drżący; w mnicha oczach szukał rady, natchnienia, a twarz mnicha odpowiadała pokorą posłuszeństwa.

Wszedł Doroszenko, okiem od stóp do głowy zmierzył nowego Hetmana.

— Panie Hetmanie, jakie rozkazy? —

Jerzy jakby ze snu obudzony ocknął się. —

— Panie Pisarzu, wszystko po dawnemu. —

Pisarz uśmiechnął się i odszedł.

Wszedł Brzuchowiecki, dziko stąpał, dziko patrzał.

— Panie Hetmanie proszę o uwolnienie od asawulstwa, chcę wrócić do Kosza na Zaporoże. —

Zadrżał Jerzy Chmielnicki, zadrżał mnich Filaret, nowy Hetman spuścił oczy.

— Ja nie wiem. Jak zechcesz panie Asawuło. —

— Dobrze. — Pokłonił się, jak gdyby chciał pogrozić.

Przychodzili i inni ze Starszyzny; za każdem przyjściem zafrasował się Jerzy Chmielnicki, a każdy dobrej woli nie wyniósł z sobą.

Chmielnicki zostawszy sam na sam z Filaretem prosił wszakże o pociechę, o użalenie się, a mnich czekał rozkazu, nowy Hetman ukląkł i modlił się.

Kiedy wstał z klęczek, już i mnicha nie było w komnacie, ale tam była buława, był buńczuk, i było czaple pióro przy czapce; trójca hetmańskiej godności, godła powinności hetmańskiej. On powinien być ostrożny, i przezorny jak czapla; polotny i hulaszczy jak włosień buńczuka: silny i twardy jak buława. Syn Bohdana drży przed tem trojgiem znamion, nie śmie onych dotknąć, ani patrzeć nawet na nie, ani myślą popieścić jak to zwykli robić ojcowie Zaporoskiego Kosza.

Sen mu nie drużbą, nadzieja nie kochanką, a smutek nieodstępnym towarzyszem. Stanął w oknie, patrzy na Kijów omglony mrokiem wieczora, patrzy na Dnieper ciemniejszy od mroku, nie ma, nie ma światełka wesela w oknach starego Kijowa, nie ma, nie ma ogniów wesela w czajkach po starym Dnieprze. Oba starcowie się posmucili.

Głucho w Kijowie, nie słychać gwaru ludzi; cicho na Dnieprze, nie słychać szumu wody. I Kijów i Dniepr z żałości zamarli. Młody Hetman westchnął, i w powietrzu zaszeleściało westchnienie, a westchnieniu głos daleki, niedonośny jakby z za Dniepru odpowiedział.

Ukraino, hej w oklaski
Zaporoże, hej w zawrzaski!
Jerzy, Jerzy syn Bohdana,
Nam Kozakom za Hetmana.

Drżyjcie, drżyjcie lackie pany,
Drżyjcie, drżyjcie Bisurmany,
Ojciec wodził, syn powiedzie,
W bój powiedzie w samym przedzie.

Oj powiedzie nasze chłopce,
Na Tatary Perokopce;
Za Wołosze i za Dunaj,
Za Bug k' Wiśle bet w lacki kraj.

Dla nas, dla nas chwała dawna,
Ukraina będzie sławna;
Jako była za Bohdana,
Twego Ojca a nam Pana.

Nie smuć, nie smuć nasz Hetmanie.
Złoto nasze i kochanie.
Wodzem naszym bądź nam w boju.
Ojcem naszym bądź w pokoju.

Jerzy słuchał, słuchał, nurzył oczy w mroku, a nic nie widział.

W grodzkim zamku, w mieszkaniu Kijowskiego Wojewody było inaczej. Nie było tam ani buławy, ani buńczuka, ani czaplego pióra, ale był stary Hetman.

Starszyzna Kozacza poschodziła się do niego, i przed nim jak przed ojcem żałowała się na niego.

Stary Neczaj zburmusił się, prztykał wargami i gderał przez zęby.

— Na licho przyszło — dziecina z pieluch na Hetmana. — I djabeł by to pobrał takie roboty. — Z duszy bylby połajał Wojewodę, ale popatrzył na niego i odwrócił oczy, żeby przed ludźmi nie pokazać smutku starego kozaka.

Nosacz, Niemirycz, Hulanicki, Sirko, Konstanty Wyhowski, nic nie gadając o Królu Jegomości, o Senatorach i o Warszawie i o braci Lachach; tyle świata, tyle ludzi widzieli, wartoby się przed swoimi pochwalić. Słowa jak w błotnym rozkale ugrzęzły w smutku i wydobyć się na jaw nie chciały.

Daniel Wyhowski był smutniejszym od wszystkich. Sam Wojewoda gradem pobił jego serce.

— Helena rady mojej słuchać nie chciała, odjechała do Putywla. —

Potem chciał to załagodzić, wziął brata stryjecznego za rękę.

— Danielu, teraz wszystko to się zakończy, jedź do żony, bądź szczęśliwym, i powracaj do nas. —

Do Starszyzny takoż Hetman przemawiał szczerze, otwarcie.

— Towarzysze moi, najserdeczniejsi bracia, czego wam tak smutno? czyż ja mogłem zrobić inaczej? I wam miła pamięć Bohdana Chmielnickiego. Przyrzekłem, dotrzymałem, zresztą to dla dobra nas wszystkich. Widzieliście cośmy pracy przyłożyli żeby nasze rozterki stłumić, i stworzyć potęgę jedności. Są ludzie co chcą ją rozerwać, ja jestem im przyczyną. Dla dobra naszego usuwam się. Może Bóg da, że pod synem Chmielnickiego nie rozchwieje się nasza jedność. Zachowamy wiarę matce Polsce; co do mnie będę służył jak i gdzie Hetman każe. —

Głos Wojewody nie był płynny jak zawsze, ale rwał się jakby przez siłę go wypierano. Wszyscy ze Starszyzny powtarzali to co lud mówił:

— Ojcze, nie opuszczaj nas! —

Stary Metropolita mówił:

— Nie opuszczaj Ojczyzny Synu. —

Wojewoda wszystkim powtarzał:

— Nie opuszczę, nie opuszczę nigdy. —

Były tam i łzy żalu, i uściski serdeczne, jak dziatek z rodzicem. A taka była siła ludzi w komnatach u Wojewody, jakiej nigdy nie bywało kiedy był Hetmanem.

Pojechała Czarnobrewka w daleki kraj, a mąż kochanek tęskni za nią. Darmo mu brat Wojewoda mówi:

— Nie jedź, nie jedź jeszcze; poczekaj, niech się trochę utrze. —

— Pojadę, ja tu sam nie wytrzymam. —

— Danielu, ty nie wiesz, że twoje tam zjawienie się może być kością niezgody. —

— Nie, ja nigdy kością niezgody nie będę. —

— Jak kobieta zechce. —

— Ona nie zechce, czego ja nie zechcę; ona mnie tak kocha. —

— Ale ty ją kochasz? —

— Kocham. I cóż z tego?

— Jedno drugiemu ustąpić musi. —

— Ojcze, bądź spokojny. —

— Danielu słuchaj: kiedy duma wtargnie się do niewieściego serca, to tak panuje jak słońce na niebie. Wszystkie inne światła przy niem niejasne. —

Daniel skinął głową, nie dowierza. Wojewoda jeszcze gada.

— Bracie wierz mi: jak kobieta pobrata się z dumą, to dla niej nie ma nic niepodobnego; wszystko stworzy, wszystko zniszczy, jednem słowem wszystko zrobi co zechce. —

Milczeniem urwał mowę Daniel, a potem chodził między swoimi; nie każdemu mówił, że jedzie do żony, ale każdy który tylko się dowiedział, chciał z nim jechać. Daniel odmówił bratu Konstantynowi powiadając:

— Zostań przy bracie Wojewodzie. —

Odmówił siostrzeńcowi Brzuchowieckiemu.

— Grzegorzu, gdybym jechał bić się, tybyś mi był najmilszym towarzyszem, ale ja jadę tam gdzie zgoda. —

Drugiemu swojemu siostrzeńcowi Teterze rzekł:

— Pawle, z tobą rad pojadę, ty jeśli ludzi nie pogodzisz, to pewnie nie pokłócisz. —

Poszli do nowego Hetmana po pozwolenie, po rozkazy. On pozwolił, a rozkazów nie dał, mówiąc:

— Wszystko tu po dawnemu, wszystko niech i tam będzie po dawnemu; ja tam wkrótce przyjadę. Uściskaj siostrę Helenę Danielu, i pokłoń się wszystkim. — Myślał, ale nie powiedział, krasnej Putywlance.

Jak brat ich pożegnał, ale nie jak Hetman. Pojechali, żałobę z sobą powieźli; nie zabrali wszystkiej. Została ona i w starym Kijowie i na starym Dnieprze.

VIII.

NOCNA WYPRAWA.

PRZECZUCIE.

Czarnobrewka w Putywlańskim zamku panuje. Wysoczan, Krzyżanowski, Apostoł, Ładyński, Głuch, i wielu zadnieprskich pułkowników zbiegło się na posługi córy Chmielnickiego. Jeszcze oni nie zapomnieli, że Bohdanko był im wodzem i panem. Czarnobrewka konno jeździ na łowy z chartami, z sokołami. Pułki kozacze krzyczą dla niej: Hura, hura! niech żyje córa naszego Bohdana! Ona przy sobolowym kołpaku nosi toż samo pióro czaple, co z nieba spadło na nią pod Czehrynem na mogile. Nieraz w szale jej się zdaje, że nowym obyczajem ona Hetmanka wszemu Kozactwu hetmani.

Kiedy hasa koniem po stepach, kiedy w komnacie szablę pieści, to taka wtenczas dumna okiem, piękna twarzą, taka ponętna postawą, że nie ma w świecie człowieka, coby za nią nie poszedł i na koniec i za koniec świata.

Czasem zapłacze i zazłorzeczy: Czemu mnie matka synem nie zrodziła! I wtenczas pieści czaple pióro, i wtenczas tylko myśli o mężu kochanku: To dla mego Daniela. W marze myśli stroi go w hetmańską czapkę, daje mu do rąk bulawę, i buńczukiem nad nim powiewa. Jak dziecina tą marą się bawi, i dumą swoją była szczęśliwa.

Już oddawna, jeszcze przed wyjazdem zadnieprskich pułkowników do Czehryna, moskiewscy wysłannicy gadziną wsunęli się między naród Kozaczy, i piekielny jad sykali słowami: Obcy człowiek wam panuje, a o krwi Chmielnickiego zapomnieliście. Odpowiedź dana przez Jana Wyhowskiego pułkownikom: Zrobię co zechcę, co powinienem, jeszcze bardziej rozżarzyła zadnieprskie kozactwo. Czarnobrewa córa nieboszczyka Hetmana, była między nimi ze złotem i dumą; czekali z zapaleniem ognia bratniej wojny, na przybycie Marcina Cieciury.

Przybył i Marcin Cieciura, i wnet stawił się przed Heleną, skłonił się nisko:

— Krasna Pani, kiedy Juryszce zachciało się być Metropolitą, a Neczajowi druhem wiernym Iwana Wyhowskiego, Daniel Wyhowski niech będzie naszym Hetmanem; to twój mąż, a ty córa Bohdanka Chmielnickiego, naszego Ojca i Pana. I Król Jegomość i Senat Rzeczypospolitej będą temu radzi. A nam tyś Pani. —

Temi słowami szczeroty pogłaskał dumę Heleny, i jak piastunka piosnką usypia rozbudzoną dziecinę, tak on ukołysał, uśpił, i czujność i przezorność niewieściej dumy; każdemu zdaniu potakiwał, a żadnemu nie powiedział nie.

Kiedy przyszli do niego Wysoczan i Krzyżanowski, oba dawni towarzysze i wierni przyjaciele Bohdanka Chmielnickiego, oba jawni stronnicy Heleny, uśmiechał się im uprzejmą wolą, i ściskał ich już nie kozaczym uściskiem, ale jakimeś łaszącym się, kocim.

— Panowie bracia, gracko spisaliście się. Wasza szczerość i mnie otuchy dodaje. Ja z wami trzymam, z wami na zawsze, i w czasie poprę was całemi siłami; ale jednak teraz za wami otwarcie oświadczyć się nie mogę. Niby wdzięczność z Janem Wyhowskim mnie wiąże; nie chcę żeby ludzie przed czasem gadali: Wyhowski za czcią i życiem Cieciury się wstawiał, a Cieciura przeciw niemu wichrzy; chociaż —

Wysoczan na to chociaż splunął tak, jakby brzydkiej siwuchy haust lyknął nie skosztowawszy wprzódy.

— Panie bracie, czy i ty jak djabeł na starość chcesz pokutować? zkąd tobie te chociaż? Mów tak, lub nie; z nami, albo przeciw nam. —

Cieciura oczyma w oczy nie patrzał Wysoczanowi, ale na jego twarzy, na którą niegdyś krasa gniewu występowała, teraz nie było żadnej zmiany. Nie darmo towarzysze mówili w Warszawie:

— Cieciura to sprytna sztuczka, tylko co zaczął się uczyć u Wyzuwitów, a już i sam jak Wyzuwita. —

— Ja waszą szczerość Panowie Bracia cenię, zobaczycie że nie zostanę z tyłu za wami. Niczego więcej nie pragnę jak widzieć krew Bohdanka na naszem czele. Widzieliście co zrobiłem, zobaczycie co zrobię. — Twarzą się uśmiechał, i mowę zniżył na cichszy głos. — Panom Senatorom Rzeczypospolitej nie miły Jan Wyhowski, radziby go się pozbyć jednej chwili; czy Juryszka, czy Daniel, czy ktokolwiekbądź, ze zmiany nie będą się smucić, a Król Jegomość, to mniejsza o to. Ja tak mniemam. Panowie Bracia, ja wam to powierzam jako najwierniejszym moim przyjaciołom. —

Zdawało się Cieciurze, że udobruchał obudwóch pułkowników i był rad z siebie, ale oni to z inną dumką od niego odeszli.

Krzyżanowski szablą brzęknął.

— Ni sio, ni to nam nabrechał, a djabeł go zgadnie co on myśli. —

Wysoczan jak niedźwiedź pomrukiwał, a te pomruki to nie dobrej woli głosem u niego.

Cieciura rozmawiał z inną starszyzną, na czele której stał Paweł Ladyński; byli to młodsi wiekiem, jeszcze nie zeszczwani na bojach, ale gorliwi obrońcy przesławnej cerkwi; oni mniej mieli kozaczego ducha, a więcej na Ihumenów wyglądali. Ladyński mówił:

— Nasz Hetman dzisiejszy, Senator polski, Pan polski. On zawsze lgnął do Lachów. Bóg by tego nie dopuścił, ale mnie się widzi, że cerkiew nasza przesławna w niebezpieczeństwie. —

Na to ozwał się Cieciura:

— Ja nie wiem — kto wie — może. — Po chwili dodał. — Tak mówią i głośno i bardzo; ale czyż my jesteśmy niczem? —

— Niczem bracie Cieciuro, nic. Każdy z nas tu gotów nałożyć głową za przesławną cerkiew, ale czy ty będziesz z nami? —

— Ja? czyż wy wątpicie o mojej wierze dla cerkwi naszych ojców? czyż wątpicie o tem, żebym stanął między wami. Panowie Bracia, kiedy przyjdzie bronić świętej wiary naszej, wtenczas stanę, dziś was poprę. —

Wszyscy się uradowali.

— To ty z nami bracie Cieciuro? —

— Z wami bracia; ale trzebaby się porozumieć z Wysoczanem, z Krzyżanowskim. — Spojrzał okiem. — Ja tak mniemam, tak mi się zdaje. —

— Bracie Cieciuro, oni nie Apostołowie przesławnej cerkwi, im bardzo o to chodzi. Byle krew naszego Bohdanka była na naszem Hetmaństwie, to dla nich dosyć; tak jak dla nas, kto Hetman to Hetman, niech tylko przesławna cerkiew ostoi się w swojej potędze. —

Zapewnie, ja mniemam. — Podumał trochę, i twarz przybrał niby w zapał. — Panowie Bracia, wasze chęci sumienne, któżby z wami nie był. — Po chwili dodał ale ciszej — rachujcie na mnie. — I usta stulił jak gdyby reszty słów gwałtem nie przepuścił.

Ładyński ze swoimi odszedł, rad z Marcina Cieciury; między sobą powtarzali:

— On nasz! on z nami! —

Później Marcin Cieciura był sam na sam z Prokopem niegdyś osadniczym, a taraz i przywódzcą Putywlańskiego zamku: to dwaj przyjaciele od serca, przyjaźń rzadka, bo oprócz siebie nikogo więcej nie kochali.

— I jakże Marcinie? —

— Dobrze wszystko, lepiej jakem się spodziewał, jakem mógł się spodziewać. —

— Tam ci wszystko dobrze poszło? —

— Dobrze. Czarne kruki myślą, że mnie przykraczyli do siebie; oni rozumni, to prawda, ale i ja w ciemię nie bity. Przyrzekłem wiele i uwierzyli. A nasz orzeł sam sobie poszkodził; powiedział wyraźnie, że sam swoją ręką wytępi kruki, jeźliby się odważyły nalecieć na Ukrainę. Ogłosił siebie obrońcą przesławnej cerkwi. Kruki jak wezmą kogo na dzioby, dopóty go nie spuszczą, póki z niego padła nie zrobią. O, z nimi się nie zadawać kto chce być całym. Panowie dykiesy takoż nie cierpią orła, bo on im strasznym w oczach, skrzydłami osłonił Ukrainę od ich pałamarki, a szponami grozi zabrać to co oni za swoją własność mają. I litewski rosumacha, i pierzyna lacka, staruszek, matacz, i trefniś, a nawet i raba sobaka, wszyscy orłowi zazdroszczą; i każdy to takim, to owakim słowem mi szeptał: Pozbądź go się Wasze, a nic się nie bój, my to wszystko zrobimy tak aby było dobrze Waszeci. Sam Pan to kurka, a Pani tak wiele się zachciewa, że rzadko kiedy może zrobić co chce. Zresztą oni muszą przyjąć jak co się stanie. Rozumiesz ty wszystko Prokopie? —

Dziwo że rozumiem, ale skąd ty tego wszystkiego się nauczył?

— Od czarnych kruków Panie Bracie.

— A teraz ich nauką będziesz matał tu u nas?

— Nie trzeba u was wiele matać, wy się sami matacie.

— To prawda, ale cóż ty zrobisz?

— Jastrzębie wypuszczę na harc, jak się im nie uda, to w dudki się poszyją, a ja będę czysty i niewinny jak dziecko z tego wszystkiego. A jak się uda i orła zdławią, to będziemy probować dławić sokolęta; na puhaczach się oprę, białemu sępowi pokłonię się, obiecunkami go zachęcę, i jakoś to będzie.

— Na wielkie ty kroisz, panie bracie.

— Na małe nie warto. Ty wiesz Prokopie, kto nic nie waży to i nic nie ma; ale słuchajno, i jakże twoja łastówka sprawia się przy Zuzuli?

— Moja łastówka zwyczajnie łastówka, durna, kruczego rozumu nie ma; ale Zuzula rozparła się, żeby swego Orlika wynieść nad wszystkie ptaki.

— Niech się pora. — Schmurzył czoło, i kozacza rodzima barwa zmiotła na chwilkę obcą przyuczkę. — Ha trzysta by djabłów zjadła, samo w samotrzask lecí; ha! poczekaj ptaszku.

— Nie przegniewaj się tak panie bracie; jak sądzono tobie, to cię nie minie; ale słuchajno co mi ludzie gadali, że sokolątko miłutkiem oczkiem poglądało na moją łastówkę. —

Jeszcze Cieciura niezupełnie rozchmurzył brwi, ale bacznie słuchał Prokopa.

— To dobrze, to może się zdać; ale któż ci o tem mówił?

— Stary nasz bąkacz.

— A jakże on o tem się wywiedział?

— O! on wszystko widzi, wszystko słyszy, i o wszystkiem wie?

— Gdzież teraz się obraca?

— Bąka w uszy Sokolikowi, bąka i Orłowi, a co Zuzuli, to bąkał i nabąkał. Wszystko to jego robota. —

W tej chwili zatrąbiono przed zamkiem, wybiegł Prokop, a Marcin Cieciura sam został.

Sam został z dumkami swojemi i słowami; nie puszczał ich w świat; z oczów, z twarzy tylko widać, że niemi w głowie harcował, a ręce zacierał, jak gdyby mówił: stanie się stanie; a nogami szybko stawiał, jak gdyby mówił: nie zatrzymam się, pójdę już, pójdę. Tak się czai, tak się zwierzy wilk koło zamkniętej jeszcze obory, tak się łaszczy, tak się czupurzy jastrząb koło gołębnika.

Wrócił Prokop, a twarz jego dziwem jakimeś osuta, Cieciura spostrzegł.

— A co goniec? co przywiózł?

— Nic jeden, ale dwóch.

— Cóż przywieźli?

— Orzeł z dobrej woli w dom odleciał. Sokolątko nam Hetmanem. —

Schylił czoło Cieciura, a Prokop mówił dalej:

— Stary bąkacz drugim gońcem daje wiedzieć, że Zuzulin Orlik tu leci. —

Jak dziecina Zaporoża kiedy usłyszy cichy poszept: Na koń, na koń, chwyta się ze snu dumania, i nagle i oczyma i ciałem z radości skacze, tak podskoczył na te słowa Marcin Cieciura.

— Zuzulin Orlik!

— Tak, tak panie bracie.

— Gdzie Naum?

— Jest tu.

— Chodźmy do niego. Prokopie, zobaczysz co to będzie. Nasza dobra, nasza. —

Helena ani igły, ani wrzeciona nie miała w ręku, ale bawiła się z czaplem piórem, to rozstrzępiała każde pierze z osobna, to znowu je muskała, i od czasu do czasu słówko jedno, dwa posłała Parasce. Paraska dziergała jakieś manele, i nie ochoczo odpowiadała hetmańskiej córze.

— Daniela nie ma.

— Przyjedzie.

— Pisał.

— Już pewno w drodze.

— Ty myślisz?

— Pewnie. —

I pogłaskała czaple pióro.

— To dla niego. —

Rozmowa się urwała, kiedy wszedł Marcin Cieciura, szczęście rzucił w uśmiech, i chodem szczęścia stąpał.

— Krasna Pani, szczęśliwą ci wieść niosę. Jerzy Chmielnicki naszym Hetmanem, panem waszej Ukrainy.

— A Jan Wyhowski?

— Złożył dobrowolnie Hetmaństwo — dodał ciszej — bo musiał. —

Czarnobrewka tego ostatniego słowa nie słyszała, opuściła czaple pióro na ziemię.

— Złożył dobrowolnie? — Mój brat Hetmanem?

I krew Chmielnickiego nie cieszyła się z dostojeństwa jakie spadło na jej własną krew.

— A mój mąż?

— Zapewnie musi być w Kijowie. Cieciura podniósł z podłogi czaple pióro, oddał Helenie; ona drobnemi palcami nie strzępi pierza, w oczach łza stanęła, a nie śmie potargać pióra, a nie śmie łzę wypuścić z oka. Duma gra, i wstydzi się żalu i nadziei nie traci; gorzko jej, duszno, wstała i nie powiedziała: za wieść dziękuję. Wyszła, Cieciura zatoczył za nią okiem, a myślą poszeptał sobie: Kto ją ma, tenby miał czaple pióro byle chciał. Nie bawił Cieciura w komnacie, zmienił go tam inny człowiek.

To stary Prokop przyszedł do swojej córki jedynaczki.

— Doniu, moja Doniu, Jerzy Chmielnicki nam Hetmanem.

— Słyszałam. — I ledwie podniosła oczy od igły.

Ojciec patrzał jej w twarz. — Cóż ty na to Doniu?

— Szkoda i jednego i drugiego.

— Kogo? Jak?

— Szkoda dawnego, bo to prawdziwy Hetman; szkoda nowego, bo on nie na Hetmana.

— Co ty prawisz Doniu?

— To co myślę. I na tej twarzy nie było rumieńca, i w jej oczach nie było nic niezwyczajnego.

— Doniu, moja Doniu, ja ci ojcem, ja ci matką, a ty przedemną się taisz.

— Z czem Ojcze ja się taję? ja o niczem nic wiem; o czem ty sam nie wiesz. Helena za lepszego powiernika ma ciebie Ojcze, jak mnie; przedemną mało co mówi, i to co mówi, to ja tego nie rozumiem.

— Ale Jerzy Chmielnicki nasz Hetman!

— Cóż ja mogę o nim wiedzieć?

— On nic nie gadał o — o Hetmaństwie.

— O pewnie że nie, on się modlił; żalił się przed siostrą, i prosił u niej o pożałowanie.

— A tyś go żałowała?
— Żałowałam.
— A on?
— Co on?
— On o tem nie wiedział, i ludzie o tem wiedzieli. —
Potrząsła głową Putywlanka i nic więcej.
— Słuchaj Doniu moja, on dziś Hetman, nie Ihumen.
— Niech mu Pan Bóg szczęści.
— I nam niech szczęści.
— Daj Boże.
— Od ciebie wszystko zależy moja Doniu.
— A to jakim sposobem mój ojcze?
— Ty możesz być hetmańską żoną. —
Putywlanka milczała.
Stary Prokop w czoło pocałował krasną córkę.
— Tylko chciej pociecho moja, tylko chciej. —
I odchodził, i we drzwiach nie słyszał głosu córki.
— Nie ojcze. —

Putywlanka spoczęła czołem na dłoni, a myślą pobiegła na dumanie. Sirko hołubczyk pierwszy pocałunek jej serca dostał, i ona mu wierna, tak jak szabla jego dłoni, jak koń jego woli, i ona o nim myśli; dla niego mrugi oczek, uśmiech ust zbiera. — Niechno on przyjdzie, jak go powitam, to już odemnie nie odejdzie, tu ze mną zostanie, i przy mnie o wszystkiem zapomni; i temu wierzy jak w słowa święte, bo sercem kocha. Zaklina się sama przed sobą, że nigdy wiary sobie danej nie złamie, nigdy, nigdy.

Czy Tatar Perekopczyk gdzieś na stepie się pojawił, i od Krymu doleciały bluźniercze głosy: Bachmaty nasze wypiją mu wodę aż do dna, kopytami zgruchoczą gród Putywelski, w ziemię osadzą, a naród chrześcijański jak bydło pożeniemy w jasyr, za trzy rzeki, za trzy góry, w nasz kraj, na sromotę, na niewolę. Czy z taką wieścią orzeł brat kozaczy ze stepu przyleciał? bo Marcin Cieciura najczelniejszy pułkowódzca, sam konia dosiadł, garstkę najwierniejszego kozactwa zabrał, i wybieżał z bramy Putywelskiej na zachodni szlak, na szlak, którędy kozactwo do Kijowa chodzi, ale którym i Tatarstwo w głąb kozaczego kraju zwykło się zaganiać.

Cwałem konie pognali, a nikt nie wiedział dokąd? i po co? Tylko Prokop Osadniczy na zamek liczne straże pozaciągał a wszystkich ludzi dobierał z Cieciury pułku, i sam z kilkoma

powiernikami porał się w podziemiu zamkowem. Widno prochy wydobywał i kozacze skarby zakopywał.

Rozeszła się po Putywlu wieść o nowym Hetmanie. I lud Chmielnickiego nie cieszył się, że znowu ma Chmielnickiego na Pana, lud ojca nie wiedział jaki będzie syn, a z Iwanem Wyhowskim byli pod Konotopem, a za samą potęgą imienia Iwana Wyhowskiego siedzieli spokojnie, bezpiecznie, jakby za plecami Bożemi.

Moskal nie wywoływał, żeby ten Hetman kozaczy siadał na koń, bo wiedział, że jak raz wsiędzie, to nie zlezie, póki krwią moskiewską nie zleje ukraińskiej pustyni, póki moskiewskiemi kościami nie poznaczy szlaków do Moskwy. Konotop tak im w pamięci stoi, jak bitwa pod Kulikowem.

Tatar wiernie sojusz trzymał, żaden z nich za kozaczą pustynię końską nogą nie stąpił; oni znali Iwana Wyhowskiego.

I bracia Lachowie, jak przynależy na uczciwość i braterstwo, szanowali to wszystko co kozacze. Ten Hetman zrobił wojsko i porządkował kraj.

Cały naród Ukrainy gadał między sobą: On coś wielkiego waży, ale Bóg tylko sam i on o tem wiedzą. Takiego Pana traciło Kozactwo, i szczerze żałowało za nim.

Helena poswarzyła się ze snem, a noc ulubiła: nie śpi, chodzi po komnacie i duma; siędzie na wezgłowiu i tęskni; stanie w oknie i marzy, i duma o dumie, i tęskni za dumą i marzy o dumie. Sama do siebie mówi: Brat mój Hetman, krew mojego ojca, krew nasza panuje; wszystko tak się stało, jak się stać było winno. Nie powiedzą: Chmielnickiego imię błyskawicą przeleciało, gromem huknęło w Ukrainie, i jak błyskawica, i jak grom przepadło; tylko ludzie jak o rzeczy przeszłej o nim gadać będą. Chmielniccy będą panować po wiek wieków Kozaczyznie. Nieboraczka chciała dumę zabałamucić tem gadaniem, a duma do ugłaskanej sobą myśli szeptała: Ale to nie ty? — I wtenczas dłoniami studziła oczy. Czemu mnie matka synem nie porodziła.

Jak gwiazda na ciemne niebo, tak kochanie zawitało do smutnej duszy. Serce mówiło: mąż kochanek idzie. Otworzyła okno, i okiem szukała po czarnym przestworzu. Ale tam człowieka żadnego nie widać, bo ludzie głęboko spali; ni gwiazdki, bo niebo było w grubej żałobie; ani myśli jakiej coby kochaniu w pomoc przyszła, i rozwiała choć na chwilę dumki dumy.

Myśl taka jak wiatr szczęścia od niedoli ucieka; z nią w parze iść nie lubi; ani na nią patrzyć, ani do niej się uśmiechać. Czarnobrewka nie mogła zgonić tej myśli, choć ona gdzieś tam była w świecie. Ale niebo wysokie, świat szeroki, a myśl ludzka błędny wędrowiec, dobrze się nabłądzi w stepie życia, nim

znajdzie drogę, a często, często w stepie przepadnie, i na wieki zaginie.

Stała w oknie, głowę wychyliła do wiatru; rosa jak na najśliczniejszy kwiat ziemi pada na włosy, na oczy, na lice; pada cicho, pieści się, żeby kwiatu nie zbudzić, żeby dłużej na nim zostać. I wiatr w zmowie z rosą kochanką umilkł, zawisł w powietrzu, i jak w drzemaniu słania się koło tego kwiatu. W komnacie świecznice płoną, i płomieniem polatują ku oknu, jak gdyby chciały płomieniem z okna ku sobie ją pociągnąć. I złote księżyce i srebrne gwiazdy, niby wyrywają się z amarantowych makat, i chcą lecieć za Czarnobrewką, i chcą ją zatrzymać, tak im jej żal. A czarnobrewka głową wychylona, a postacią taka polotna, że zdaje się ot, ot, już uleci.

Gdzieś tam, gdzieś daleko, ciszę świata bałamuci jakaś piosnka. Na zawiść wiatrowi, na zawiść rosie, do ucha Czarnobrewki leci, i ona chce takoż z nią pieścić się. Piosnka taka zawistna ucha krasawicy, jak wiatr i rosa jej liczku.

Noc, noc sypie czarne kwiecie,
Ciemno w niebie, ciemno w świecie;
Czarnobrewce smutno w myśli,
Żal z kochaniem w goście przyszli.

I noc czarna sobie minie,
Z nocą ciemność precz zapłynie;
Wszystko w świecie się zabieli,
Czarnobrewce myśl zweseli.

Zejdzie jutrznia na obloki,
Zejdzie słońce, dzień szeroki;
Czarnobrewce radość zniesie,
Już kochanek ot tam w lesie.

Niedaleko pędzi szlakiem,
Bieży chartem, leci ptakiem;
Dzień i nocą konia zgania,
K' Czarnobrewce, do kochania.

Oj przybieże tutaj gońcem,
Z ranną rosą, z rannym słońcem:
Na dobrydzień pocałuje,
Czarnobrewkę rozraduje.

Może jeszcze czasu skradnie,
Może jeszcze w noc wypadnie,
I jak się masz, przed dniem powie,
Pocałunkiem w noc pozdrowi.

Jakby na dobrzmienie pieśni, na szlaku niby kopyta końskie zatętniały. Czarnobrewka słucha, pieśń zamilkła, w powietrzu się rozpłynęła, ale tętnienie głosi się i niesie się do ucha. Co-

raz bliżej, coraz bliżej, tętni, tętni ku zamkowi. Zarżały konie; Czarnobrewka pomyślała: to może on! I patrzyła i słuchała.

Przy bramie straż straży głos posłała.

— Tu nasi muszą wracać, rżą konie do stajni. —

Czarnobrewka westchnęła.

Nie słychać było obcego wołania. Przed bramą ustało tętnienie, a zaskrzypiały wrzeciądze bramy, i most zwodzony spadł, krótkim łomotem, i słychać było jak konie stąpały po moście; ale nie było nic a nic widać. Czarnobrewkę nadzieje nie odbiegły: może mój Daniel z tutejszemi się zdybał. I dumy niepokoje ją odbiegły. Stała w oknie, słuchała i nic dosłyszeć nie mogła; patrzyła i nic dopatrzyć nie mogła. Wróciła w komnatę, poprawiła włosy, strój, lice otarłszy z rosy, siadła na wezgłowiu niby półsenna, czekała a nic nie słychać. Posadzki dalszych komnat nieme, klamki martwe, tylko serce Czarnobrewki żyje, tylko oczy Czarnobrewki żyją. Serce spiesznie skacze, jak gdyby cwałowało do męża kochanka. Oczy biegną ku drzwiom, wyglądają męża. Wiekiem długa była ta chwila oczekiwania, sokołem szparka była niecierpliwość kobieca. Wstała, poszła ku drzwiom, otworzyła, słucha: pustynia niema przed nią; wróciła ku oknu, słucha: i tam niema pustynia; ani tętnienia koni, ani głosów ludzkich, ani nawet brzmienia pieśni nie słychać. Przeciera oczy, myśl rozmarza.

— O Boże mój Boże! —

Zatrzasnęła okno, rzuciła się na wezgłowie, patrzy do koła. Świecznice jasno płoną, księżyc się złoci, gwiazdy się srebrzą; na nietkniętem łożu, między rozsuniętą kotarą, puszy się czaple pióro. W całej komnacie, od makaty od kotary, od światła jaśnia się czerwieni. Z ponad łoża święci pańscy ze złocistych ram na Czarnobrewkę patrzą, a ona kryje oczy w dłonie i płacze. Płacze nie za czaplem piórem, ale za mężem kochankiem. I tak płakała aż do białego dnia. Z białym dniem mówi sobie na pociechę: marzyłam, śniłam. A jednak okiem ku drzwiom patrzy, uchem ku drzwiom słucha.

Idzie do okna, otwiera, i oczyma nie chwali dnia milącego się do ziemi, i ziemię weselącą się z dnia; ale na dziedzińcu zajrzała dwóch ludzi: to Marcin Cieciura i Prokop osadniczy, rozmawiali z sobą. Marcin Cieciura był dziko wesół, tak jak sęp kiedy padło do koła oskakuje, nim zacznie żrzeć. Prokop był butny postawą, jako paw wyglądający wschodzącego słońca.

Ze stajni wiedziono konie do wodopoju po pod same okna, kędy stała Czarnobrewka; leniwo ciągnęły się na powodach, jeszcze pot na nich nie osechł, a przyschła biała dereszowaciała na piersiach i na łbach. Jeden ze sług Czarnobrewki zapytał Kozaka wiodącego pierwszą parę koni:

— Gdzieżeście tak zhasali wasze szkapy? —

Ten milczał.

Zapytał drugiego, i od tego żadnej odpowiedzi nie odebrał, dopiero trzeci mruknął:

— W stepie. —

Sługa o więcej się nie pytał.

W dzień Czarnobrewka zamknęła się w swojej komnacie; wzbroniła wejścia wszystkim, i sama nigdzie nie wychodziła, nigdzie, tylko wciąż służebnę po służebnej wysyłała na zwiady, czy Daniel nie przyjechał, czy nie jedzie?

Marcin Cieciura wszedłszy między starszyznę, każdemu się przyłaszał, jakby każdego chciał sobie na druha pozyskać, a kiedy go pytano:

— Gdzieżeś jeździł tej nocy, czy na wzwiady jakie? —

On poprawiał osełedec, czupurzył się na zucha:

— Zmarkotniało mi tak siedzieć w zamku, pojechałem sobie pohulać, pohasać na stepie. —

A z osobna każdemu prawie w ucho szepnął:

— Dowiesz się gdzie, i po co?

IX.

BIESIADA.

MNICH HETMANEM.

Czas szparko jak ukraińskim koniem przeskakał dni dziesięć, a czarnobrewce o mężu nie przyniósł wieści żadnej. Tylko pułki zadnieprskiego kozactwa ściągają się do Putywla, tylko z Kijowa gońce za gońcami przynoszą mowę: Do Putywla przybędzie nowy Hetman. I Czarnobrewka do tej mowy dumką dorzuca: I mój mąż z nim.

Między Starszyzną Marcin Cieciura tumani, mata i rej wodzi. Zebrał na radę samych pułkowników, i tak do nich przemawiał:

— Panowie Bracia! Chwała Bogu, chwała i nam, Hetmaństwo nasze wróciło do krwi Chmielnickiego. Cerkiew ostała się w potędze, wiary naszej przesławnej nie śmiano prześladować; ale to powodzenie ostrożności nam ujmować nie powinno.

Naszym obowiązkiem baczyć na wszystko; bo nie tak dobrze idą rzeczy jak nam się zdaje. Na świecie są ludzie nieszczerzy, co dla tego dobrze robią, że nie mogą inaczej, ale zrobiwszy to, natychmiast pracują na zle.

Krzyżanowski przerwał.

— Bracie Cieciuro, mów wyraźnie, komu ty przytyki dajesz? Kto tu u trzysta djabłów śmie dołki kopać pod Chmielnickiego władzą? —

Wysoczan i wszyscy jego popleczniey w szable stuknęli.

— Śmieją, śmieją, i na Chmielnickiego krew nastawać, albo dalej jeszcze, pójść na przesławną wiarę, na naszą wolność; ale są tacy, którym Bóg dozwolił dowiedzieć się i złe uprzedzić. — Wyprostował się Cieciura.

Mów bracie Cieciuro, kto tu między nami pokój chce mięszać? Jaki to hunewot i psiawiara?

— Mnie nie chce się wam mówić, ale muszę dla dobra naszego. Oto Iwan Wyhowski, kiedy niby tak poczciwie zrzeka się Hetmaństwa, swoich wysyła między nas mącić; szuka żeby go znowu przymuszano do przyjęcia Hetmaństwa. — Milczeli; — Cieciura dobrze tuszył, i domówił: Będąc naszym zło-dziejem, chce aby go miano za dobro-dzieja. —

Wysoczan mruknął:

— To nieprawda, łgarstwo; ja znam Iwana. —

Nie szczerwienił się Cieciura, ani mu blachmanem oczy zaszły.

— Mnie tu smutniej tę prawdę mówić, jak komu innemu; on mnie dobrze zrobił, a ja dla dobra naszego wspólnego muszę mu robić źle; ale rodzonego ojca bym wydał, bogdajby mi Bóg dał tak do jutra dożyć, gdyby żywił złą myśl na przesławną wiarę naszą, albo na krew Chmielnickiego; a że wam prawdę mówię, to was przekonam. Znacie Nauma Sukara?

— Ja znam. — Odezwał się Wysoczan. — To mój dawny sługa, towarzysz i przyjaciel.

— I uwierzysz jego słowom?

— Jak moim własnym. —

Cieciura wolał Nauma. Lisem wkradał się do komnaty rudy szerszeń, kocim zerkiem poglądał na ludzi, a na rozkaz Cieciury syczeniem osy słał z ust mowę.

— Panowie Starszyzna, prawdę wam mówię, jak przed spowiedzią wielkanocną: Skoro Iwan Wyhowski dowiedział się, że Zadnieprskie pułki domagają się aby dotrzymał co przyrzekł świętej pamięci naszemu ojcu Bohdankowi; skoro się dowiedział że Panowie Lachowie, Car biały i wszyscy nasi sąsiedzi, żądają widzieć na państwie Kozaczyzny tego komu się należy to państwo z prawa: rad nierad zrzekł się buławy. Ale zrzekając się, wysłał tu za Dniepr swojego brata Daniela Wyhowskiego, i siostrzeńca Pawła Teterę, żeby szeptali w ucho Kozakom: Niebezpieczeństwo nam, Lach niepewny, Moskal żądny pomsty, Bisurman groźny, Tatar gotów do zaczepki, a my dziecinę mnicha bierzemy na Hetmana; modlić się on potrafi, ale bić to nie. Niechże się modli za przesławną cerkiew, za nas, a my prośmy Iwana, żeby znowu przyjął buławę i dalej nam hetmanił. Takiemi mowy nakazano im siać wszędzie. W pułkach przeddnieprzańskich liczy Iwan Wyhowski co niemiara swoich, a na Zaporoże, Sirkowie, Brzuchowiecki takoż pobiegli. Ja wiem, Panowie Starszyzna! i z palców krzyżyk złożył, i ten krzyżyk pocałował. Na Jezusa Chrystusa wam się kłnę, Iwan Wyhowski nastaje na naszą wiarę, na naszą swobodę, na krew Bohdanka. Wszystko to chce w karby wziąść i pójść w wieczną służbę Lachom, a może i Bisurmanom. Już Wojewodą lackim, a chce mu się jeszcze być Księciem; tak nasi Hetmani

nigdy nie robili: nie dbali o cudze dostojeństwa a cieszyli się tem, co im dał naród Kozaczy. —

W komnacie jak w cerkwi było milczenie czas jakiś. Zadumały się kozacze myśli, rozplątują gadaninę Nauma guślarza i pronozy, a Naum spuścił oczy i wzdycha, niby u Panów Starszyzny błaga o ratunek dla Ojczyzny. Cieciura przerwał milczenie.

— Prawdę, prawdę mówi Naum; mamy w naszej mocy obudwóch krewniaków Iwana. Ja to ich schwytałem; nie opowiedzialem się wam Panowie bracia, bo czas naglił.

— Gdzie oni są?

— Tu w zamkowem więzieniu. Chciałem wprzódy o wszystkiem się dobrze wywiedzieć, nimem wytoczył tę rzecz przed wami Panowie bracia. Teraz jeźli wasza wola, Prokop stawi przed wami obudwóch. —

Milczała Starszyzna, tylko jeden Wysoczan przebąkiwał:

— To szwagier Hetmana, Bohdanka zięć. Żona jego między nami.

Niech się przed wami oczyści Panowie bracia, a potem z nami razem zasiądzie.

Słowa, półsłowa wyrywały się z ust kozaczych, a Marcin Cieciura przybrał wolę Pana, i rozkazy dawał.

Daniel Wyhowski i Paweł Tetera bez szabel przy boku, z chmurą gniewu na twarzy, stanęli przed bracią Starszyzną. Nie witali ich: Sława Bogu, jak się macie. Pierwszy Daniel Wyhowski gromkim głosem sypnął.

— Trzysta djabłów byście zjedli, psiawiary Zadnieprzańce, co za prawo macie nas więzić? Czy my wam sługi, czy wrogi Kozaczyźnie? Jeszcze wam wasze sprawki uszyma się nie nalały, narobiliście licha; Hetman, co sławą całą Ukrainę okrył, przez was nas porzuca, a wam niedość na tem, jak zbójce jacy napadacie po drogach ludzi. —

Marcin Cieciura szepnął jednemu w ucho, i szept kolejką się poniósł.

— A widzicie! nieprawdaż? —

Jak roszczyn na drożdżach, tak się burzyło na twarzach kozaczych. Tetera milczał, tylko się nadstawił, a Daniel Wyhowski podstrajał się, podstrajał gniewem i huknął:

— Psubraty, hultaje, gdzie moja żona? Puszczajcie nas.

Ze wszech stron wrzasnęły głosy:

— Zdrajcy! niewiary!

—Ha, jeszcze łżycie łotry. — I wuj i siostrzeniec zawołali; chwycili cię za bok, gdzie szabel nie ma, podnieśli nagie pięście w góry. Wszystkiej Starszyznie zabrzękły szable wyskakując z pochew.

Ale na głos gromki Wysoczana szable nie machnęły.

— Wara od szabel! niech się tłumaczą przed nami.

— Przed wami! przed wami psiawiary? Coż wy takiego jesteście? —

Cieciura silił się na głos niby zgody, niby wykrycia prawdy, ale łajanka i wrzawa tłumiły jego słowa. Nikt nikogo nie rozumiał, a wszyscy się rozsierdzili, i tak tam było na tej radzie kozaczej, jak na jarmarku Cyganów z Żydami.

Kiedy to się działo na lewem skrzydle zamku, Helena na prawem skrzydle słuchała doniesień służebnych. Panowie Starszyzna między sobą się swarzą, i nic więcej nie można się dowiedzieć; straże do koła stoją, i nikogo a nikogo nie puszczają nawet pod okna.

— Kiedym pytała Hryeka co to jest, palec do ust przyłożył. Kiedym prosiła Ostapa, żeby mnie puścił pod okno, ręką machnął, że nie. Jakow potrząsał głową, i zdaje się, że coś powiedział, niby o Hetmanie. —

Helena pilnie uchem chwyta każde słowo; patrzy w okno; straże chodzą; Prokop osadniczy jakieś rozkazy im daje, ale rozkazów nie słychać, a przez okna co się dzieje we wnętrzy gmachu nic nie widać.

Helena odstąpiła od okna, jakieś zlecenie po cichu dawać Parasce, a wiatr wpadł w okno, i zdmuchnął z za kotary czaple pióro, i wprost go powiał na łono czarnobrewce; wzięła w rękę, do myśli zawitało: może — może — i więcej dawnej dumki. Wróciła do okna. Starszyzna jedni po drugich wychodzili z zamku, zapyrzone ich twarze, ale nieme usta. Straże jak zwyczajnie przechadzały się mierzonym krokiem. Wróciła Paraska, i przyniosła niemiłe:

— Nic dowiedzieć się nie mogłam.

To przeszło, a Helena znowu dumała o mężu: Z bratem moim on przyjedzie.

Wszystka Starszyzna unikała długiej i częstej rozmowy z Heleną. Sam Cieciura za nadto się wygadał, i teraz już nic nie mówił. Tylko Wysoczan poglądał na nią tęsknie, ale ta tęsknota miała w sobie tyle dzikiego, że i samej Helenie niemiło było na nią patrzeć.

Przybył i nowy Hetman, a z nim siła mnichów; za Ihumenami, czerncami i popami, ani dojrzeć można było rycerskich ludzi, a ku dziwocie wszystkich nie było z nim Czehryńców, Kozactwa tego Czehryńskiego pułku, który Bohdan Chmielnicki za przyboczny orszak obrał, a którego pułkownikiem był Daniel Wyhowski. Czarnobrewka szukała okiem Czehryńców i znaleźć nie mogła. Pytała brata o męża, a Jerzy Chmielnicki, krew Bohdanka, taki był strwożony tłumem nieznanego sobie kozactwa, że ledwie zdobył się siostrze na odpowiedź:

— Przedemną wyjechał, myślałem, że go tu zastanę.

Marcin wybiegał naprzeciwko nowemu Hetmanowi, i z nim razem wrócił do Putywla. Jerzy Chmielnicki z kolasy musiał siąść na koń; blady był i drżący, a coraz to rękami do grzywy sięgał. Cieciura harcował koniem i czwanił się obok niego, a Kozactwo markotniało patrząc na swojego Hetmana.

Kiedy po wszystkich obrzędach przyjęcia Jerzy został sam na sam z siostrą, rzucił czapkę z czaplem piórem o ziemię.

— Heleno, Heleno, jaka ona ciężka, ja jej unieść nie mogę.

Odetchnął trochę wolniej, o siostrze żal go się zrobiło.

— Juryszko, to czapka naszego ojca.

— Prawda, prawda. — I na odpoczynek twarz położył w dłonie, i oboje siedli na wezgłowiu.

— Bracie, co tobie jest?

— Heleno, mnie tam tak było dobrze.

— Gdzie?

— Tam, w moim monasterze.

— Juryszko wspomnijże na to, czem ty jesteś.

— Boże, Boże, co ja zrobiłem, że mnie tak karzesz! — Helena chciała pocałunkiem pocieszyć brata, on płakał.

— Bracie mój, uspokój się, ludzie mogą przyjść.

— Jak to? czy oni i tu przyjdą? — Wstał, ocierał łzy z oczów. — Bracie Filarecie! — Wszedł mnich czerniec, niemy na twarzy, taki jak i na ustach: suchy, sztywny, pokłonił się. Jerzy wziął go za rękę.

— Siostro, to mój przyjaciel jedyny! zaraz ja powrócę.

Wrócił, ale już inny, jak gdyby gorączka po zimnie nadeszła, oko się rozbłyszczało, na licach rumieniec się zażarzył, na nim zaświeciła się iskierka podobieństwa do nieboszczyka Bohdanka, wtenczas kiedy ten praworny Hetman knował o spłataniu jakiej nowej sztuczki.

— Siostro, a gdzie krasna Putywlanka? —

Helena jak na dziwo patrzyła mu w oczy.

— Siostro, patrz na mnie, patrz na moje szaty; już ja nie Ihumen, nie czerniec żaden. Precz z myśli monasterowe cisze. Precz z mowy długie modlitwy! Ja Hetman, Ukrainy Pan; mnie krwawe boje, mnie dziewczęta krasawice, i rącze konie i sokoły, i huczne biesiady, i łowy tłumne; wszystko to moje siostro. Gdzie Putywlanka, ja' pamiętam o niej; tam, tam, w naszym Czehrynie! Niech tu przyjdzie! Szybko, żwawo, zaraz, zaraz, ja chcę, ja każę. —

A tak szparko słowa po słowach leciały, jak gdyby szły w przegony; a oko więcej zabłyskiwało, a rumieniec więcej się krasił. Takiej prośbie nie ma odmowy; przyszła dziewczyna Putywlanka, Jerzy schwycił ją za rękę.

— Krasawico moja, ty mnie nie bieżysz witać, a ja Hetman,

Ukrainy Pan. Co zechcesz, to wszystko dla ciebie, ty gwiazda mojego życia; powiedz słowo, a Hana z Perekopu precz za morza wypędzę, całe Tatarstwo zagonię dla ciebie na niewolników; trzysta cerkiew pobuduję na Nogajskich stepach; na białym carze, jak na koniu będę jeździł, bojarów jak niedźwiedzi na łańcuchach każę wodzić. Dla twojej zabawki każę szczekać i tuzać się Lachom, tak jak to im mój ojciec robił. Ho! ho! ja im przypomnę, że ja syn Bohdanka. Za Słucz! za Bug! za Wisłę i za morza pogonię. Wołoszę dla ciebie podbiję i Stambuł w darze dam. Tylko jedno słowo krasna dziewico, tylko jeden pocałunek, moje kochanie. —

Putywlanka oczyma ani popatrzyć śmie, a drży jak liść osiki. Helena załękła się, patrzy na brata, a jemu pełznie rumieniec, i z oczów błask się ściera, ale jeszcze gada.

— Moja złota Pani, moje kochanie, ja Hetman, ja Ukrainy Pan, tobie wszystko oddam, z tobą się podzielę. O! podzielę się wszystkiem a wszystkiem; nie tak nam będzie trudno, nie tak ciężko. To ciężar — złota pani. — Wolniał mu głos, a bladość coraz szarzej, coraz szerzej po twarzy się leje. Wypuścił rękę Putywlanki. — Ja — bracie Filarecie — Siostro! —

I ledwie do wezgłowia doszedł, padł na niem, oczy przymknął, a oddechem powietrze szybko chwytał. Helena, Paraska niosą mu ratunek. Wszedł Czerniec Filaret. Ręką wskazał: — to nic, dajcie mu pokój. Stanął przed nim, i patrzał na niego jak posąg na posąga.

Helena ręce łamie. — Biedny brat —

I Parasce żal Jerzego. — Otworzył oczy, a Czerniec podał mu flaszę do ust; odtrącił.

— Nie, nie chcę. — Spojrzał do koła, jak suchotnik po obudzeniu się z niemocy. — Siostro! Parasko! — Na kolana padł przed wezgłowiem.

— Boże! Boże! zlituj się nademną. —

Głos Czernca gromem się domieszał do cichej prośby Jerzego.

— Hetmanie, Starszyzna czeka. —

Chmielnicki schwycił się z klęczek.

— Daj, daj Filarecie —

I usta skrzywił, i oczy zakosił, a z flaszy pociągnął; oddał flaszę, i oko jaśniało, i lice rumieniało.

— Chodźmy Filarecie, bądź przy mnie. —

Weszli między Starszyznę. Starszyzna się pokłoniła. Jerzy Chmielnicki był butny taki, że zewsząd zaszumiały głosy: Ojcowska dziecina. I sam Cieciura zaturbował się.

Chmielnicki stuknął w szablę.

— Panowie bracia, towarzysze mojego ojca, najwierniejsi

jego przyjaciele, do was przybyłem. Młody jeszcze jestem wiekiem, ale we mnie krew mojego ojca, krew co wam całkiem oddana, krew co dla was gotowa się lać po kropli, aż do ostatniej. Czas niedaleki, a zobaczycie, czy Jerzy Chmielnicki nie będzie tem czem był Chmielnicki Bohdan. —

Starszyzna zawrzosła: Hura! Hura! niech żyje nasz Hetman!

— Dosyć już dosyć gnuśnienia Ukrainie! Czyż my mamy jak podły lud jaki siać i orać? Kiedy dla nas cudze narody orzą, sieją, szablami i spisami zbierajmy plony cudzej pracy. To nasze! Tak robili nasi ojcowie, i my tak róbmy. Świat szeroki Bóg dla nas dał na pohulanki i na zbiory, a myż mamy spać i sadowić się na gospodarstwo jak inni ludzie? O! nie panowie bracia. — Tu haustem pociągnął wody z flaszy, która mu podał Czerniec. — Nie! nie! Stambuł ma dla nas złoto i drogie bisiory. Wołosza nam zbiera zboże i hoduje bydło. Tatar dla nas wypasa konie. Nam będą się wdzięczyły Laszki, i Moskwa przyszle w podarku sorokami sobole futra. Wszędzie was powiodę. Tylko nie zapominajmy czem byliśmy i czem być winniśmy; a szablom naszym ludzi, a koniom ziemi nigdy a nigdy nie zabraknie. —

We wszystkich sercach gra radość kozacza, ze wszystkich ust huka powitanie Hetmana. Stoły zastawiono suto biesiadą. W dzbanach do przelewki pełno wina, wódki i miodu. Teorbaniści drumkali, w supełki chłopcy jak słowiki wycinali. Koło nowego Hetmana zasiadł Czerniec Filaret, i ciągle w rostruchan nalewał mu napój, a on duszkiem spijał. Oczy mu jak u wilka iskrzyły się. Ojca sztuczki przypominał, dzban porwał i cisnął o ścianę, na drobiazgi rozstłukł, a wino ryczałtem bryznęło.

— Tak djabli wezmą każdego kto wrogiem Kozactwa! —

I kozacze głosy trzoda krzyknęły:

— Hura! hura! niech żyje nasz Hetman!

Łyknął jednym haustem pełny wina rostruchan.

— Bogdaj tak polała się na wrogów cała Kozaczyna! —

Gromkie hura o sklepienie się odbiło.

Zgiął nóż o stół, i żelazo bryznęło.

— Tak pęknie szyja każdego, kto zły brat Kozactwa.

Aż po podwórzu rozbijały się rozgłosy: hura! hura na cześć nowego Hetmana! Na ręce porwała go starszyzna, i podrzucali w górę. Takiej biesiady już oddawna nie znało kozactwo, tak tylko niegdyś hulał Bohdanko Chmielnicki w ulubionem swojem mieście, w Perejasławiu.

Wysoczanowi, Krzyżanowskiemu łzy radości padały w kielichy, i ze łzą trunek spijali na cześć dzieciny ojca, któremu tak wiernie służyli.

Cieciura mówił do Prokopa.

— Bądźże tu mądrym i wyrachuj co będzie z człowieka.

— Póki mnich to był mnich, a teraz Hetman.

— Ba!

— I ojciec umiał się w dudki poszyć, i pijaka udawać, jak było trzeba; a jak potrzeba to i wyzuwitę oszwabił, i chlebem i wodą żył tygodnie całe; to taka rodzina.

— Taka, nie ma co mówić: chodź no tu Prokopie. — I odprowadził go na stronę.

Jerzy Chmielnicki ni razu nie wspomniał o swoim szwagrze Danielu, i Starszyzna choć piła, z niczem się nie wygadała, tak im polecił Cieciura, niby na spodobę nowemu Hetmanowi. Po biesiadzie i sprawa i rozprawa, tak mawiał nieboszczyk Bohdanko Chmielnicki.

Już kozak na Semie wieczerze pozastawiał, i jaskółki wieczór przeświegotały, w lepianki spać poszły, i w zamku Putywelskim biesiada ucichła. Jerzy Chmielnicki leżał w łożu, jak trup blady, jak trup nieruchomy, tylko gęste dychanie mówiło: jest tam jeszcze życie, ale we śnie, w niemocy. Mnich Filaret jak za powinność odmawiał pacierze, ale wszystkie odmówił. Potem przyrządzał w flaszy jakiś napój. Jeszcze raz obejrzał śpiącego Hetmana i spać się układł. Zaraz usnął. Ni troski, ni dumania żadne nie szły mu niepokoić myśli. Kiedyś, mówią, wiele świata widział, cały wschód jak długi, jak szeroki przewędrował; przyoblekając mniszą sutanę, otrząsł z siebie wszystko co dawne, i teraz nie z serca, ale z powinności swojej ku przesławnej cerkwi, przywiązał się do Jerzego Chmielnickiego i był mu piastunem.

Jerzy Chmielnicki kamieniem nie spał, niemoc zwolniała szału, oczy na pół się otwarły, głowie ciężko się podnieść, a myśli jeszcze ciężej pomyśleć. Wszystko co się wczoraj stało, plątało się po głowie, i sam sobie powtarzał: To sen, to sen; gwałtem chciał się obudzić, podnieść; oko błądzi po komnacie rozjaśnionej blaskiem świecznicy, zdybało i buławę, i buńczuk, i czaple pióro, i mnicha Filareta, i flaszę na stole. O, nie sen to, nie sen. Obudził się, dobrze wszystko przypomina, wszystko widzi, potrząsł głową, i jak dziecko zapłakał.

Bardzo rano Wysoczan jawił się u Heleny i prosił o posłuchanie. Kiedy wyszła córa nieboszczyka Hetmana, tęskna, skłopotana; ale jeszcze i postawą i twarzą taka harda, taka poważna, jak gdyby ona tu była wszemwładną Panią. Wyszoczan obejrzał się na wszystkie strony, i oczy jego były takie pilne, takie ostrożne, jak gdyby podjazd prowadził w obóz nieprzyjacielski, głos ściszył.

— Krasna Pani, jam wierny sługa krwi twojej. —

Oddał kartkę Helenie. Ona zwinęła, czyta, i krasa wywinęła się na jej twarz, i łza zajrzała w oko.

— Mój mąż, mój Daniel!

— Cicho Pani.

— Czemu cicho? — Przelękła się Czarnobrewka i słów i wyrazu lica Wysoczana. Czemu cicho?

— Ten co złego chce, to ma czujne ucho? —

A mój brat?

— Nic nie pomoże.

— Jak to, on Hetman, wszystkim Pan!

— Nie Bohdan to Chmielnicki. —

Czarnobrewka zamilkła. Wysoczan przystąpił bliżej.

— Jak go podstroją, tak on gra, ale i to nie długo.

— Ale to mój brat, on nie pozwoli; ja mu wszystko powiem, zaraz.

— Krasna Pani to go zgubisz.

— Kogo?

— Męża. Cieciura silny, jego nikt nie podstraja. —

Zamyśliła się Helena.

— Pani trzeba zrobić co on chce.

— Ale tu mój brat Panem!

— Panem, albo i nie panem. Widzisz Pani, Czehryńce w Podhorodcu, tak Marcinowi się zachciało.

— Prawda.

Dziwo że prawda. Jak pająk nasnuł, żeby być panem, ale to jeszcze ani siadło, ani padło; temu można dać radę.

— Jakim sposobem?

— Podhorodziec niedaleko, a my tu wszyscy wierni.

— Wysoczanie, a jak się nie uda?

— W tem moja rzecz, udać się musi. —

— Myśl gość miły, musiała przelecieć po głowie Heleny, drobną rączką dotknęła ramienia dzikiego pułkownika.

— Jam gotowa.

— Dobrze, i my gotowi. —

— Odchodząc Wysoczan jeszcze się ozierał wzrokiem ostróżnie, bacznie, ustami szeptał: To mi córa Hetmańska, rodzona krew Bohdanka. —

Stary Naum Znachor długo, długo tego dnia przechadzał się po przekopie zamkowym, i rozmawiał z pułkownikiem Wysoczanem. Dawna to znajomość, powinowactwo Pana ze sługą, zażyłość towarzysza z towarzyszem, i teraz pomocnikiem Prokopa Osadniczego, Cieciury powiernikiem. Wyżej patrzy jak dawniej patrzał, jednak przywyczka ciągnie go do Wysoczana, chleb i sol z sobą jedli, pod jednym dachem sypiali.

— Mój stary, zrób mi to, proszę.

— Ależ bo to?

— Bez tych djablich ale, Panie bracie.

— Ojcze, on i was kiedyś zbezcześcił.

— Prawda, psiadusza. Niech to będzie z nami na pieńku, ale ona córka Bohdanka.

— Ojcze trudna rzecz; ja choć znachor, jak złapią, to się nie wykręcę.

— I któż ciebie nauczył dawać się łapać?

— Pewnie nie ty Ojcze.

— Słuchaj Naumie, my nie tacy ludzie żeby sami w łyka leźli, a kto nas chciał w szory ubrać, to sam się ubrał. Tak to niegdyś bywało a teraz? — przytknął ustami.

— Tak i teraz będzie ojcze. Stary Naum przypomniał sobie dawniejszse ochoty.

— To zrobisz mój stary?

— Zrobię Ojcze. —

Po ramieniu go uderzył Wysoczan. Chwat z ciebie. Inne ramię do ziemi by się przygięło pod tak silną pieszczotą. Naumowi nic, on nawykł do tego.

Został na przekopie, dumał. Stary Pan, dawny towarzysz, ale przesławna cerkiew, ale ród ten psi lacki. — I głowa do szubienicy. Wszystka praca w niwecz, zemknąć, co potem będzie. Stary Pan, a jemu jak się raz zechce to się nie odechce. — Dłonią stukał w czoło. Ha ot wiesz! i wilk będzie syty, i koza cała, i ten nie będzie się gniewał, i tamten podziękuje.

Chodził po przekopach jak gdyby nie miał nic do roboty, potem wiłał się koło zamku jak nocznica, jak ćma, w końcu siadł w kuszezu, lirę podstroił, i gra na lirze.

Bieży, dzień bieży, a noc daleka.
Oj tam Zuzula Orlika czeka;
Oj tam Zuzula Orlika kocha,
Chce ciemnej nocy, nocy choć trocha.

Oj dla niej dzionek smutnie przyświeca,
Noc polubiła jako nocznica;
Jako puhaczka, jak sowa dzika,
W noc pohołubi swego Orlika.

Oj nie płacz, nie smuć Zuzulo moja!
Przyjdzie noc przyjdzie, pociecha twoja;
Będziesz z Orlikiem moja ty łubko,
Będziesz z Orlikiem krasna hołubko.

X.

ZA PÓŹNO.

Podle zamkowej bramy była obszerna izba zwana strażnią. Tam bezustannie ogień gorzał w piecu, i w dwóch kotłach warzyła się strawa: w jednym szarpanina z ryby, w drugim kasza jaglana okraszana słoniną. Na środku niby żydowski świecznik, wisiało gliniane naczynie, dokoła dziurki, a wewnątrz żarzyło się tak, jak w piecu, kiedy się słomą przepala. Po pod ścianami izby kule słomy porozścielane na posłanie, stół przy piecu, na nim dwa koryta; po pod kominem paliło się sute ogniszcze z sosnowego łuczywa, a światło jak niestałego morza fale, to jaśniej, to ciemniej lało się po izbie.

Nie pustką stała ta izba. Na słomie spało kozactwo: ten wąsem mrugał, jakby wabił Tatara: pójdźno tu; tamtem zburmusił się, ot, ot, po moskiewsku Moskala połaje; jeden oczyma łypie, chce je na gwałt otworzyć, bo mu się śni, że bisurman już podniósł atagan, żeby mu je przetrzeć; drugi gwiżdże na braci, jak gdyby upatrzył Perekopczyka w burzanie, na hecę pogwizduje: o tu, tu, tu; tamten chrapie jak najęty, po boju, po biesiadzie w baszowskim haremie się wysypia; a ten wraca z za Dunaju, i wiezie mnogie bogactwa, bo się uśmiecha i na palcach liczy kitajki, atamaszki; niby znaczy: to dla cerkwi, to dla kochanki. Jak kury o prosie, tak Kozacy śnią o wojnie, każdy inaczej, każdemu inaczej twarz gra, na wtór sennej dumie, a każdy tuli się do szabli kochanki. Ślub Kozaka z szablą wieczny, do grobu czy we śnie życia, czy w jawie życia; rozwodu między niemi nie masz, zawsze oni z sobą; cóżby jedno bez drugiego robiło.

Nie sam to śpiący świat w tej izbie. Kucharz chochlą strawę z kotłów w koryta nalewa, a panowie młodce rejestrowi pokłonią się Panu kucharzowi, bo to Starszyzna, rozumny człowiek, karmiciel kozaczy; dobędą drewnianych łyżek z za pasa i jedzą. Chwalą jadło nie słowem, ale łykaniem; ciągną siwuchę na zdrowie panu kucharzowi; póki jedzą, póki piją, to milczą.

Potem dobyli cybuchów, każdy przedmuchnął tak silnie, że gdyby i djabeł tam wlazł, to musiałby precz wylecieć z podmuchem kozaczym. Obstąpili gliniane naczynie, każdy wetknął swój cybuch w dziurkę, pan kucharz szczypcami poprawił żarzący się tytuń i kurzyli.

Dymno w izbie, słowa rozmowy, rwane buchaniem, przez kłęby dymu głucho, przytłumiono brzmiały.

— Czart wie kogo tu słuchać?

— Nie ma Pana.

— Ale są Panowie.

— Pan Cieciura mówi: mnie słuchać, ja tu starszy.

— A stary Wysoczan powiada: ja pierwszy po Hetmanie.

— Ba! i Prokop drze łeb do góry.

— Na licho przyszło. Naum lirnik, znachor prawda, ale nie pułkownik żaden, jak szara gęś się rządzi.

— A młody Hetman co na to?

— Mówią, że dobrze jak szkolarz papla; zobaczymy jak przyjdzie do szabli.

— Szkoda nam naszego Iwana.

— Dziwno że szkoda! Trzysta by jego matkę porwało, że mu przyszła myśl do głowy nas rzucać.

— To prawda, że zsunął się z hluzdu.

— Co ty gadasz djabli synu? Nie z hluzdu on się zsunął, to ten Naum wszystkiego narobił.

— Cóż on mógł narobić?

— Jeszcze się pyta? To z ciebie cymbał! Znachor kum bezpiętego.

— Drzwi się otworzyły, i weszło kilku innych kozaków.

— A toż co? tak prędko was puścili.

— Naum powiedział: Starodubowce hajda na spoczynek. Lubniańce na straż. I przyprowadził Lubniańców; gdzieś w kieszeni ich trzymał, bo na jego głos ze dwudziestu się sypnęło z ziemi.

— Alboż to Lubniańce?

— A ktożby to był inny? poznałem Harasyma i Chomę Owsijowych.

— Ba, ba! to to z ciebie fryc.

— Sto djabłów byś zjadł; w drogę mi włazisz, kiedy nie zaczepiam.

— Ja ciebie nie zaczepiam, ale mówię, że to nie Lubniańce.

— A cóżby to było u djabła?

— Bezpięci. —

Wszyscy Kozacy rzucili kurzenie tytuniu, jedni w ustach mieli cybuchy, drudzy zostawili one w dziurkach, a każdy żegnał się krzyżem świętym. Tu wbiegł ostatni Starodubowiec ze straży, bez czapki, włosy szczeciną zjeżone, a blachman strachu w oczach; wnet go obstąpili w koło.

— Ha w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. — Żegnał siebie i kółko całe.

— Co tobie bracie Krynyczny?

— Mnie? mnie nic: ale tu djabeł się wmięszał.

— Cóż takiego?

— Tylko cyt, słuchajcie. — Obrzucił wzrokiem po izbie. — A wara komu mówić, będzie nam licho. Naum tu gospodaruje, bezpięci zamku strzegą, a my jak durnie jacy dali się w samotrzask złapać. Samem na swoje oczy widział, jak most spuścili, i dwóch ludzi, taki czarnych jak smoła, taki prawdziwych djabłów, wyszło po moście, siedli na konie djabłe, i czmychnęli. O! ja słyszał jak chychotali, a na niebie grzmiało, i z nieba deszcz padał.

— Co tobie jest człowiecze Boży, deszczu ani słychać?

— Słuchajcie. —

— Deszcz bił w szyby okien, na dworze szumi i homoni, błysnęło, zagrzmiało. Z błyskiem, z grzmotem wpadł Naum do chaty. Kozactwo coby się nie zastrachało moskiewskiego pułku, hordy tatarskiej, cofnęło się w tył, za stół. Naum hukuął:

— Wraże syny, cóż to wy jak baby od deszczu się chowacie?

— Kozacy żegnali się krzyżem świętym.

— Ha, psiawiary, czy to tak schodzą ze straży, bez opowiedzi? Nu hajda na straż! a jutro pogadamy. —

Jeden z Kozaków chwat nastawił się.

— Ałboż to nie wy kazali nam iść precz?

— Licho przystąpiło do was?

— Samiście, panie starszy, mówili: Starodubowce do chaty, Lubniańce was zastąpią.

— Popiliście się hunewoty! Nuże żywiej zabierajcie się ztąd.—

Jak nie z pyszna, jeden po drugim wysuwali się z chaty, szli do bramy, na przekopy, a nigdzie nietyłko Lubniańca, ale żadnego Bożego stworzenia nikt nie widział; deszcz padał, a niebo było sierdziste. Każdy chciał od siebie zmarę precz odgonić, i o djable myślał, myślał i o sromie niedopełnionej powinności.

— Licho się jakieś stało. O będzie i nam licho! —

Naum sępny, zły, kucharza sfukał, siwuchę rozlał na ziemię, zaklął w djabła, i jak djabeł z izby.

Wiatr się zerwał od zachodu, pozmiatał chmury z nieba, dzień biały przyszedł, złote słońce weszło, błękitnieją zamiecione obłoki, rosa po zielu po drzewach w drogie kamienie się łamie: ptaki strojne w różnofarbne barwy, czepiają się po gałęziach, rojami lecą w powietrze; ludzie z chat wysypali się jak pszczoły z ulów, jak mrówki snują się po ziemi. W Putywelskim zamku życie się odbiło. Putywlanka biega po sadzie, szuka Czarno-

brewki, a Czarnobrewki nie ma; jak ptaszka kuka, a rozgłos hukania przedrzeźnia. Szuka po komnatach, wszystko na swojem miejscu, tylko Heleny nie masz; nie masz i ubioru łowieckiego czarnobrewki. Do stajni bieży, wrony koń czarnobrewki przegryza siano, przeżuwa owies: obejrzał się na Putywlankę i zarżał. Pani nie ma. Zaskowitały białe charty czarnobrewki, koło Putywalnki się łaszą, do Pani się proszą, a Pani nie ma. U ludzi się pyta: a ludzie nic nie wiedzą, z jakim wiatrem się powiała, z jakim obłokiem poleciała, dokąd i gdzie tego nikt nie wie, a Putywlanka tęskni jak po Pani, płacze jak po siostrze.

Stary Naum stanął przed Cieciurą, oczy w dół spuścił i mówi. Cieciura chmurzy się a chmurzy, ręce w kułak ciśnie i grozi kułakiem, głosem grzmi, gromkie rozkazy daje, ale szabla mu drzemie w pochwie, a Naumowi głowa rusza się na karku. Starodubowce sromni, po psiemu posłuszni, idą za sotnikami, a oczy im się nurzą przed stopy. Ku niebu poderwać głów nie mogą, idą na kaźń, a Cieciura wszedł w zamek, i Naum za nim.

Wysoczan na rynku miasta zebrał Lubniańców, przegląd robi, dzikiemu czołu dodał trochę jaśni, tak jak to zawsze czynił, kiedy swoich chciał udobruchać, do siebie przyhołubić. Lubniańcom w serca otucha zajrzała, i przez oczy wojennem weselem patrzy. Dobra wola pułkowódzcy, to zwiastunka wyprawy jakiejś: na Tatara, czy na Moskala, mniejsza o to, byle była wyprawa, pokarm, napój, kochanie kozaczej dumy.

W zamku, w hetmańskiej komnacie, Jerzy Chmielnicki jeszcze z łoża nie wstał. Blady, tęskny, i modlić się w głos nie śmiał, i głośno mówić nie chciał. Mnich Filaret siedział koło łoża; jak piastunka dziecięciu, tak mu on jakieś rzeczy w ucho prawił.

— Filarecie, to mój szwagier?

— Jerzy Chmielnicki Hetmanem Daniela Wyhowskiego?

— O weźcie sobie to Hetmaństwo! — Dłoniami zakrył oczy i nic nie odpowiadał.

Wszedł Marcin Cieciura, nie ukradkiem, jak to u niego czasami się zdarzało, ale głośno, prędko.

— Ojcze Hetmanie! —

Jerzy milczał.

— Ojcze Hetmanie! —

Mnich Filaret odchylił mu rękę od oczów, łzy tam były.

— Ojcze Hetmanie, twoja siostra Helena w Podhorodeu buntuje Czehryńców.

— Niech tu przyjdzie.

— I zabierze Hetmaństwo, które krwią kupiliśmy dla krwi Chmielnickiego Bohdanka.

— I ona z tejże samej krwi.

— Nie dla tego Wyhowski musiał oddać Hetmaństwo, żeby po nim Wyhowski hetmanił. —

Przez zęby szepnął Chmielnicki.

— On nie musiał. —

Cieciura mrugnął na Czerńca. Znak to umówiony, wnet podał flaszę Hetmanowi; wzdrygnął się Jerzy, od ust odtrącił.

— Nie chcę, nie chcę.

— Synu Bohdanka, grasz ze śmiercią. —

Na bladości twarzy wygiął się dziwny wyraz przestrachu.

— Jak to?

— Jeźli nam Hetmanie nie oddasz głów tych, co po twoją sięgają, to oni po nią sięgną. —

Chmielnicki milczał, ale z poraz drugi podanej flaszy nadpił haust jeden, drugi.

— Zaraz, zaraz Marcinie. Zebrać Starszyznę. —

I godziny nie upłynęło, Jerzy Chmielnicki chodził po sadzie, przed siebie puszczał pjane słowa gniewu, przechwałki, a za sobą z pałaszem ciągnął niemoc Hetmaństwa.

— Ha, stało się, co mi krew dała, tego sobie wydrzeć nie dam. Siostra, szwagier, wszystko w pień. Ja Hetman! ja Ukrainy Pan! To po Ojcu, to moje; dam ja wam wiano. Jak trzeba, potrafię. Sięgnął dłonią to szabli, i niewprawne palce rękojeści nie objęły. Ha, potrafię! — Gwałtem palce zgiął, zaczepił za rękojeść, żelazco z pochwy dźwiga ręka. — Ot tak zmiotę. — Odlewem chciał szablą puścić po wietrze. Wyrwała się rękojeść z ręki, żelazco brzęknęło o drzewo, i leży na ziemi. Brzękiem ocknął się Hetman, stanął, zaląkł się i złamał dłonie w żal, jak dziecko, któremu stłukło się cacko, i z sobą razem stłukło całą rojenia marę. Piastun Czerniec zbliżył się do dziecięcia Hetmana, flaszę miał w ręku, i Jerzy do niej rękę wyciągnął.

— Daj, daj, Filarecie. —

Starszyzna kozacza po odejściu Hetmana jeszcze się z narady nie rozeszła, słowa hetmańskie widno były niespodziewane, twarze kozacze w tęskne zadumanie się przybrały, a usta długiem milczeniem się zwarły; tylko Wysoczan długi wąs matał na palec; tylko Cieciurze zły uśmiech rwał się na usta, a on go na darmo osadzał. Zabrał mowę.

— Panowie bracia! Hetman, nasz Ojciec, smutną powinność dopełnia, ale powinność. Jerzy Chmielnicki będzie płakał śmierci Daniela Wyhowskiego, swego szwagra, i powinowatego Tetery, ale Hetman Ukrainy nam winien skazać ich na śmierć. Mnie poleconem spełnienie jego woli; smutnym dla mnie ten wybór hetmański, ale co on każe, to spełnię, choćby nawet szło o zaniesienie mojej głowy pod miecz. Paweł Tetera i Daniel

Wyhowski pomrą na palu, jako zdrajcy Hetmanowi, zdrajcy Ojczyźnie. Panowie bracia! imieniem hetmańskiem wam czujność nad pułkami polecam; każń musi być jawną przed całem Kozactwem; niech widzi, jak nowy Hetman karze zbrodnię; niech wszyscy patrzą w milczeniu z dobrą wolą, a broń Boże słówka, czynu przeciw Hetmanowi, nasza w tem rzecz. Panowie Starszyzna! imię Wyhowskiego nie zagasło w pamięci Kozactwa, ale imię Chmielnickiego dla nas wszystkiem być powinno. Wszak tak, Panowie bracia? — Obracał się wzrokiem ku każdemu; milczeli i dumali. Jakoś czy uśmiech, czy chęć słowa zjawiła się na twarzy Wysoczana. Ku niemu rzucił słowa Cieciura: — Wszak to ty, bracie Wysoczanie, ty z nas tu najstarszy wiekiem i zasługą.

— Tak Panie bracie! nam Daniel Wyhowski i Paweł Tetera ni bratem, ni swatem, ale wszystkim kozakiem. Kiedy tak Ojciec chce i każe, niech giną, każń na nich. Broniłem ich wczora, póki Hetman słowa nie wyrzekł; zapomniałem nawet własnej obelgi, dziś to co innego. — Z oczów starego przyjaciela Bohdanka szyderczy uśmiech strzelił ku Marcinowi Cieciurce.

Z rady szła Starszyzna kozacza, tęskna w milczeniu. Przy rozchodnem zbliżył się Cieciura do Wysoczana, przyciszonym głosem mu szepnął:

— My hojniejsi od Daniela Wyhowskiego; pamiętasz bracie Wysoczanie w monasterze; on tobie śmiecia w uszy napchał, my mu srebra, czystego srebra nalejemy w uszy. Niech nas zna. —

Uśmiech z przygryzem wargi wyskoczył z ust Wysoczanowi.

— Nalej mu, nalej, a będziesz mądrym.

— O naleję! —

Krzyżanowski szedł z Wysoczanem z zamku.

— Niech mu naleje, zobaczymy.

— Ale z biednym Pawłem co się stanie?

— I jemu włos z głowy nie spadnie.

— A toż jakiem lichem zrobisz?

Spojrzał na słońce. — Jeszcze nie wysoko, ale nim dojdzie tam. — Wskazał palcem. — Będzie nowina z Podhorodca; zobaczemy czy Czerniec jakiś z tym tumanem będą Hetmanem i Kozaczyzną rządzili. —

Cieciura nie trwonił czasu, jednego po drugim pułkownika brał na poszepty, i tak im dobrze, zręcznie nabechtał, że każdy poszedł spełniać jego rozkazy szparko, gromko.

Po nad Putywlańskiem rynkiem kawki przelatują, z dzwonnicy na zamek, a z zamku na dzwonnicę, w powietrze smutnie kawczą, w rynek ciekawie patrzą. Tam cieśle drzewo ciesają, nie na budynek dla ludzi życia, ale na każń śmierci dla ludzi.

Pale ociesują, a nie ochoczo siekierami zbierają. Do koła zaciągają pułki na służbę, Starodubowski, Niżyński, a Lubniańców Wysoczana, Czernihowców Krzyżanowskiego tam nie widno. Tłumno wszędzie, ale nigdzie nie gwarno; drzemią usta Kozacze. Świeci jeszcze słońce, ale chmury od zachodu ciągną, ciągną wolno, a tak nisko, że niby, niby nad ziemą wiszą, i lada chwila spadną. Wiatr zaleniwiał, chmur nie popycha, i ludzkim piersiom otuchy nie dodaje. Duszno, smutno. Niepokój wila się po niebie, a pokoju nie było na ziemi.

Na stepie niedaleko Podhorodca działo się inaczej. Dwóch jezdców sadziło końmi na wyparcie ducha. Czasem popatrzyli sobie w oczy, ale i słowa do siebie nie mówili. U jednego czaple pióro rzuca się przy czapce, a ponad obudwoma sire orły lecą i kraczą. Pogadują rady w ucho, zwyczajnie bracia orły braciom kozakom.

W Podhorodcu na błoniach pasą się Czehryńców konie, a Czehryńce sotniami bez roboty stoją u kołowrota, i dziwią się na świat.

Orły wyprzedziły jezdzców, i Czehryńcom w uszy zakrakały na wrzask, aż strach. Przyskakiwali jeźdzce: jeszcze konie pędem biegły, a już oni krzyczeli: na koń! na koń! Szarpnięto cugle, konie nie stanęły, ale padły bez ducha. Czehryńce podbiegli.

Prawy jeździec błyskawicą się zerwał, końskiego trupa nogą kopnął, piorunem zawołał.

— Na koń! na koń Czehryńce! —

Lewy jeździec podbiegł, gromko huknął.

— Żywo, żwawo! na koń! Waszemu Pułkownikowi lećmy w obronie.

Czehryńce śmignęli do koni, ani jeden nie został. A czarnobrewka spojrzała na Pawła Teterę.

— Zdrada!

— Nie moja! nie moja!

— On nie żyje!

— Bieżmy, jeszcze czas.

— Bieżmy! bieżmy!

— Wysoczan tam.

— On mu wróg!

— Tobie Pani druh.

— Bieżmy! bieżmy!

— Bóg z nami!

— Bieżmy! bieżmy! —

Już Czehryńce zbiegają się na koniach, i przywiedli dwa konie osiodłane swojego Pułkownika. Helena poznała wileza-

tego ulubieńca Daniela, wskoczyła na siodło; za lzą ledwie się przedrzeć mogły wyrazy:

— Za mną! zą mną! —

Z miejsca w cztery podkowy koń uderzył i dmuchnął. Tetera pomknął za nią. Czohryńce wszyscy w czwał, w czwał kopnęli. Ziemia tak jęknęła, jakby się zawaliła w tem miejscu. Orły na końskie trupy padły, i Czehryńcom na odjezdne krakały. Już im nie zdążyć w pościgi za tym szalonym tabunem.

Jak rozjuszona wilczyca w susach wiedzie hurmę wilków na ludzi tak, czarnobrewka prowadzi Czehryńców. Gdzie? to wie: ale po co? te jeszcze sama nie. W prawo, w lewo, świata nie widzi, a myśli u niej szparciej czwałują od końskiego czwału.

Z dalekich stepów sumaki się porwały, i skakały na złamanie szyi gdzie je oczy niosły. Zając z kotliny wyskoczył, i położywszy się po sobie, kocił w step, nie obzierał się co go goni, tak mu straszno. Lis sznurkiem się wykradał, nigdzie nie zaskoczył. Płowe wilki z burzanów się podniosły, telepały się w jarugi, jak płaczki wyły na postrach, na wabie drugim wilkom. Różnego ptastwa stada zrywały się w stepie, i w step leciały. Tak ziemia dudniła i trzęsła się, tak powietrze homonilo jednym, nieprzerwanym grzmotem.

Tylko orły, kruki i wrony niby chmurą niebieską, szybowały nad ziemią nad chmurą jeźdzców, i razem się niosły ku Putywlowi.

Widno, widno Putywel tam, a z Putywla nikt na przeciw nie bieży. Paweł Tetera woła:

— Stańmy, uszykujmy sotnie. —

Czarnobrewka machnęła ręką, i nogami konia ścisnęła. Dalej, dalej pędzą, coraz gęściej szlak znaczą ustałymi końmi, rozpaczającymi jeźdcami, ale na hurmie i znaku tego nie masz.

W Putywlu dzwony jęczą, a przed Putywlem kupy jeźdzców słaniają się w tę i ową stronę. Ku Czehryńcom nie biegną; widno jak pojedynczo jeźdzce do miasta znać dają.

Jeszcze raz Paweł Tetera zawołał:

— Krasna Pani, szykujmy się. —

Helena tak dziko, tak boleśnie spojrzała mu w oczy, że już więcej i słowa nie mówił, a pędzili dalej. W dzwony dzwonią w Putywlu, a brama otwarta, i Kozactwo ze straży rozstępuje się, droga szeroka. Czehryńce walą się w bramę. Wilczaty przodem skacze, ku rynkowi dobiega, a dzwony jęczą. Tam tłum wojennego ludu.

Jak przed murem stanął wilczaty, i słychać było głos Heleny.

— O Boże! —

I widać było jak się zachwiała i zwiała z siodła: Tetera, przedni Czehryńce z koni skaczą, na ratunek biegną. A tam na polu trup Daniela Wyhowskiego. Już nie żyje, a jeszcze i twarzą i oczyma grozi, a spiekła krew sznurem po palu ścieka.

Drudzy Czehryńce tłum rozbijają, w sam rynek biegną, pal wyrwali, i pułkownika swego zerwali z pala, a Zadnieprzańce stali niemi, nieruchomi.

Tu z tłumu jęknął głos:

— Puszczajcie mnie, puszczajcie. —

I jak pływacz fale morskie, tak Helena tłum rozpierała. Idzie, i łzy w oczach nie niesie i nie narzeka, i nie rozpacza, i nie grozi. Przyszła do trupa męża, patrzy, i nie jęknęła, i nie zapłakała. Zdjęła czaple pióro od czapki, i umoczyła we krwi męża, i znowu w czapkę zasunęła. Woła:

— Konia! konia! —

Przywiedziono wilczatego, sama trupa męża na konia kładnie.

Pogląda na zamek, tak jak sokół na ludzi, kiedy mu z gniazda sokolęta powydzierają. Tam z wałów rodziawione paszcze harmat patrzą, z ogniem ludzie koło nich stoją; przed bramą i przed mostem uszykowane pułki do boju. Marcin Cieciura szeregi przebiega. Pogląda, skinęła głową, jak gdyby ją chciała zrzucić z szyi, obróciła się ku swoim, rękę przyłożyła do męża trupa, postała trochę, wstrząsnęła głową, i czaple pióro się wstrzęsło, czarne krople krwi jak paciorki żałoby spadły do kolan. Odjęła rękę, wskazała drogę, nazad.

— Za mną! I tłum się rozstępował, i Czehryńce szli za nią. Wierny Kozak prowadził wilczatego konia. Na nim trup Daniela Wyhowskiego; czterech sotników go utrzymuje. I żona przy nim idzie, ręką za rękę trupa męża trzyma, a nie jęczy głosem, a nie łzawi okiem. Nie woła: zemsta! zemsta! tylko skrawionem piórem potrząsa.

Pieszo szli Czehryńce, z Putywla konie na cuglach wiedli. Konie wędzidłami dzwoniły podzwonne grobowe. Czehryńce miasto pieśni pogrzebowej ciężkie wzdychanie słali. Miasto chorągwi pogrzebowej, Helena skrawionem piórem potrząsa.

I tak wyszli z Putywla, i tak szli szlakiem w step. Orły, kruki i wrony nie leciały za niemi, ale zakrakały na pożałowanie im. I niebo nad Heleną, nad Czehryńcami zapłakało, a nad Putywlem zagrzmiało grzmotem.

Zadnieprzańce stoją i milczą: żal i srom w kamień ich przerzucił. Pułkownikom niedobrze i w sercach i w oczach. Tylko Marcin Cieciura nie zmarniał, ani pod żalem, ani pod sromem. Dziko i dowolnie poglądał, gromko rozkazywał.

Na dziedzińcu zdybał się z Wysoczanem i Krzyżanowskim. Starcowie, przyjaciele nieboszczyka Bohdanka, sarknęli na Cieciurę, czemu ich zdradą w komnacie zamknął, i jak więźniów tak trzymał. On ruszył ramionami.

— Taka była hetmańska wola. — Po chwili dodał: Da-

niel Wyhowski z żoną pojechał. Paweł Tetera z niemi do Czehryna!

Oni pozierali mu w twarz, a jego twarz nic a nic się nie zmieniła, potakiwał głową.

— Pójdźcie! zobaczcie. —

Potem wszedł wprost do Hetmańskiej komnaty. Jerzy Chmielnicki słowem już nie łajał, ale ręce miał złożone na piersiach i dumał, a Czerniec Filaret jak cień chodził za nim. Hetman swego cienia się lękał, krew mu zastygła na widok Cieciury.

— Ojcze Hetmanie, twoja wola spełniona.

— Jak? co?

— Daniel Wyhowski nie żyje.

— Mój szwagier! Kto go zamordował? — Porwał się, i nagle się wstrzymał, o ścianę się oparł. Cieciura stał spokojnie.

— Twój rozkaz, Ojcze Hetmanie. —

Osunął się na kolana.

— Weźcie to Hetmaństwo. Odpuść mnie Boże! O Boże! zlituj się nademną! —

Wił się po ziemi, jak człowiek dżumą rażony; Cieciura i Filaret patrzali na niego, potrząsali głowami.

A w Putywlu przy błyskach i grzmotach widać sponurzałe twarze Kozactwa: słychać chrapawe głosy: — Ha! od czego zaczyna młody Hetman. — Co to będzie dalej? —

XI.

ZEMSTA HELENY.

— Mosanie Vulpiuszu daremna rzecz, to być nie może.

— Panie Wojewodo, takie jest życzenie Króla Jegomości! taka nadzieja kolegów Waszmość Pana, Wojewodów, Kasztelanów, całego grona Senatu. Mąż, który Polsce wrócił Ukrainę, i zgromił jej najpotężniejszgo wroga, czyż powinien zatykać ucho na prawdy wiary? —

Ręce splótł pod piersią, i oczy ku niej nurzył; zwolna palcami przebierał, jak gdyby magnetyzmem serce potrącał, a z jego twarzy wychylał się uśmiech, uśmiech niezgadniony; odbicie-li to chrześciańskiego kochania, tajenie-li to niedobrej woli? —

Jasne czoło Wojewody sposępniało trochę.

— Ja mam wiarę, wiarę moich ojców.

— Ale ona błędna?

— Jam nie teolog, do dysputy nie staję; ale od niej nie odstąpię. O tem już nie mówmy. —

Milczenie padło między obudwóch i chwilę gościło między nimi. Chudensz pierwszy głos podniósł na wygnanie tego przyjaciela pokoju i zgody, tego przyjaciela co rozejm niesie każdej zwadzie. Głos jego był przyciszony, nieśmiały, jak gdyby się skradał i nie chciał od razu spłoszyć milczenia.

— I jakże Panie Wojewodo, zechcesżże nam odmawiać kawałka ziemi nie nie koszztującej gościnności ojcom Jezuitom?

— Ja otwarcie mówię; pókim ja Wojewodą Kijowskim, póty żaden a żaden z ojców Jezuitów nie zamieszka na kijowskiej ziemi. Przeciw nim nie wojuję, ale ich przyjąć nie chcę.

— A jeźli będzie taka wyraźna wola Króla i Senatu?

— To rzucę krzesło senatorskie, i Kijowskie Województwo, a — .

— Panie Wojewodo!

— Pójdę na Zaporoże.—

Cicho tak że ledwie dosłyszeć można było, wypuścił z ust.

— Po co? —

Wojewoda zwyczajnie dawny Hetman Ukrainy, czaple miał ucho, w lot schwycił to słowo.

— Po co? po co? Służyć Polsce, matce nas wszystkich. Służyć Królowi naszemu ojcu. Służyć wierze Chrystusa.

— Panie Wojewodo, Senatorowi Polski, jednemu z najznamienitszych jej mężów wracać do Czerni? —

Schmurzył czoło Wojewoda.

— Do Czerni? Nimem został Wojewodą i Senatorem, wprzódy byłem kozakiem, nim być nie przestałem i nigdy nie przestanę. A ta czerń jak wy ją zowiecie, to zakon, zakon chrześciański, chrześciańskie rycerstwo; oni piersiami zasłaniają Chrystusa słowo; oni krew leją za słowo Chrystusa, a u was to czerń, dzicz, gorsza Bisurmana, gorsza poganina. —

W szablę stuknął Wojewoda, tak go zapał porwał. On wielki mistrz koszowego zakonu, a tu w obec jemu czerni mianem znieważają zakonników Zaporoża. Uczeń mędrek pokorzył się, ku ziemi chylił się całą postawą.

— Panie Wojewodo, myśmy wszyscy bracia w Chrystusie; uderzmy się w piersi, zawołajmy: nasze winy! i idźmy na łono jedynego kościoła. Kościół nas wszystkich przyjmie; to dobra i jedyna nasza matka, —

Pokora ostudziła trochę zapał Wojewody.

— I my i wy stoimy przy kościele Chrystusa.

— Kiedy tak Panie Wojewodo, dla czegoż dzieciom duchowym Chrystusa wzbraniasz mieszkać między wami?

— Po co mamy się dłużej spierać; my nie apostołowie Blahoczestywej wiary, sami ją wyznajemy, bo ją wyznawali nasi ojcowie. Nie niesiemy jej w dalsze kraje Polski, nikogo do niej nie zmuszamy. Między nami dajemy gościnność, opiekę wszystkim zakonom łacińskim. Policzcie ile ich jest, i zapytajcie, czy który na nas narzeka. Unja krzewi się między nami. Zakon Świętego Bazylego wzrasta we wziętość, w potęgę; czyż nie dość na tem Rzymowi? —

— I dla tego to boleśniej, że ojcowie Jezuici jedni tylko są wyłączeni.

— Sami się od tego wyłączyli; chcąc prowadzić czy oni, czy w ich imieniu inni, do kościoła Rzymskiego, chcieli pozbawić nas wolności. I dla tego między kozactwem a niemi sterczą koście naszych ojców i praojców, rozlała się szeroko ich krew; teraz my rąk sobie podać nie możemy, zostańmy tak, może kiedyś będzie inaczej.

— Panie Wojewodo, nie zazierajmy w przeszłość, a na przyszłość baczmy.

— Mizerny to lud, mizerni to ludzie, co w przeszłość swoją lękają się albo nie chcą zajrzeć. O nikt nic na przyszłość nie

zbuduje, jeźli nie będzie stawiał rusztowania na powale przeszłości.

— Kiedy przeszłość taka droga Panu Wojewodzie, zostawmy ją, a przypomnijmy sobie, co każdy dzień mówimy w pacierzu powszednim: I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. —

Wojewoda zamilkł, zadumał się. Mędrek rozgarbił postawę.

— Panie Wojewodo, tak się codzień modlemy, tak i róbmy. —

Jeszcze trochę pomilczał Wojewoda, podniósł czoło.

— Nie, nie, to być nie może. —

Już mędrek otwierał usta, kiedy wszedł Lasko Rotmistrz Chorągwi Wojewody Kijowskiego. Pokłonił się i oddał mu do rąk zapieczętowane papiery.

— Od Pana Hetmana Ukrainy, z Putywla pilno goniec przybieżał.

Wojewoda rozerwał pieczęć, czyta po papierze, a mędrek w jego twarzy czyta. Poczerwieniał, na czole zmarszczki do zmarszczek się garną, brwi chylą się ku rzęsom, usta zadrgały, i nagle pobladł. W ręku zaszeleścial papier, o mało nie wypadł, łza padła, ale końca doczytał, i mędrek do ostatniej litery wyczytywał, co się działo na jego twarzy.

— Panie Wojewodo przepraszam, i jakąż odwiozę odpowiedź? —

Ciężko Wojewodzie na mowę, dłonią pociągnął po twarzy, ale smutku nie zegnał.

— Powiedziałem, ja na to nigdy nie zezwolę. Niech Król Jegomość wyraźnie każe i mianuje Wojewodę na mojem miejscu.

— Niech to nie będzie ostatnie twoje słowo Panie Wojewodo; czas jest do namysłu. Przy pożegnaniu modlić się będę do Boga, aby on w swojej łasce zesłał ducha na ciebie i nie opuszczał cię ze swojej opieki.

— Dziękuję i żegnam, to moje ostatnie słowo. —

Mędrek jeszcze raz z pod oka spojrzał po Hetmanie; a taką pokorę przybrał, że małym i cichym zrobił się przy wychodnem.

Wojewoda rzucił pismo na stół, przeszedł parę kroków, i ręką chwycił się za czoło. Stanął, nie dano mu tak być długo. wszedł stary przyjaciel.

— Neczaju, nie mam brata, nie masz szwagra; czytaj. —

Neczaj czytał.

— To nieprawda! to być nie może! Wraże syny! Iwanie ty nasz ojciec, tamten błazen, rózgi psia wiarze, a tym hunewotom szubienica! —

Starzec trząsł się ze złości, wciąż ręką w szablę stukał:

szabli pytał, czy odpowie chęci, a szabla brzęczała silnie, głośno.

— Ojcze nasz, jak u Boga proszę chleba powszedniego, tak u ciebie proszę: chodźmy na tych hunewotów, na tych psiawiarów, na tych psich synów. Bogdaj didko zaprowadził ich na przepadłe imię. Słowo Panie Hetmanie, bo ty nasz Hetman, a stanę przed mój pułk; zobaczysz, że tych djabłów jak baranki poprowadzę. —

Stuknął nogą, o ledwie dylów podłogi nie wybił, a tak się podniósł jak gdyby chciał sufit głową strychować.

Wojewoda potrząsł głową, łzy miał w oczach, a dłonią przycisnął serce.

— Neczaju, on Hetman Ukrainy, on miał prawo i powinność.

— To wszystko łgarstwo, psiawiarów robota.

— Smutno pomyśleć, ale ona! —

Neczajowi jeszcze gniew podrumkał na wargach, ale głosem niżej spuścił.

— To prawda że ona! Ale Daniel?

— Kochał żonę.

— Cóż z tego! i ja moją kocham, a jednak w spódnicy nie chodzę.

— Neczaju u nas serca już statkują, a u niego hulało jeszcze.

— Prawda i to Iwanie.

— Prawda i wielka prawda. —

Zasumowali obadwa, i wstyd powiedzieć, z kozaczych oczu łzy padały na szable.

— Trzysta djabłów! szkoda Daniela.

— Ja go jak własnego syna wychowałem.

— Oj to był młodziec jakich mało teraz na Ukrainie.

— Czysta dusza, szczere serce.

— On tatarskiego tropu w posuchę, w twardym stepie nie prześlepił.

— Jak ojca mnie kochał i szanował.

— Jak jastrząb, dziko, szparko, wodził swój pułk do boju.

— To była moja pociecha.

— Szablą świstał, wraże łby zmiatał, aż lubo było patrzeć.

— To była moja nadzieja.

— Na koniu siedział, jakby do niego przyrośnięty, jakby razem z koniem się urodził.

— W nim była nadzieja Ukrainy. —

Głos się tłumił, dźwiękowi coś zawadzało; mówili jak gdyby czytali modlitwę pogrzebową nad śmiertelnemi zwłokami syna, i zamilkli. I znowu Neczaj pochwycił ale donośniej.

— Ha! to prawda, gdzie djabeł nie może, to tam poszle kobietę!

— Neczaju i ona nieszczęśliwa.

— Sama piwa nawarzyła, a my z nią pić musimy. —

Wojewoda nic nie odpowiadał, a Neczaj się sierdził.

— Pamiętam taka kiedyś była potulna. To prawda że cicha woda brzegi rwie. Ktoby to był powiedział? — ale i to prawda: wszystkie dziewczęta dobre, a skąd się biorą złe niewiasty. No, biedny szwagier! Szkoda Daniela!

— Szkoda, szkoda. — Jak rozgłos wysiłkiem łamiący bezdnią milczenia, smutnie Wojewoda powtórzył.

— No i cóż poczniemy teraz Iwanie, trzysta djabłów, tak zostawić nie można. —

Zaniemiał kamieniem Wojewoda.

— To twój brat, drogi syn, mój szwagier i druh, a my? — Zawisł w mowie, i patrzał w oczy Wojewodzie, jak siwy sokół patrzy w oczy orłowi, kiedy tam pod skałą wilk rwie trupa ptaka z ich rodu.

— A my dzieci Ukrainy?

— U licha, i on był dziecięciem Ukrainy? Mospanie, krew za krew, gardło za gardło.

— Neczaju, to na krew ojczyzny, to na gardło ojczyzny byśmy godziłi. —

— Zadumał się chwilę stary Neczaj.

— To tak wszystko pójdzie mu bezkarnie?

— Komu?

— A komuż jak nie Juryszce?

— On Hetmanem nam wszystkim, ojcem i panem.

— A też psiawiary? ten hycel Ciecimra. Czy i jemu płazem wszystko to się puści? Niech mnie djabeł porwie, jeżeli tu jest na tym świecie sprawiedliwość!

— Oni spełnili rozkaz Hetmański.

— A on?

— Swoją powinność. —

Na Wojewodę naburmusił się Neczaj, obrócił się i odszedł, a przez zęby przepuszczał djable imię, setkami, tysiącami.

Wojewodzie łzy padały na stół, na papier złowieszczy, a kiedy żona przyszła z dwojgiem malutkich dziatek, łez z oczu nie ocierał, ze łzami mówił.

— Żona moja, nie masz brata, dziatki moje nie macie stryja, nie macie opiekuna, któryby mnie zastąpił, któryby był dla was drugim mną. —

Wojewodzina jęknęła jak gołębica w smutku; dziatki pisnęły płaczem za stryjem, a Wojewodzie jeszcze smutniej, jeszcze boleśniej się zrobiło.

Putywelski goniec jak ptaszkę długą trzymaną w klatce, złą wieść puścił na Kijów, a ona rady sobie dać nie mogła, łatała po wszem mieście. Nikt nie kazał, a już lud wojenny ostrzy

szable, spisy opatruje, łapie konie z pastwisk, przybory rychtuje, a wciąż patrzy na Wojewódzki zamek; jak myśliwiec zarannej gwiazdy, tak on stamtąd wygląda jutrzni boju.

Niewiasty, starce, gruchają jak grzywacze przed burzą; na lud dorosły patrzą jak skrzętny gospodarz na kłosiste łany, kiedy już kroplisty a rzadki deszcz padać poczynie, i na niebie sine chmury zaburczą gradem. Jeszcze piękne, jeszcze hojne kłosiste niwy, ale co to będzie po gradobiciu; jak ojciec dzieci chciałby je sobą okryć, i cieszy się nimi, i stracha się za nimi; patrzy na niebo czy wiatr chmur nie poprzegania i słońce nie zaświeci; tak Kijowianki i Kijowianie starce pogląda na zamek wojewódzki, czy ztamtąd słowa trwogi nie rozniecie i pokoju nie zaburzy.

Mędrek Kijowa nie odpuścił, nikt go tam nie widział, ale on o wszystkiem wiedział.

Kilka dni upłynęło, a Wojewoda nic nie rzekł.

Był dzień Ś. Jerzego, rotmistrza pancernych, husarzy i wszystkich konnych znaków niebieskiego wojska. Dzielny to namiestnik Archanioła Michała, uroczyście też jego święto obchodzą w Starym Kijowie. Kozacy powiadają: święty Jerzy musi być Lach, bo ze wszystkich koni najlepiej pokochał białego konia, a u Lachów kto nie ma siwego, ten nie ma dobrego. Że Lach, to nasz Archanioł opiekun kozaczy, dla tego go tak obok siebie postawił. W ten dzień wszyscy młodzice idą się modlić do świętego Jerzego, ażeby im dał konia dobrego, tylko nie białego, ale wronego. Ten dzień i dla chłopaczków wszystkich ciekawy, bo jak się w ciągu roku zaczną napierać: tatu konia, mamo konia; to i ojciec i matka mówią: poczekaj, dam na święty Jerzy jak rak świstnie. I chłopaczki dnia świętego Jerzego wyglądają, rakowego świstu słuchają.

A do tego dzień to jeszcze świetny Hetmańskiego imienia.

Po cerkwiach modły i lud się modlił; ale dzień schodził bez prażnika; ledwie nie wszystkich usta mówiły: Ot! od czego Chmielniczuk zaczął, co to będzie dalej. A wszyscy patrzyli na Jana Wyhowskiego. Wojewoda był w cerkwi, kiedy metropolita w głos odprawiał modlitwę za zdrowie i szczęście nowego Hetmana, i sam się modlił. Przejeżdżał się po mieście w kozaczym stroju, ale czaplego pióra nie miał przy czapce. Ludzie zatęsknili na to i porozchodzili się do domu.

W wieczór już po szarej godzinie, tak i dobrze późno w noc,

chłopaki pobiegli nad Dniepr słuchać jak rak świśnie. Dniepr niemała rzeczka, kamykiem jej nie przerzucić, ani kulą z rusznicy nie przestrzelić. Kiedy na jednym brzegu orzeł zakracze, to na drugim ledwo czaple ucho krakania dosłyszy. A kiedy przyjdzie białozorowi Dniepr przebywać, to się dobrze zadycha. Kaczka kaczki nie słyszy, nurek z nurkiem się nie zobaczy, jaskółki lewego brzegu nie znają się z jaskółkami brzegu prawego, taka to wielka rzeka!

Chłopaki w kupki się gromadzą, a patrzą, a słuchają, a strach im, bo na niebie czarno, księżyca i gwiazd nie widno; a taka cisza, że krom gadania wodnego ptastwa i poszmeru drzemiącego Dniepru, nic nie słychać, rak nie świszcze; jego świst wedle starych ludzi, ma być dziwny, inakszy od świstu ptaszego. Słuchają, patrzą.

— Gwiazdy, gwiazdy!

— Gdzie?

— Tam przy końcu nieba, patrz!

— Ha, ha! wszystkie chłopaki zakrzyczały, strach ich odbiegł.

— To nie gwiazdy.

— Cóż takiego?

— Księżyc się rozsypał.

— Prawda, prawda.

— A jakie ładne kawałki?

— A jakie jasne? —

Jeden z chłopaków zapłakał.

— To już księżyca nie będzie.

— Durny ty! wszystkie kawałki na księżycu porosną.

— I będziemy mieli tyle księżyców co gwiazd?

— Chwała Bogu, będzie dzień zawsze.

— Durni wy, a jak Tatara bez nocy podejść.

— Prawda, prawda. —

Zadumali się chłopaki. A tam za Dnieprem stado gwiazd padło, świecą, na Dniepr złotym ogniem patrzą. W górę na niebo nie chce się im posuwać, a boją się skoczyć w Dniepr.

Stoją, patrzą, cisza do koła, i znowu jeden zawołał.

— Słuchajcie, słuchajcie!

— Co to jest? Co to jest? —

Uszyma tulą się do powietrza, ku Dnieprowi. Klasnął w dłonie jeden, drugi.

— Rak świszcze! —

Rak świszcze? Powtórzyła gromadka.

— Do tata. Do mamy, po konia. —

Jak tabun owiec zatupotali nad Dnieprem i ponieśli się w miasto.

— Niebawem wracali się ze staremi ludźmi, z młodzcami, a

nawet mołodyca i dziewczyna niejedna ciekawsza, za niemi przybiegła. Stado gwiazd za Dnieprem siedzi, i jasnym ogniem świeci, a jakiś pogłos dziwny, inakszy jak ptasi po Dnieprze się niesie. Chłopaki palcami wskazują, opowiadają długie dziwy: o księżycu jak się rozsypywał w kawałki, o rakach jak poczęły świstać. Jedni mówią: na Boga prawda; drudzy pomrukują, łgą jak psy, inaczej to było. A wszyscy się godzą. To cud Świętego Jerzego, raki świszczą, dawajcie nam konie.

Starzy ludzie w głowy potrącają. Nie gwiazdy to błyszczą, nie raki to świszczą.

Ale już nie sami tylko ciekawi stanęli nad Dnieprem. Słychać pobrzęk wojennych ludzi. I Wojewoda też jest tam; dał rozkazy, mkną czółna od brzegu, a mołodzce na nich, potonęli w ciemni, i pluskanie wioseł zagłuchło w Dnieprowym poszemrze.

I coraz jaśniej te gwiazdy błyszczą, i coraz wyraźniej pogłosy do ucha dolatują, nie bisurmański to izan, ani tatarskie zaklęcie, ale Ukraińska mowa.

Idzie konik smutny, jeźdźca na nim nie ma,
Powlacza nogami, nie strzyże uszyma:
Oj sroma się sroma, w dom nie wiezie pana;
Gdzieś go ty zostawił? w Jasyrze-li hana?
Czy w chacie mogile odpoczywa sobie;
Czy z orłami wzleciał, aby nie gnić w grobie?

Jako czarne kruki, schmurnieli mołodzcy,
Cały pułk spochmurniał; nie ma pułkowodzcy,
Gdzieżeście podzieli swego pułkownika?
Czy go wam zakłuła moskwicińska pika?
Czy tatar szablicą zrąbał łeb do ziemi,
Czy bisurman stratował kopyty końskiemi?

Żona jak zuzula tęsknic męża woła,
Jak zuzula patrzy, daleko, dokoła;
Gdzieś męża podziała? Czyś zgubiła w świecie,
A może posłała po jakie to kwiecie;
Po sprawunek jaki, dla siebie hołubki,
Dla swej czarnobrewki, świegotuszki, lubki,

Wierny konik milczy, pułk cały zaniemiał,
Żona cicho płacze, nikt nikt głosu nie miał.
W Kijowie przemówią wszyscy, wszyscy razem
Przed Bogarodzicy przeczystym obrazem,
Przed serdecznym Ojcem, przed dawnym Hetmanem,
Przed dawnym Hetmanem, Ukrainy Panem. —

Mołodzce przynieśli Wojewodzie co usłyszeli. Wojewoda rzekł:

Niech bajdaki tam będą o świcie. —

Głos jego nie taki był dźwięczny jak zazwyczaj, ale nikt jego twarzy dojrzeć nie mógł, bo zaraz odjechał.

Świtać poczęło, i jaśnia rozrzuciła się po niebie: słońce wysunęło się z za ziemi, ludziom zdawało się, że w Dnieprze się kąpie. Zasmucone chłopaki jeszcze raz krzyknęli:

— Ha, ha, gwiazdy w księżyc się zrosły. —

A tam od słońca płyną bajdaki, zdaje się niby słońce je rzuciło na Dniepr. Czarne chorągwie nad nimi wieją; i już widać jak prują siną wodę. Płyną, do brzegu przyparły. Lud w półkole się rozwinął, a oczy zarzucił na bajdaki. Wychodzi niewiasta piękna, blada, cała w czerń przybrana; kłoni się przed ludem, i sobolowy kołpak z głowy zdjęła, a koło niego szeleści pióro jak kiście sosnowe. Lud okrzykami wita młodszą córę Bohdana Chmielnickiego, a ona mu drżącą ręką wskazuje na trumnę z ciałem nieboszczyka męża. Przed ludem nie jęczy, nie płacze, wszystek żal w sobie spożyła, ale przeraźliwie jak kania woła:

— Sprawiedliwości! sprawiedliwości! —

Lud do nieba wzniósł oczy, a rękoma wskazywał na zamek.

— Do ojca Hetmana! do Wojewody! do Wojewody! —

Szła czarnobrewka koło trumny męża, szedł wilczaty koń za trumną, ale nie niósł kozak jasnego miecza, ale nie niósł kozak długiej spisy, i kitajka nie kraśniała na trumnie. Ciało niesiono bez zasługi kozaczej, bez uczciwości wojskowej. Szli Czehryńce, na cuglach wiedli konie; jakby z tamtego świata upiory, tak im nie wesoło z oczów patrzy. Gdyby nie brzęk szabel, gdyby nie podzwonne wędzideł, jak upiory szliby milczkiem.

Bratowa, siostrzenica, przyboczni dawnego Hetmana, dziś Wojewodzie niosą podarek z za Dniepru.

Wojewoda już wie o wszystkiem; na przeciw nie wyszedł, stał we wchodowej komnacie; splótł ręce pod piersi i serce dobrze przycisnął. Żona, dzieci, Stefanida, zostały w dalszych komnatach, Wojewoda tak okiem kazał. Bracia, współurzędnicy, służba wyszli na dziedziniec, Wojewoda tak okiem kazał. Sam jeden Neczaj z nim w komnacie pozostał.

Pozierali na siebie. Dziwna to była rozmowa oczyma tych dwóch towarzyszy, co długie lata chodzili z sobą i w parze i w sporze, po hulaszczych szlakach kozaczego życia; a teraz radzą się czy znowu to życie zacząć, czy rzucić go do djabła raz na zawsze i zapłakać. Żaden nie zdobył się na słowo, ale obu-

dwom szable brzękły: one do nich zagadały, i już, już iskra kozacza rozniecała się w oczach, kiedy spojrzeli po ścianach.

Tam do koła wizerunki Hetmanów kozaczych. Groźne ich twarze, groźniejsze jak szablice, jak buławy. Postawy ich zapanoszałe, bogatsze jak złoto, srebro i drogie kamienie, które po nich poczepiano. Im dalsi praojcowstwem, tem więcej chluby w nich widno, chlubniejsi być musieli i z siebie i z kozactwa. Im niżsi następstwem, tem więcej dzikości mięszało się do chluby. Zamąciła się ta chluba prawego serca, i kał osobistych sztuczek zamąciły niepokalaną dziewiczość kozaczej sławy. Na rozgraniczu tego przechodu stał Piotr Konaszewicz Sahajdaczny; stał, i nad wszystkich praojców i praszczurów najjaśniej jemu błyszczała i prawość i sława.

Ku niemu Wojewoda poglądał, i u niego radby rady prosił. Niby dziw jaki, Sahajdacznego twarz odbiła przeszłości czynem i nim mówi. Mówi, jak po wyprawach moskiewskich z Królem Władysławem, kiedy mu Metropolita Teofan wyrzucał, że z Lachami różnowiercami chodził mordować jednowiereów Moskalów, i groził wzburzeniem przeciw niemu Kozactwa; Sahajdaczny rzekł: Polska nam matką, Lachowie bracią, Moskal wrogiem; wojny domowej nie chcę. Weźcie buńczuk, buławę i czaple pióro, a naród Kozaczy niech w zgodzie żyje. Póki pokój, Czerncem zostanę, pokutować za siebie, a modlić się za was będę; a jak Narod, Król i Rzeczpospolita zawoła, z różańcem i szablą z wami pójdę, was powiodę.

Zdało się Wojewodzie, że na nowo Sahajdaczny te słowa mówi: skinął głową, tak — i czekał, i już mu spokojniej było.

Neczaj w szablę stukał, i szablę kochankę głaskał; ale oczyma czekał słowa z oka Wojewody.

Na rozcieszy drzwi się rozleciały, i weszła Helena. Chyli się przed Wojewodą.

— Opiekunie mój! ojeze! daruj, daruj. —

Wojewoda jak córkę ją objął.

— Heleno! Heleno! —

Parę łez jego padło na twarz czarnobrewki, i czarnobrewce łzy się puściły, po raz pierwszy od Putywla; ale pióro od kolpaka trąciło o rękę Wojewody, i zaszerkotało. Wyrwała się z ojcowskiego objęcia, powiekę ścisnęła i łzy zahamowała.

— Ojeze, nasz Hetmanie, nasz Panie, to krew twoja, twojego brata, przybranego syna, wychowańca, dziecięcia Ukrainy, twoja, twoja krew. To pióro, pamiętasz Hetmanie! Bóg mi dał, weź go, ja ci go daję. Córka Bohdana, jego imieniem ci go daje; weź go na zawsze, dla siebie i dla swoich, na wieczne czasy. Weź, ale obmyj we krwi tych, co twoją krew przelali. O, inaczej się nie obmyje! —

Przyklękła, okruszała krew z pióra.
— Patrz, nie obmywa się, nie złazi. Krwi, krwi trzeba.
— Heleno, Heleno, moja córko! —
I podnosił ją Wojewoda z klęczek.
Stary Neczaj w szablę stuknął.
— Krwi, krwi trzeba. —
Czehryńce na dziedzińcu jak psiarnia zawyli.
— Krwi! krwi Juryszki! —
Wojewoda okiem rzucił na Neczaja, a on kroku nie ustąpił.
Gromko huknął.
— Jerzy Chmielnicki nam Hetman i Pan. —
Umilkli Czehryńce i pochmurnieli na nowo. Helena stanęła dzika, niepojęta. Błyska okiem jak w nocy wilczyca, a jak martwa bledniе na twarzy.
— Ty nie chcesz pomścić krwi swojej, brata, kozaka; a jam tu szła jak do Ojca po pomstę, po sprawiedliwość. Mogłam się mścić sama; krew by się była lała, a ju ufałam tobie jak samemu Bogu. — Złożyła ręce jak do modłów. — Ojcze Hetmanie, mów, nie chceszże mi dać sprawiedliwości? Nie chceszże twojej krwi się pomścić? —
Wojewody oczy z Heleny poniosły się na wizerunek Konaszewicza.
— Heleno, mścić się nie chcę.
— Czemu? czemu?
— To nasz Hetman, to nasza Ojczyzna. Heleno to twój brat.
— Mój brat, zabójca mojego męża? — Zacisnęła usta, i zaśmiała się boleścią. — Panie Wojewodo Kijowski, tyś już nie ojciec Kozaczyzny.
— Alem Kozak.
— Kozak, Kozak, a krwi kozaczej pomścić się nie chcesz?
— Heleno, bratowo moja, ja krwi kozaczej przelewać nie chcę. —
Wziął ją za rękę.
— Puść mnie, puść mnie; tyś mi nie szwagier, nie opiekun, nie Hetman, nie, nie. — Wyrwała rękę, i wybiegła na dziedziniec. — Tam moje wszystko. —
Wojewoda szedł za nią.
Ona już na dziedzińcu, w kołpaku na głowie, czaplem piórem szerkocze. Paweł Tetera obok niej, a do koła niej Czehryńce. Sama własną ręką wieko trumny odchyliła; patrzy na trupa męża.
— Czehryńce patrzcie! to trup waszego Pułkownika, męża córki Bohdana. Bohdan jak dzieci własne was kochał; mój mąż na boje was wodził, i wyż się nie pomścicie waszego Pułkownika? mnie wdowy sieroty na tym świecie? —
Klękła przy trumnie, głowę przechyliła nad trupa męża, łzami zeschłą krew myła! słowami męża chciała ze śmierci ocucić.

— Pomścimy się! pomścimy! — Tetera woła.

Czehryńce szabel dobyli, ale Wojewoda dał rozkazy i Czehryńce szli z dziedzińca chmurni, niemi jak przyszli, tylko po kamieniach pochwy dźwięczały; tylko wędzidła dzwoniły. Siostra, bratowa, wzięły w ramiona czarnobrewkę, od trumny oderwały, niosły w komnaty, a ona milczała jak bez życia.

W starym Kijowie, kapłani Boży w żałobę przybrani, pogrzebową służbę prawią, i pogrzebowe hymny pieją, a z dzwonnic setne dzwony żałobnie zajęczały, i pojęk niesie się na daleko; po lasach jęczy, jęczy po stepach, i na starym Dnieprze jęczy.

XII.

CZARY.

Cztery dni później, rankiem ledwie jaskółka z pod dachu wyleciała, zaśpiewać na dobry dzień dobrym ludziom za komorne, jakiś mołodec szedł koło cerkwi Święto-Michalskiej. Ze Starszyzny być musi, bo bogato na nim, a pilno mu i tajemnie, bo sam jeden bez służby idzie, prędko kroczy, a wzrokiem w strony strzela. Widno, widno, że to sokół, spuścił się z obłoków, i skacząc po ziemi, kruka udaje. Zatrzymał się trochę, popatrzył na dom lichego pozoru, mruknął.

— Dziś zemsty, a jutro znowu po dawnemu zaśpiewa. Innego sposobu nie ma. —

Machnął ręką i wszedł do tego domu.

W malutkiej izdebce siedział człowiek suchy, wywiędły. Przed nim rozwarta książka, ale on w niej nie czytał, przypatrywał się dwom kotom. Czy igrały z sobą, czy się swarzyły, tego trudno odgadnąć, to tylko pewna, że ani igrały, ani swarzyły się szczerze, otwarcie; za co chcieć, to można było brać tę ich zabawę. Chudy człowiek uśmiechał się, ale to jak gdyby gwałtem ten uśmiech na twarz wyciągał, i to jeszcze przed sobą samym chciał go ukraść.

— Tak i ludzie powinni robić. Kto najmniej odgadniony, kto wszystkim tak się wydaje jak oni chcą, ten wiele może. —

Za usłyszeniem ludzkich kroków, koty pochowały się pod piec, a chudy człowiek czytał w książce.

Wszedł młodzieniec ze Starszyzny, chudy człowiek podniósł się; chwilkę postali

— Czy od Pana Wojewody? —

— Nie, od siebie samego. —

— Proszę Waszmość Pana siadać. —

— Dziękuję. Ojciec mnie nie poznał? —

— Poznałem, dobrze sobie przypominam. Czem mogę usłużyć Waszmość Panu? —

— Mnie nic, ja nic nie potrzebuję, ale Ukraina, Ojczyzna moja. —

— Bóg się nad nią zmiłuje. —

— Ale my jej dzieci, powinniśmy —

— Cierpieć i pokutować, a Bóg się zmiłuje. —

— Ależ Ojcze, cierpieniem i pokutą samą nic nie zrobimy. Moskwa nam na karki wsiada: już z dzisiejszym Hetmanem zaczęła przechowory. Za syna będzie to, co było za Ojca. —

— Niech go Bóg oświeci i od złego odwróci. — Westchnął chudy człowiek, ręce złożył dłońiami, i poszeptał jak gdyby pacierz odmawiał.

— Ojcze, Pan Wojewoda Kijowski jeden mógłby Ukrainę ocalić, a Polskę od niebezpieczeństwa ochronić. —

— Niech mu Pan Bóg do tego pomoże. —

— Ale on nie chce; lęka się wojny domowej. —

— Najwyższy niech raczy od nas wszystkich ją odwracać. —

— Bez tego jednak obejść się nie może My chcemy zostać wiernymi naszej matce Polsce i Królowi Jegomości. —

— I Król i Rzeczpospolita tego się po Ukrainie spodziewają.

— Przeciw Moskwie i tym co utrzymują z Moskwą, będziemy walczyli do upadłego. —

— Bóg słuszną sprawę pobłogosławi. —

— Póki Jerzy Chmielnicki Hetmanem, póty nie będziemy mogli zrobić nic dobrego. Zabójca szwagra, przyjazny Moskwie, nie doprowadzi nas do niczego dobrego. —

— Później czy prędzej, każdy występek odbierze karę, a każda cnota nagrodę. —

— To pewna, ale tu dziś trzeba zaradzić złemu, trzeba żeby Król Jegomość odebrał Hetmaństwo Jerzemu Chmielnickiemu, a dał je komu innemu w interesie Polsce, godnemu tej łaski. —

— Jego w tem będzie wola. —

— Ojcze, ja więcej powiem: szczerze wyłożę moją myśl. Koniecznie trzeba Unję poprzeć. Łacińskie klasztory na Ukrainie poustanawiać, inaczej wpływu Moskwy się nie pozbędziemy, ona na czele błahoczestliwej cerkwi. Trzeba, trzeba, trzeba to zrobić. —

— Daj Boże! — I nie było widać z twarzy co się działo w duszy mędrka; darmo kozak po niej śledził. Prędzej, prędzejby wyśledził w najciemniejszą noc po tropie Tatara, jak myśl tego człowieka tajemnicy. —

— Żeby to spełnić, trzeba innego Hetmana. —

— Niech Bóg w tem Ukrainie dopomoże. —

— Ojcze, ty dopomódz nam możesz, Królowi i Senatowi przedstawiając. —

— Kogo? —

Młodzec zaciął się na chwilkę, ale niedługo szukał, podniósł głowę.

— Wojewoda nie zechce. Neczaj za stary: ale tyle jest pułkowników na Ukrainie i Atamanów kurennych na Siczy, znanych i z waleczności i z wierności.

— Ale Ukraina przywiązana do krwi Chmielnickiego? —

— To stary Neczaj — spuścił w dół oczy młodzec.

— Waszmość Pan sam powiadasz, że za stary, szkoda; druga córka Chmielnickiego teraz wdową. —

— Ale — to — Zająknął się trochę. —

— Bóg ja natchnął dobrym wyborem. —

Młodzieniec myślał, mędrek podniósł oczy, i przejrzał myśl kozaczą. Uśmiechnął się.

— Pomyślemy o tem — Jeszcze pogadamy. —

Czarnobrewka płacze a płacze, od ludzi ucieka. Wojewoda i Wojewodzina jej niemili, bo niosą rady i pożałowanie, a nic więcej. Siostrę z pociechą precz odsyła. I na starego Neczaja się krzywi, on choć się odgraża, prawdą w oczy kole czarnobrewce. Ze sługami ani słówka nie mówi. Z jednym Konstantynem Wyhowskim, bratem rodzonym nieboszczyka męża, z drugim Pawłem Teterą czasem porozmawia trochę.

Konstanty Wyhowski przybiegł natychmiast do bratowej; on nie śmiał nic robić wbrew Wojewody woli, ale zaprzysiągł pomstę zabójcom brata, zaprzysiągł na miłość braterską, na żal cierpiącej bratowej.

Czarnobrewa czasami taka tęskna jak ukraińska ziemia, co wciąż tęskni za swojemi dziećmi. Czasami w rozpaczy zemsty taka widna jak mogiła, co przed okiem ludzkiem się nie kryje: a zawsze taka urocza, taka cudna jak Ukraina.

I Konstanty i Paweł dla niej gotowi byli na wszystko, na wszystko, krom obrazy Wojewody.

Jeden mówił:

— Bratowa moja, krasawico, nie płacz tak, to nie pomoże. — I krzywej szabli ręką dotykał. — Przysięgam, jak pamięć brata mi miła, jakeś ty mi droga, kto winien, ten zapłaci. Krew za krew, głowa za głowę. —

W oczy patrzał Helenie, i oczy jego więcej mówiły jak słowa.

Drugi powiadał:

— Krasna Heleno, cierpliwości trochę, pomścimy się pomścimy; ty wiesz Pani moją przysięgę. —

Lice mu kraśniało, a oczu od niej oderwać nie mógł, nie mógł, nie chciał.

Ona obudwom na odpowiedź brała czaple pióro.

— Póki krwi krwią nie obmyję, póty, póty będę płakała. —

Chciała twarzą, oczyma zemstę odbić, ale już przeszły te pierwsze chwile; płakała, tuliła oczy w dłonie, i wtenczas ładniejszą była, stokroć ładniejszą jak zawsze. Obadwa młodzce

na nią poglądali; poglądali na siebie, i każdy z osobna powtarzał: Ja się zemszczę za brata. Ja się zemszczę za wuja; i każdy dodawał: dla Heleny. A obadwa razem nie rzekli: Razem, razem się pomścimy.

Jednego wieczora Helenie tak smutno się zrobiło o szarej godzinie, samej jednej; o tej godzinie zawsze mąż przychodził, a kiedy go nie było, o nim myślała; o tejże samej godzinie, i w tymże samym zamku, i w tejże samej komnacie. Położyła się do łóżka, i od łez się zalewała. Weszła stara piastunka Chwedora.

— Ołenko, moja Ołenko, co tobie takiego? —

A Helena łkaniem łez odpowiada.

Piastunka się zafrasowała, i tak się modliła:

— Boże! Boże! zmiłuj się nad moją Ołenką. Biada, to nam biada wdowieństwo, na tym świecie zostać bez człowieka; ni kogo się poradzić, ni z kim pogadać, ni w obronie nam nikt nie stanie, ni polaje jak swoją, ni popieści jak swoją. Oj! ty teraz biedna, moje dziecko! Daniel był ci ojcem, matką, wszystkiem, a teraz ty sama jedna na tym świecie, jak ja stara. Boże! Boże! nie zostawiaj ją w tem sieroctwie. —

Przeżegnała się krzyżem świętym, powiedziała Amen, i biła się w piersi jak po modlitwie, a Helena nie przemówiła nawet: dziękuję.

Piastunka usiadła przy łożu.

— Pani moja, Pani, czyś ty nie chora? —

— Nie, moja Chwedoro, ja chcę umrzeć. —

— Co ty gadasz, moja Helenko? Pan Bóg posłyszy, i rozgniewa się, —

— Pan Bóg już na mnie dawno się gniewa. —

— Gdzież tam moja Ołenko, on ciebie kocha; kogo Pan Bóg kocha, tego nawiedza.

— Męża mego, męża! ja żyć nie chcę. —

— Żyj, żyj, moja rybko. Świat przed tobą, i wszystko przed tobą. —

Helena już odwróciła się od piastunki, i na wszystko nic nie odpowiadała. Chwedora wyszła na dziedziniec popłakać nad swoją Ołenką wolniej, nie między czterema ścianami. Siadła pod polnym bzem, tuż nie daleko zamku, głowę sparła w dłonie.

— Jam ją wykarmiła, wypiastowała; wyhodowała mi się taka ładna, taka hoża; a teraz taka biedna. Oj dolaż, to dola na tym świecie! —

Tak narzekając usłyszała rozmowę dwóch Kozaków.

— To djabli syn; tak gada, jak gdyby w książce czytał. —

— Ale czy prawdę? —

— Dziwo, że prawdę; żeby nie grzech, tobym powiedział, że Pop mu całą moją spowiedź przedał. —

— Może to i sam djabeł. —

— E! nie, to taki po prostu znachor. —

— Znachor, znachor, a gdzieby on tego się nauczył? —

— Ba, ba na stepach. —

— A czemuż my się nie pouczyli? —

— To stary człowiek. —

— Tażeż i między nami są starzy, i na stepach nie raz bywaliśmy. —

— Jakiż z ciebie suseł; co innego na stepach wojactwa się uczyć, a co innego znachorstwa. —

— Tażeż to prawda, mniejsza o to; ale zkąd on? —

— Djabeł że go wie zkąd! ze stepów, taj koniec. —

Chwedora podeszła ku nim.

— Synowie, o jakim to wy znachorze mówicie? —

— Pani matko o cudzym człowieku, od kilku dni w Kijowie się zjawił, ale co robi dziwa to robi. —

— Wszystko co zechce matko. Wróży, odmawia uroki, i Bóg wie jakie nieszczęścia odgania. —

— Gdzież on teraz? —

— On tam za bramą siedzi, ten siwy. —

Chwedora już nie słuchała, szła szybko za bramę. Tam gronem ludzi otoczony siedział starzec na kamieniu, rękoma kij oplótł, a o kij sparł czoło, i prawił do ludzi. Taka u niego broda biała, że aż oczy razi, i włosy na głowie białe, łysiny nie widać, i włosy kuczmiste. Uśmiecha się, baraszkuje, a u nóg leży lira, i torba dziadowska, a na straży ostrouszek kundys, czarny jak żuczek.

Noc się poczęła, a Helena jeszcze bolała, ani myślała usnąć. Skryła boleść między adamaszkowe kotary; wszyscy od niej odeszli, tylko świecznica ze złotem okiem na straży została, niby dziw stepowy na straży zaczarowanej księżniczki. Weszły do komnaty dwie osoby, starzec i staruszka; idą cicho, a tak powolnie, jak gdyby za każdym krokiem się kłonili; i świecznica płomieniem kłoni się tym gościom. Z pod kotary ni oko, ni usta ich nie powitały. Staruszka szeptała starcowi w ucho, a on białą brodą o piersi potrącał. Wszystko wysłuchał i do kotary się nie zbliżył; skinął ręką na staruszkę. Szepce zmowiny, z dłoni rzuca na kotarę; staruszka klęka i modli się, na starca oczów nie podniesie, a wciąż pogląda ku kotarze. Czarnobrewka leży przytulona do poduszki, oczu jej nie widać i twarzy nie widać; krucze włosy muskają i tulą się do ramion, same z siebie rzuciły obsłonę dla ciekawego oka, i krasa adamaszku, i złoto

świecznicy nie dojrzeć nie mogły. W rubinowym obłoku zanurzyła się czarodziejka, i kradnie przed ludźmi urok Boży.

Znachor zbliżył się do świecznicy, ręką powołał na piastunkę, zasiedli oboje. Z zanadrza dobył wosk i topił nad świecznicą w cynowej łyżce; piastunka przystawiła mu misę z wodą.

— Niewiasto, ja nie wiem kto ta krasna Pani, ja stepowy człowiek, ludzi nie znam. Na naszych stępach Bóg i ja ze mną. Jeźli czasem wbiegnę między ludzi to nie wiele się dowiem; gadam, gadam, a mało widzę, a mało słucham, i to co mówię, to nie mój rozum. —

Wosk się topi, on go leje w misę na wodę, patrzy a głową pokręca; woszczyny w dziwne kształty się poplotły. Piastunce strach. Znachor milczy: oko to jaśnieje, to się chmurzy; twarz to się marszczy, to się rozgładza; drżą usta, a jeszcze milczy; woszczyny w rękę obraca, nareszcie zagadał:

— Wielka to Pani, wielka! Na stepach, na dalekich stepach, gdzie człowiek jeszcze ani zaszedł, ani zajrzał, znana jej krew. Orły i sokoły wieść o niej tam zaniosły, i kraczą wszystkim stepom, wszystkiemu niebu. Sława tej krwi sumakiem poleciała po świecie naszym, wilkiem wszędzie się wkradła. Na budiakach pszczołą zawisła; między trawy wężem się wplotła; rojem osiadła drzewa; na orne pola szarańczą padła, po stepach, po lasach, na mogiłach dokoła siół i grodów jasnem łunem płonie. Ptaki o niej śpiewają, zwierz o niej wyje, ludzie stepu o niej głoszą; bo ona sława stepu, sława nasza; z takiej to krwi ta krasna Pani. —

Coraz wyżej głos podnosił, a piastunka nie śmiała powiedzieć: Ciszej, Pani się zbudzi. Słuchała, a znachor dalej mówił:

— Przeszłość minęła i w przeszłości swojej krwi się nie zaparła, jak orzeł ku niebu, ku niebu leciała. W serce ją ranili, ale w tem sercu krew rodzima się przechowała; a co tam z nieba przeznaczono, to tego tu na ziemi nikt nie zmiemi. Krasnej Pani panowanie, i sława i szczęście i wszystko dobre. Straciła swego sokoła, bo sokół nie chciał latać tak wysoko jak ona; a to prawda nad prawdami, kiedy się kto zwiąże z gwiazdą nieba, niechże się jej trzyma, inaczej w dół spadnie głęboki, głębiej jak oko zajrzeć może. Patrz, patrz niewiasto, jak się wyłoniła przyszłość! — Pokazuje woszczyny piastunce i mówi: — Dwa orły lecą do krasnej Pani, do swej Caryey i proszą: każ, każ, a my zrobimy co zechcesz. O chwackie to orły chwackie! lotne w skrzydła, bitne w dzioby. I jeden i drugi na rozkaz tylko czeka. Patrz, patrz, krasna Pani w prawicy niesie żelazo, jasny miecz swojego ojca, a z lewicy złotem sypie, i w czaple pióro takie świeże jakby tylko co wyrwane, swego orła stroi, tylko kruki latają; ale patrz jak orzeł szponi, rozbija i znosi pod nogi krasnej Pani. Z tym jednym starym orłem trudno idzie walka. Stary to bywalec, on się uwziął na krasną Panią,

na krew krasnej Pani. To w lelaka się przerzuca i chytrze się korzy: to znowu jak orzeł z góry tłucze, a kracze; krwi mi tej potrzeba do ostatniej kropli, inaczej ja nie pan stepów. Trudna z nim walka, niebezpiecznie, ale zwalczyć go trzeba. Patrz, niewiasto, twojej Pani pomsta i panowanie się znaczy: na tym wosku ze stepu stepowa prawda się wylała, taka prawdziwa, jak prawda Boża. O tak, tak, nie między ludźmi, na stepie tylko: Bóg i prawda.

Zamilkł znachor i milczał; twarz mu pobladła, i tak była w białowłosej oprawie, jak kość trupia w śniegu. Z za kotary głos przestrachu się odzewał. Piastunka tam bieży.

— Kto tu jest? kto tu jest? —

Usta się nie otwarły piastunce, przestrach z czarnobrewki serca błyskawicą zniknął, odchyliła kotarę, świecznica płonie, a nikogo, nikogo nie ma; dłoniami musnęła po oczach, i dłoń w dłoni poklasła.

— Chwedoro, a mnie się zdało, że ja nie spała. —

Chwedora milczy.

— A mnie się śniło. O tam siedział starzec, i ty koło niego. Gadał dziwne rzeczy; tyś słuchała, i ja słyszałam. Pamiętam dobrze każde słowo; wosk lał, a potem tak pobladł jak upiór, tyś drżała Chwedoro, mnie ciebie żal było, krzyknęłam. —

Chwedora głową zaledwie skinąć mogła, wzięła czarnobrewę za rękę, ręka się nie wzbrania.

— To sen był tylko Chwedoro? —

— Sen — zapewne sen. — Spocznij teraz moja rybko. —

Chciała odejść.

— Nie, nie, moja droga, zostań tu ze mną, mnie się spać już nie chce; a tak straszno — Siądź ty na łóżku przy mnie, mów mnie co takiego. —

W głosie czarnobrewki przypomniała się pieszczona prośba malutkiej Ołenki. Piastunce rzewnie na sercu się zrobiło, umie tyle złotych kazek: o trzech-królewnych, o trzech królewiczach, o srebrnowłosym znachorze, o koniu Igorowym, o kijowskiej żmii, o błogosławionych peczerskich, o Hetmanie czarowniku, a żadnej kazki zacząć nie może; pogląda po komnacie, szuka okiem; drzwi zamknięte, nikogo nie ma: otula ręce czarnobrewki.

— Chwedoro! tobie mnie żal; ty mnie kochasz, tyś kochała mego Daniela: prawda, jaki on był? prawda, jaka ja biedna? —

Westchnieniem osuszyła słowa, a łzami je popłakała. Piastunka płacze, i tak obiedwie płakały aż do białego dnia.

Ciekawy dzień w okna zajrzał. Piastunka wychodziła z komnaty szukać gdzie się podział znachor, a nie śmiała spojrzeć

ani na dogorzałą świecznicę, ani na misę z wodą. Helena klękła przy łożu, i modliła się za duszę swego Daniela.

Dzień jaśniej, wstała z klęczek, patrzy po komnacie.

— Tam, tam był ten starzec. —

Stąpiła kilka kroków, chyli się ku podłodze, podniosła woszczyny wylane. W tem drzwi się otworzyły, weszła bratowa, weszła siostra; prędko Helena skryła woszczyny w sobolowy zarękawek.

— Dobry dzień, jakże ci bratowo? —

— Dobry dzień, jakże ci siostro? —

— Dobry dzień wam, trochę spałam. —

Pocałunkiem ja darzyły, a ona jedną rękę skryła w zarękawek, a drugą resztki łez ociera.

Piastunka wróciła, wynosi misę z wodą, wynosi świecznicę; nic nie widzi, przeszła wszystkie komnaty, do kola zamek obeszła. Po sadzie chodziła, nigdzie, nigdzie nie zdybała znachora, ludzi pytać się nie śmie; sama sobie powtarza:

— Ja nieszczęśliwa; com ja zrobiła! —

Tegoż samego dnia Helena od śmierci męża po raz pierwszy weszła między ludzi, bez łzy w oku, bez słów rozpaczy i pomsty w ustach; uśmiech dawny wygnaniec, plątał się już po licu, nie pewnie, tęskliwie, niby z bojaźni, żeby go znowu ztamtąd nie spędzono. Wszyscy się tem radują, jak dobrą wieszczbą.

Wojewody twarz nie powłacza się powszechną ochotą; patrzy na nagłą zmianę. Jak jeździec kiedy go wichry w stepie opadną, a słońce ukradkiem kilką promieniami błyśnie, i wichry na chwilę przymilkną, on wie, że to przyspoczynek burzy, jak konia kiedy ma w większy cwał wyskoczyć. Witając Helenę. nie mógł z tęsknoty rozmotać słów, ani lica w pogodę przystroić; brał ją za ręce, jak ojciec ukochaną córkę, oczyma skarżył na los; a ustami ot tak sobie o różnych rzeczach gadał.

Helenie w myśli stały słowa: w lelaka się przerzuca. Hardziała twarzą, i piękniała ojcowską dumą. Rodzona to dziecina Bohdana Chmielnickiego. Nie trunkiem się poiła ale dumą, jak nieboszczyk ojciec, i wtenczas szał nad nią panował. Widziała, że Konstanty Wyhowski i Pawel Tetera do sadu poszli; za nimi poszła.

Jak czaromoca rusalka stanęła między nimi, a taka dumna, taka Pani, ze oni ni słów, ni oczu ku niej podnieść nie śmieli.

— Bracie rodzony mego męża, i ty siostrzeńcze. Wdowa po Danielu Wyhowskim przychodzi z wami pomówić. Nie chcę ja słyszeć ani waszych słów, ani waszych przysięg: zostawmy to na potem. Ja chcę pomsty, i pomsty. Niech mój brat hetmani, to krew mego ojca, ale niech rodziny tych co mnie w żałobę

odzieli, odzieją się w żałobę. Proszę was o pomstę, a kto mnie pomstę przyniesie, dla tego będą moje dostatki, a kiedy zechce, to i moja ręka. —

I nim pośpieli odpowiedzieć, już jej nie było między nimi. Patrzą na siebie, i już nie jak wuj na siostrzeńca, nie jak siostrzeniec na wuja, ale jak wróg na wroga. Jedno słówko czarnobrewej krew na krew wzburzyło. Nie mówili sobie: dokąd pójdziesz? Tam idą. Każdy jednak poszedł w swoją stronę.

Tam na Ukrainie nie tak się dzieje jak wszędzie; czasami na stepach tak cicho, tak spokojnie, jak gdyby Ukraina usnęła snem Aniola, a czasami taki rwetes, taka szaruga, jak gdyby Ukraina cała stała się szatanem i w harc poszła. Czasami po mogiłach siedzą orły i tylko kraczą; siedzą sokoły i w pierze się skubią; pasą się rogate zgony i trawę żują; na stójłach stoją tabuny, koń do konia się tuli, głowami tylko, ogonami tylko hasają, odganiają owad. I nagle orły klekoczą w dzioby i lecą Bóg wie gdzie i po co? Sokoły szparko skrzydłami świszczą; siwe woły ryczą, i jak gdyby bies ich napadł, wybrykiem sadzą przez burzany. Tabuny końskie w cwał dmuchają po stepie, i to wszystko jak stało spokojnie to tak sobie nie wiedzieć dla czego się porwało. I między ludźmi nie inaczej na Ukrainie. Jednego dnia sieją, orzą, w supiłki grają, z czarnobrewkami się holubią, hulają, tańcują, a w drugi dzień na koń wskoczą, z ogniem, z mieczem pędzą na Krym, na Wołoszę, i to ni ztąd ni zowąd, ot tak sobie, żeby nudy nie było. Jeźli całemu światu prędko płynie życie, to na Ukrainie rwie w cwał, bo Bóg stworzył Ukrainę na inakszy kopyt, na inaksze przeznaczenie jak świat cały.

Wczorajszego dnia jeszcze nikt nie gadał w Kijowie o niczem więcej, tylko o zabójstwie Daniela Wyhowskiego, a dziś zrana mówią:

Pan Wojewoda o świcie wyjechał do Warszawy, do Króla Jegomości; w noey przybiegał pilny goniec, dwornia wybiera się w drogę a liczno; i Pan Lasko wojewódzkie chorągwie prowadzi. Zapewnie Wojewoda długo tam zabawi; a co to będzie z Ukrainą? On choć nie Hetman, ale nasz ojciec, nasz Pan.

Wdowa po Danielu jedzie w Czehryński zamek; z siostrą, z bratową zostać nie chciała. Już nie rozpacza, dawnych sług swojego ojca zbiera, nowych werbuje; sypie złotem; nęci słowem jak to nieboszczyk Bohdanek robił, kiedy ludzi do siebie wabił. Niedawna wdowa, myśli żyć dwornie i hucznie w ojcowskim zamku. Zkądże ten wiatr i tak nagle powiał, coś to w tem wszystkiem się święci?

Stary Neczaj rusza za Dniepr, młodą żonkę zostawia. Starcowi ubrzdało się udawać hulaszczego młodzca, jakiś mu bzik w głowie zamącił; to rodzimy Ukrainiec, w ostatniej godzinie śmierci gotów skonanie przerwać i jakiegoś djabła zmalować, żeby nie tak z nim się stało, jak z ludźmi całego świata.

Bez opowiedzi Panu Wojewodzie Konstanty Wyhowski z drużyną swoich czmychnął jeszcze w nocy, a Czehryńce z rozkazu nowego pułkowódzcy Tetery, poszli do Czehryna. Oni ze straży przybocznej Hetmana wszej Ukrainy przechodzili na straż Heleny córki Bohdanka.

Stary Kijów i stary Dniepr widzieli jak się to wszystko zrywało i leciało. Oni najstarsi, najrozumniejsi ze znachorów stepu, może wiedzieli co to takiego, ale ludziom nie mówili o tem; ani podzwonnem dzwonów, ani poszmerem wody.

Tylko na niebie był dziw. Od północy ciągnął kometa dotąd niewidziany, na pół-jasny jakby ociągnięty blakującem światłem, wlókł za sobą miotlę jaskrawo-ognistą. Od południa ponad samą mleczną drogą, powyżej miejsca, gdzie się ukazuje pastusza gwiazda, była gwiazdka większa nad inne, jaśniejsza nad inne; podle niej trochę niżej była druga gwiazda mniejsza, ale jasna. Dalej plamka czarna niby szram na obłoku. Im bardziej zbliża się kometa, tem widoczniej wielka gwiazda rosła i jakby iskrzyła się, światłem do koła siebie sypała; mniejsza gwiazda zbladła, zaloniała się i zgasła, plamką czarną się przysłoniła i drugi był szram na obłokach, a wielka gwiazda niby w drugi księżyc urosła. Kometa się zatrzymał, bladł i miotła to w prawo, to w lewo pomiatała, kiedy nagle dwie gwiazdy latawce po niebie jak gadziny się puściły, trąciły o kometę, wpadły na wielką gwiazdę, i poleciały bez wieści. Na niebie i kometa i gwiazda wielka znikły, tylko miotla rozpaliła się i płonęła wielkiem lunem ponad Ukrainą.

Lud padał na kolana, bił się w piersi, i modlił się. Znachorowie wróżyli: pożary, pomorki, nieurodzaj, wojny, nic dobrego, a owego znachora ze stepów znaleść nie można było. Jak latawiec gwiazda pokazał się w Kijowie, i jak latawiec gwiazda zniknął; śladu nie zostawił po sobie. Ludzie mówili: gdyby on był, prawdę by nam przepowiedzał.

Koło Święto-Michalskiej cerkwi, w domku lichego pozoru, w izbie mędrka jeszcze światła nie zapalono, choć zmrok już dobrze szarzał. Mędrek nie był sam, był z nim drugi człowiek.

— I jakże ojcze, co każesz żebym robił? —

— Panie Pułkowniku trwaj w dobrym zamiarze, Bóg cię nagrodzi. —

Ja trwam i trwać będę; możesz zapewnić ojcze, że nie dla siebie ja chcę tych dostojności, ale dla dobra narodu mojego,

dla służby Króla Jegomości. Unia konieczna dla naszego szczęścia. —

— Bóg zapłać i za to, ale czy to dosyć? —

— Nie dosyć ojcze, ja wiem o tem. Przyrzekam, przysięgam, że Jezusowe bractwo będzie mogło mieszkać po całej Ukrainie, bezpiecznie pracować dla dobra kościoła, pod moją opieką.

— Pod opieką Bożą. —

Nie było widać twarzy mędrka, ale głos spieszczał się ojcowską dobrowolą.

— Tak Panie pułkowniku, będziemy modlili się dla ciebie o opiekę Bożą, z nią wszystko można wykonać; a Pan Wojewoda? —

— Wyjechał dziś zrana. —

— O i on może się wyleczy z swojego uprzedzenia, łaska Boża wielka. —

— Ojcze, on stanął teraz na boku: jak się wszystko zrobi, nie zechce przeszkadzać, żeby pokoju nie zamącić. —

— Dałbyto Pan Bóg! —

— O tak pewnie będzie. Jak nie będzie Chmielnicki hetmanił Ukrainie, to nienawiść przeciw waszemu bractwu i możnym Pankom upadnie. Bohdanko ją rozniecił, z Jerzym ona skona. Wojewoda dygnitarz koronny z Panami się pobratał. —

— Ale z bractwem nie? —

— Ojcze, jako Polak dygnitarz przeciw bractwu nie może nic ani działać, ani zdziałać; jako kozak będzie musiał słuchać swego Hetmana. —

— Daj Boże, daj Boże. A więc Panie Pułkowniku trwaj i pracuj, a bądź pewnym, że nasze chęci, nasze modły są dla ciebie. —

— Ojcze żegnam ciebie; bądź spokojnym, rachuj na moje przyrzeczenie. —

Przy wychodnem pułkownik kozaczy zdybał w sieni jakiegoś człowieka, twarz z twarzą o ledwie się nie spotkała, ale jeden drugiego nie zatrzymał. Przy resztkach dniowej jasności oczy ledwie mogły zachwycić trochę z rysów twarzy. Pułkownik na ulicy stanął, czekał, nikt nie wyszedł; ruszył dalej, ale mruknął przez zęby: — Naum! — Naum! —

XIII.

CZARODZIEJSKA FLASZA.

Nowy Hetman przeniósł swoje mieszkanie z Putywla do Perejesławia. Gród to ulubiony od nieboszczyka Bohdanka; w nim on chełpił się potęgą, w nim i kaźń sromoty padła na jego imię. Pan i Hetman Ukrainy całej tu w tym Perejasławiu, wtenczas kiedy posłowie Laccy, Moskiewscy, Bisurmańscy, Tatarscy, Niemieccy, Szwedcy, Siedmiogrodcy i Francuzcy składali mu hołd jako Carowi jakiemu najpotężniejszemu; wtenczas kiedy Lackim pankom gadał: szanujcie mię, bo za morza was wygonię; kiedy Bisurmanom groził: do Mekki, do Medyny z próżnemi torbami was wyszlę, niechno tylko na kozaczą huknę; Perekopskiemu Hanowi się powierzał w przyjaźni: Psie niechrzczony, jak mi wiarę zmienisz, to ciebie i wody i góry nie zasłonią, kozacza cię znajdzie wszędzie; kiedy mógł słowem jednem Moskalowi takiego strachu napędzić, jakiego od urodzenia nie miał nigdy, i zawołać na Dońców, na Jajckich braci: hej tu do mnie! ja król kozacki, ja Car waszej kozaczyzny; wtenczas Bóg go pokarał, ciężko pokarał za niewiarę matce Polsce; jak lichota jaki Pan kozaczy poddał się Carzykowi Moskwy; hołdownikiem uznał się Carzyka, któremu by rok nie wystarczył na zebranie tyle wojska, ile Bohdanek miał na jeden poświst, na jeden mach ręki; któryby potrzebował wydusić wszystkich Bojarów żeby mieć tyle złota, ile Bohdanko dla zabawki jednego dnia wyrzuci. Taka to sromota spadła na imię Chmielnickiego, na naród kozaczy w tymże samym Perejesławiu. Jerzy nie sromał się tam swoją stolicę posadzić, a sromał się jechać do Czerkasów, to gród Daszkowicza. Sromał się, sromał wkroczyć do starego Kijowa, to gród Konaszewicza Sahajdacznego, gród Jana Wyhowskiego. Umarły i żywy, imionami swojemi tylko strzegli świętego grodu Ukrainy od syna niewiary, od szwagrobójcy.

Jerzy przywlókł za sobą całe zadnieprskie kozactwo. Marcin Cieciura hetmanił czynem, a Jerzy imieniem tylko, tak, że kiedy

Hetman młody powiedział, że chce się ślubić z Putywlanką i swoim obyczajem po trunku szparko słowami sypał, i ciągle między nie wplatał: — Ja tak chcę, to być musi; Cieciura słuchał jak gdyby do niego nie mówiono, i pod nosem się przegrażał: z tego nie nie będzie.

Skinął ręką na czernca; Filaret flaszy nie podał, Jerzy stygł, stygł w zapale, jak żelazo w ogniu rozżarzone a rzucone na śnieg, i zziębł zupełnie, i był w tej zimnej niemocy; wtenczas Cieciura stawał nad nim.

— Hetmanie, tobie carówna, królewna za żonę, a przynajmniej hospodarka Wołosza, albo księżniczka Lacka; taka była wola nieboszczyka Bohdanka względem twego brata, tego trzeba Ukrainie. Co Bohdanko wyrzekł, świętym być musi.

Darmo młody Hetman prosił się:

— Ja ją kocham, ja żyć bez niej nie mogę. —

Cieciura odchodził, Czerniec flaszy nie podawał, a Jerzy płakał, i modlił się: przypomniał sobie dziecięce chwile, a ani na myśl mu przyszło, że można żyć życiem Hetmana.

Uśmiech szyderczy giął się po Cieciury twarzy, a słów nie utrzymał w ustach.

— Panu Hetmanowi żony się zachciało; bez potomka zostawić nie chce kozaczyzny. Ha! jeśli tak z następstwa w następstwo by poszło, pięknych by Hetmanów miała Ukraina. —

Tego dnia jeszcze wysłał Ładyńskiego w poselstwie do Heleny wdowy, z usprawiedliwieniem się, że on nic a nic nie winien, spełniał rozkaz Hetmana. Obiecywał wszystko, co ona mu każe, a w nagrodę nic nie żądał.

— Com przyrzekł, to cudze ręce zrobią — tak sobie powtarzał — a mnie Car nagrodzi; a może i jego nagrody nie będę potrzebował, sam ją wezmę. Kobieta nie zawsze płacze, nie zawsze się gniewa. O tak będzie lepiej. Służbie przykazał jak tylko Naum przyjedzie, żeby go zaraz stawiono przed nim.

W Perejasławskim zamku była dziewica, blada, ładna, a taka nikła, taka wiotka, jak gdyby do aniołów się wybierała. Po bogatych komnatach wieje się, jak samotna gałązka powoju po szerokim stepie. Na niej termolama, złote łamy, sobole, drogie kamienie, a ona ani się im uśmiecha, ani je ręką pogładzi; przy niej mnogie sługi, a ona im słowa nie mówi, ni tak, ni tak. Przynoszą wykwintne jadła, wykwintne napoje, ledwie ustami dotknie, natychmiast odtrąca. Teorbaniści drumczą, ona nie śpiewem a westchnieniem wtóruje drumkaniu; janczarska muzyka gra, nie skacze a płacze, wciąż ku oknom namaga, jak ptaszka niewoli, i wtenczas resztki żaru rozmieci się w oku, i wtenczas stanie jak przypomnienie tylko, bo już ona taka, jak gdyby nią nie była.

Ojciec zaprzepaścił własną dziecinę, a ojca odesłano gdzieś daleko od czuwania nad swą dzieciną. Tak chciał Pan Marcin Cieciura.

Już dobra chwila jak młody Hetman wszedł do komnat Putywlanki, a ledwie kilka słów przemówił do niej. Oboje tak byli jakby po długiej a długiej chorobie z łoża cierpienia na świat wstali. Spojrzeli na siebie i nie wierzą czy to oni.

— Parasko. —

— Panie Hetmanie. —

Próbowały się głosy i na więcej odważyć się nie mogły. Jerzy za rękę wziął dziewicę, tak jakby jej podpory błagał.

— Parasko, ty nieszczęśliwa! —

Westchnęła dziewica i to stanęło za słowo.

— O i ja nieszczęśliwy! bardzo nieszczęśliwy. —

Rękę dziewicy przyłożył do swoich oczu, i płakał w białą dłoń. Putywłance żal Jerzego.

— Hetmanie, co tobie jest takiego? —

— Co mi jest? co mi jest? ja nieszczęśliwy! —

— Pan taki? —

— Niech sobię zabiorą to państwo. Na co mi ono. —

— Dla szczęścia Ukrainy. —

— A dla mego szczęścia? —

— Dla twego Panie? —

— Nie, nie. Tak Parasko prawda. — Rękę dziewicy wypuścił, a swoją przyłożył do oczu.

— Nie płacz Panie. —

— A cóż będę robił?

— Bądź szczęśliwy Panie. —

— Bądź szczęśliwy? bez ciebie Parasko? — oczyma domawiał swojej prośby, i w tych oczach zmęczonych życiem, iskierka żywa zabłysła. Dziewica wzięła go za rękę.

— Panie, ja ci będę siostrą, najlepszą przyjaciółką. —

— O! nie Parasko! ty będziesz moją żoną. — Ukląkł przed nią. W drugiej komnacie jak cień mimo drzwi przesunął się mnich Filaret, Hetman usłyszał jego kroki, zajrzał czarną szatę, zaczął modlić się przed dziewicą.

Wszedł mnich, z uśmiechem przewagi na twarzy, z uśmiechem mistrza groźnego, kiedy widzi potulną trwogę ucznia. Wstał Jerzy z klęczek, oczu nie podniósł w górę.

— Filarecie co tam takiego? —

— Atamani kurenni czekają na rozkazy. —

— Filarecie ty wiesz, Marcin wie. Powiedźcie im. —

— Nie będąż oni widzieli Hetmana swojego? —

— Ja chory, ja niedomagam, powiedzcie. — Putywlanki oczyma prosił: pomóż mnie. Czernca prosił oczyma: zostaw mnie.

Czerniec dobył znaną flaszę, tą razą Jerzy jak dziecko do cacka do niej się uśmiechnął.

— Daj mi, mam pragnienie. —

Powoli, niby drocząc się, Czerniec podawał, Putywlanka stanęła koło niego.

— Panie Hetmanie. —

Ale on porwał flaszę, pił, pił aż do dna, ledwie Czerniec wyrwał mu ją z rąk.

— Powiedz, niech czekają. —

Rzucił się na wezgłowie; obudwoma rękoma z czoła rozgartywał włosy, a z włosami niemoc razem. Jak węgiel ogniem nadpoczęty, czerwienieje, nim żarem się roziskrzy, tak twarz i oczy hetmańskie roziskrzał ogień życia, już goreje.

— Putywlanko moja, panuj nademną, panuj ze mną. Patrz jaki ja pan! Gdzie Nizowe stepy się kończą, kędy Doniec rzeka płynie, po lesiste Słuczy brzegi, po Siry Boh, aż do Budziackiej krainy, do stepów Biełgorodzkich, po Czarne morze, Perekop i Nogajskie bezludzia, wszystko to moje! I biały car więcej ziemi nie ma. W Kijowie, w Bracławiu, w Owruczu, w Czehrynie, w Trechtymirowie, w Żytomierzu, w Putywlu, w Starodubowie, w Lubni, w Kremenczuku, po siołach i grodach, po pustyniach Ukrainy mnie znają za pana, a ja nad ciebie nie mam, nie chcę mieć innej pani. Niech król Lacki tyle wojska wyprowadzi co ja: świsnę, a sześćdziesiąt tysięcy rejestrowców w jedno imię pod bronią stanie. Huknę, a czterdzieści kureni Zaporoża z kopyta wyskoczy. Jak się mi przywidzi, to pięćset tysięcy samej jazdy z Ukrainy wyprowadzę. Koni nie zabraknie, a Ukrainiec do konia się rodzi, w strzemionach rośnie. Świat cały zawojuję, pałac z czystego złota dla ciebie wystawię. Zobaczysz moja Putywlanko. —

Stał przed nią i za obie ręce ujął, a ona chyliła czoło ku ziemi, a nie śmiała mu w oczy spojrzeć, nie śmiała odejść od niego. Jak należ śniegowa nie lgnie do gałęzi, czeka słońca, czeka wiatru żeby ją ztamtąd oderwał, tak i ona była piękna, urocza tą niesamowolą.

— Tak, tak Putywlanko, ty nie wiesz co to ja za pan; ty nie wiesz, nie pojmujesz co to naród kozaczy. Mój ojciec z wojska kozackiego stworzył kozaczy naród, a ja z narodu postawię państwo kozacze, i moi potomkowie będą z niem królować, carować po wieki wieków, tylko ty Putywlanko zechciej. —

Chciał przytulić do siebie Putywlankę, ramię zaokrąglił, twarz pochylił, a ona mu się wywinęła z ramienia; tak lekko, tak szybko jak cień.

— Panie, panie, zlituj się nademną. —

— Litować się nad tobą? ty, ty zlituj się nademną. — Gonił za nią, chwytał za szatę, wymykała mu się promieniem, wiatrem.

—Putywlanko, ty mnie nie chcesz? Słuchaj. — Stuknął nogą o posadzkę, tak jak to czynił nieboszczyk Bohdanko, kiedy gniew w nim się zapalił, albo chciał puścić postrach na ludzi. — Słuchaj, ja tu pan, co ja chcę to być musi, ty musisz być moją żoną. —

Groźnie się nastawił, Putywlanka się nie zalękła.

— Panie, nie prosta Kozaczka tobie za żonę, ale królewna, ale carówna. Księżniczka jaka przynajmniej dla Hetmana Ukrainy. —

— Ha! to i ty mnie gadasz słowami Cieciury? poczekaj, dam ja temu psu. O! bez niego się obejdę. Mam ja dosyć sławnych pułkowodzców; wszyscy towarzysze mego ojca wrócili do mnie: dziś z Zaporoża przybyli do mnie: Chaneńko, Woronicz, Czajka, dwa Sirkowie, same czoło Starszyzny Koszowej. Ho! ho! obejdę się ja bez niego. —

Młody Hetman jak gradem sypał słowami, a oczyma jak błyskawicami migotał. Putywlanka już nie blada; krasna żywym rumieńcem, patrzy, słucha Hetmana.

— Tak, tak moja luba, ty będziesz moją; ty jesteś moją. — Chwycił za obie ręce. — Jaka ty ładna, jaka ty rumiana, o kochaj mnie, kochaj. — Pocałunek chciał dać.

Umknęła się pocałunkowi.

— Puść mnie, puść, ja nie chcę. —

— O! nie, nie, nie z tego nie będzie; Ty moją być musisz, dziś, zaraz. — Mocniej rękoma trzymał, garnął do siebie dziewicę, a tchu na mowę mu brakło.

Wydarła mu się z rąk.

— Nigdy! nigdy! —

Do ściany się ciśnie, rumieńcem woli, wzrokiem woli powstrzymała na chwilę Hetmana. Tu drzwi się otworzyły, pojawił się Marcin Cieciura. Jerzy Chmielnicki do szabli się porwał.

— Ha, psie przeklęty! — Tak świsnął szablą, aż oddźwierek w drzazgi się posypał; to pierwsze cięcie hetmańskie. Putywlanka go wstrzymuje za rękę.

— Puszczaj mnie, zabiję psa, zabójcę mego szwagra zabiję. —

Wyskoczył z komnaty, a dziewica stała w miejscu.

— Nie, nigdy — On tu. —

I szła ku oknu. Sad widać, a przed sadem żelazne kraty, popatrzyła i dłoń w dłoni złamała.

Od czasu jak Jan Wyhowski złożył Hetmaństwo w ręce Jerzego Chmielnickiego, nigdy nie zbiegło się tak wiele starszyzny kozaczej do młodego Hetmana jak teraz. Jedni mówili; Wyhowski dotrzymał co przyobiecał, inaczej uczynić nie mógł: drudzy powiadali: Wyhowski woli być lackim Wojewodą, jak Hetmanem kozaczym; to nie dobrze, i wszyscy garnęli się do młodego Chmielnickiego. Zapomnieli, albo nie chcieli mu pamiętać zabójstwa szwagra Daniela. Zaporoże przysłało swoich

starszych, z uznaniem go za Hetmana. O Czehryńcach tylko nie było wieści, i o kilku ze starszyzny nieradych nowemu panu, ale o to mniejsza. Widzieli jak z nagą szablą gonił za Marcinem Cieciurą; ten poskok gniewu przypomniał ojca, i dobrą otuchę w serce kozacze wlał. Umie się sierdzić, będzie umiał panować. Kto o sobie tak żartko stoi, ten będzie umiał stanąć i za naród swój.

Cieciura ledwie potrafił schronić się przed gniewem Hetmana. Poznał, że z ostrzem miecza żartować niewygodnie. Kiedy się Hetman udobruchał, a on stanął przed nim z pokornem przeproszeniem, nie ważył się słowem jednem przeciwić jego woli, i słuchał i na wszystko mówił:

— Jak każesz, Ojcze Hetmanie. —

W Jerzym grała jeszcze gniewu reszta; w obec wszej starszyzny wolę swoją jawił:

— Panowie Bracia! Mnichem być przestałem, i żebym nieprawdę w oczy cisnął tym, co mnie, Hetmanie Ukrainy, mnichostwem przedrzeźniają, Was zapraszam na moje ślubowiny. Żenię się z Paraską, córką osadniczego Prokopa, dziś pułkowódzcy Czehryńskiego pułku, mojej przybocznej straży. Nie chcę ani królewny, ani carówny, ani księżniczki żadnej; z tego ani wam nic, ani mnie nic. Ja syn Bohdana Chmielnickiego, Kozak i nic więcej, innej za żonę mieć nie chcę, tylko Kozaczkę. Tak, tak, ja się nie sromam mojego rodu, a jak mi kto go będzie wyrzucał, to tak zrobię, jak zrobił mój ojciec. Pamiętacie o Batowskiej sprawie; z was to wielu pamięta panowie bracia. Wielki Hetman koronny, dawny panek łacki, choć w niewoli, jeszcze dumny, sarknął ojcu: Chłopie hołyszu, czemże zapłacisz Tatarskie rycerstwo, co za ciebie wojowało? Uśmiechnął się Bohdanko. Tobą panku; na całą odpowiedź dał, i Wielkiego Hetmana przebranego w chłopską siermięgę posłał Hanowi w Jasyr. —

Stare twarze towarzyszy Bohdanka wąsami mrugały na potakiwanie prawdzie, a wszystkie szable stuknęły na poklask. Jerzy dalej mówił:

— Tak i carom i królom, choćby jakim, my zrobimy jak potrzeba; tylko chciejmy panowie bracia, a pokażemy wszemu światu, że po Bogu Kozak pan świata. —

Wrzasnęły głosy, aż zadudniały sklepienia.

— Hura! hura! niech żyje nasz Hetman! —

Starym obyczajem porwali młodego Hetmana na ręce, i podrzucali nim w górę.

— Hura! hura! —

Szczera radość na wszystkie twarze padła! szczere wesele ze wszystkich ust leciało. Te wybryki hulaszcze trzem ludziom jakby nie w smak idą. Jeden więcej krzyczy, więcej się rzuca jak drudzy, niby pływacz co pływać nie umie, a udaje; niby

człek pierzchliwego serca, co krzykiem i przechwałkami chce zagłuszyć tchórzostwo; drugi zatęsknił na dobre, stał i muskał dumki po wąsie; trzeciemu młodemu Hetmanowi szumowiny zapału konały w uściskach kozaczych.

Wieść o Hetmańskiem weselu przyniosła pohulankę całemu narodowi w Perajesławiu; hojno szafowano wódkę i świninę, lininą i śliwki; była uczta taka suta, jakby nawykli dawni Hetmanowie sprawiać przy wychodnem na dalekie wyprawy, albo po powrocie z wypraw. Teraz o żadnej wyprawie nie słychać; żaden watażka nie powraca nawet z lichej wycieczki. Gdzie niegdzie słychać między starem kozactwem bałakania. W Putywlu była uczta. Hetman szwagra pokarał śmiercią.

W Perejesławie uczta. Hetman się żeni, jeszcze to nie wielkie rzeczy, ale to syn nieboszczyka Bohdanka. Chmielnicki, krew nasza. I z młodem Kozactwem się weseli, a po całem mieście muzyka, śpiewy, wrzaski, pohulanka taka, że aż ha!

Młody Hetman biesiaduje.

— Hej złotego wina w czarę! —

— Nastawił czarę z czystego kryształu, na krysztale złoci się archanioł Michał, opiekun kozaczy, a w kryształ oliwą leje się stary Tokaj.

— Na zdrowie wszej Kozaczyzny! —

Pokłonili się wszyscy.

— Tylko mnie Hetmanowi takie zdrowie pić! a czary z której Hetman pił nie tykać ustom niczyim. —

W górę czarę wyrzucił aż pod sklepienie; brzęknęło szkło, i rozbryzgami na ziemię padło.

— Hura! hura! Niech żyje nasz Hetman. —

Brzęknęły czarki o zęby, i po jednym hauscie próżne do góry się wzniosły w kozaczych rękach, przewróciły się otworami, i ani jedna kropla nie spadła na paznokieć, tak szczerze wypili za zdrowie Hetmana.

— Hej wina, a tego zamorskiego, w złote puhary. —

I już wino perli się w puharach.

— Cześć! cześć Panom Starszyznie!

— Wina! wina! do dna panowie bracia! Lach mówi: na dnie w kielichu prawda; czy my damy prześcignąć się Lachom w szukaniu prawdy! Braci Koszowych! — Hej panowie Atamani, nie pokłonem a winem dziękować nam! Wina! wina! nalewaj, a w bród. —

— Pamięć Bohdanka Chmielnickiego! —

Hetman porwał za nóż, nadciął palca, i krew w kielich skapała.

— To krew Bohdanka! dla was! dla was do ostatniej kropli gotowa płynąć. Krew własną piję, truciznę wypiję za kozaczą sławę. —

Perejesławski zamek zatrząsł się od okrzyków, a biesiada szumi dalej.

Skinął jeden ze służby na Marcina Cieciurę, znak to umówiony, przybył Naum pohany. Lisem wyśliznął się z biesiady, a kiedy wrócił, wniósł z sobą dobrą wieść, bo wszystkim z ukradka w oczy patrzał, a sam z siebie był rad. Niby z przypadku zbliżył się do młodszego Sirka, odwrócił twarz Zaporożec, jak od psa wołokity. Cieciura zaszedł z drugiej strony, i Sikro rzucił mu wejrzenie, jak psu kawał chleba, żeby się odczepić. Cieciura wejrzenie przyjął za dobry pieniądz, i w duch w rozmowę się wdał.

Sirko widno zburczał Cieciurę, brwiami namarszczył jak gdyby na wszystkich djabłów mrugał; Cieciura odszedł ruszając ramionami.

— Tem lepiej, przyjdzie koza do woza. —

Nazajutrz dzień młody Hetman jeszcze nie rozczumany ze wczorajszej biesiady, pobiegł do Putywlanki. Komnaty puste, sługi nie wiedzą gdzie się podziała Pani. Po raz pierwszy Jerzy Chmielnicki, naczczo, zaklął w djabła, w ojca i matkę, i tak załajał, że aż kozacze się zasromały uszy; trochę się uchodził.

— To sztuka jaka hołubki, szukać mi jej wszędzie. —

Stał, patrzał, żadnemu kątkowi nie przepuścił.

— Ha! bisy przeklęte zaraz mi ją znaleść, czy na ziemi czy w niebie; bo jak nie, u trzysta tysięcy djabłów i niebo i ziemię spalę. Ja Hetman. —

Cieciura najgorliwiej szukał, i bardzo niespokojny był; przystąpił do Hetmana, odciągnął go na stronę.

— Hetmanie, bracia Koszowi odjechali z rana dziś.

— I cóż z tego u djabła?

— Jeden z Sirków Putywlanki znajomy dawny.

— Ha, ha, co? —

Cieciura ręką machnął, a Filaret z flaszą się zbliżył.

— Precz, precz z tem. — Odlewem ręki we flaszę stuknął, trunek czarny po posadzce się polał. — Koni, koni co żywiej; na koń bracia! Temu lacką koronę dam, kto mi żywą, czy zmarłą Putywlankę dostawi tu; tego Moskwy Carem zrobię, kto psa huncwota przywiezie mi łeb. Hej bracia na koń; nuże w pościgi. —

Rżą konie na dziedzińcu, ogień z kamieni krzeszą. Hetman wybiegł, wskoczył na koń lekko, żwawo. Krzyknął raźno gromko.

— Do braci Koszowych w gości: za mną! za mną! —

Z kopyta pomknął szparko, a kozactwo sotniami poskoczyło za nim.

Kiedy tak Jerzy Chmielnicki z powijaczek się wydobył i zaczął sam po swojej woli chodzić, Czarnobrewka jak tylko przy-

jechała w Czehryński zamek, odrazu tam panią się stała. W kilka dni przyjechał Paweł Tetera, i chciał być opiekunem, obrońcem wdowy po wuju, ale Helena wnet do niego przemówiła:

— Com powiedziała w Kijowie, to święte słowo. Kto mi dotrzyma, to i ja temu dotrzymam, a teraz Panie Pułkowniku Czehryńskiego pułku, ja tu Pani; ja córka Bohdanka Chmielnickiego, jego dziedziczka w Czehrynie. —

I rozkazywała.

Przybył Ladyński ze swojem poselstwem. Helena na uśmiech się zebrała.

— Ja wierzę temu, ale przyrzekłam to pamięci męża, przyrzekłam sobie, że ten mi będzie mężem, kto pomści Daniela Wyhowskiego. Niech Marcin Cieciura przyniesie mi głowy tych wszystkich, co przyprawili o śmierć Daniela, a ja zostanę jego żoną. —

Ladyński milczał, poglądał na czarnobrewkę, ona wstrząsnęła głową.

— Dziwne żądanie prawda, ale kto pragnie szczerze mojej ręki, to może mi oddać swoją głowę. —

Na tem się skończyła odpowiedź posłowi.

Często, codzień prawie wychodziła na mogiłę za Czehryń, tam stała, wodziła wrokiem dokoła, i wracała do zamku, raz tylko starej piastunce powiedziała:

— Chwedoro, tu na tej mogile zaczęłam snuć pierwsze pasmo śmierci mojego męża; tu na tej mogile dosnuję pomstę za jego śmierć. —

Wtenczas u córy Chmielnickiego Bohdana odezwało się serce strapionej żony, i chwilkę zapłakała.

Paweł Tetera dziwnie takoż postępuje. Ma pułk Czehryński na rozkazy, a nie stara się gromadzić koło siebie więcej ludzi, i nic nie przyrządza do pomsty; nawet gadają w Czehrynie, że wysłał do młodego Hetmana z zapewnieniem, że on mu nie wróg. Wciąż listy szle a szle do Warszawy, i ztamtąd odbiera odpisy przez wiernych gońców.

Dnia jednego już pod wieczór, przybiegł młodziec na wronym koniu, w samej bramie zdybał pułkowódzcę Czehryńskiego.

— Pawle jak się masz?

— Jako tako Grzegorzu; a ty jak?

— U sto djabłów, widzisz żem na koniu.

— Cóż cię zagnało do nas w goście?

— Nie do was, ale po was.

— A to jak?

— Konstantyn was do tańca zaprasza.

— A z kim?

— A z kimże u djabła, jeśli nie z tymi, co Daniela sprzątnęli. — Pomyślał Paweł.

— Ja tu nie Pan.

— Cóż ty do licha?
— Sługa.
— A twój Pan kto? czy nie Juryszka?
— Nie. Tu Pani, Helena Wyhowska.
— Na licho przyszło kozakom, żeby spódnice im hetmaniły. — Dziko się uśmiechnął. — Ale kiedy tak, to nie ma co robić; skacz wraże, jak Pani każe. Chodźmy do niej. —

Skoczył z siodła, po orłemu strzepnął się z kurzu, i po orlemu zapanoszał.

XIV.

BITWA NA STEPIE.

NARADA W REFEKTARZU.

Za Perewała lasem step, morze niezgonione okiem; wiatr burzany czesze, i niby fale morskie bałwanami hasają; mogiły znaki pochodowe kościennice wojennych ludzi, nad burzami się wiją jak wiry rozdąsanego morza, a nigdzie tam szlaku bitego, nigdzie przyznaki deptanej ścieżki. Kiedy gwiazdy na niebo powschodzą, jak żeglarzowi za przewodniczki służą; kiedy dzień jasny pojawi się ze słońcem, oko Boże wiedzie jako tako przez step dzieci Boże; ale kiedy w nocy anioły gwiazd nie pozapalają, i księżyca nie oświecą, kiedy w dzień słońce chmurami się zasuje, wtenczas przestworze bez końca i wieści, tajemnica Boża! na kolana, na kolana, modlić się i w piersi się bić, a czekać Bożego zmiłowania.

Takby robił każdy człowiek świata tego, ale kozak, to nie. Korzy się i modli przed Bogiem, ale na samo zmiłowanie się nie spuszcza. Mówi: szatnijmy się a po szczeremu, to Bóg nam dopomoże. Step, to jego życie, jego kochanie. Piskięciu, w ucho mu matka szeptała o stepie. Dzieciną, bosaka w step bieżał. Młodziec, po stepie koniem hulał. Starzec, wędrował w step, żeby tam uczciwie umrzeć. Djabeł go tam nie otumani, bo wszystko co żywe, i co nie żywe, jemu jak bratu rodzonemu wygada co słyszało, co widziało.

Dla niego czajka kihicze i po nad jednem miejscem bije skrzydłem i woła: tu zbieg się chroni. Sroka skrzekotaniem zaprasza na ciekawą rzecz. Dzięcioł podlotem prowadzi do futoru, do wierzb strażnic brzegowych wody. Wrony i kawki stadami szparko lecąc obwieszczają: spieszemy na świeże tokowisko bójki ludzkiej, albo bydlęcego padła; też same czarne stada kiedy wracają z krwawego żeru, opieszałe i milczkiem szybują, a przypadają często do ziemi. Orzeł różnie mu znaczy: w dziób

klekocze, dla swawoli w wietrze się przewraca, daleko on daleko od ludzi; strzałą goni pod obłokami, puścił się w podróż, od Kaukazu do Tatrów; z nad Donu na Dunaj; do ziemi się kulką spuszcza, upatrzył zdobycz, z obłoków przypławił się niżej, zaszybował kołem jednem, drugiem, ludziom się przypatruje. Kiedy dzikie gęsi zagęgają, nie blisko siedzib ludzkich, a kiedy małe ptastwo stadami purcha, nie daleko sioło czy jaki tam futor. Zoczy dropie tabunami się pasące, step to szczery. Stado szpaków zaczernieje, nie daleko hajdaje z wołami, z owcami czabany, a przynajmniej tabun koni. Kania i sokół w otwartych stepach lata. Jastrząb szuka przylasków. Bocian zaprasza do ludzkiego mieszkania, żurawie do pustyni wabią. Czapla kochanka woła kozaka do wody, do ryby. I w nocy mu przepiórka suche pole głosi, derkacz i baraniec od oparzeliska odwodzą. Sowa poświstem mówi, daleka ta pustynia. Puszczyk złowieszczy dla wszystkich kozaków, do ciepłej izby przywołuje. Tak kozak ptastwem posługuje się i w dzień i w nocy.

I zwierz mu w stepach sługą, przewodnikiem. Na trąbienie wilka nie jedzie, ale kiedy zdąży uśpieszyć za skomleniem i tatarnistemi oczyma, to pewnie między ludzi zajedzie. Sumak mu bezludzie zwiastuje; lis sznurkuje koło koczowiska. Zna on zioła i drzewa gdzie jakie rosną. Zna gadziny i owady gdzie się które snują. Wszystko to mu staje za bite szlaki, za języki ludzkie, i tak jeździ po stepie jak po kraju zastawionym w sioła i grody.

Tak i Hetman z kozaczemi sotnicami stepem ciągnął ku Zaporożu. Co najsprytniejsze z pomiędzy sprytnego kozactwa, rozgania na wsze strony; wilki i sumaki płoszą po stepie; czasem z bratem Zaporoża się zjadą, a nigdzie wieść o dziewczynie Putywlance.

Młody Hetman jakby inakszy człowiek się zrobił, rosę tylko pije, a jeszcze się nie wytrzeźwił. Trzy doby jak z Perejesławia wyjechał, a taki zuch jaki tam był przy biesiadzie, i po biesiadzie kiedy na koń wsiadał. Step mu na zdrowie, bez dachu i pieluchy synowi Bohdanka służy; nakoniec Chmielnickiego zagrała w nim krew. Jakby zrodził się w stepie, tak po nim jeździ, a Putywlanki mu się chce.

— Moskwę nauczę, Lachom dam, Wołoszy Piotra napędzę, Bisurmanom urznę kurtę, skórę wykropię Tatarom: Świat cały mnie popamięta, jak dziewczyny kochanki nie znajdę. —

Czwartej doby w prawo i w lewo obozu kozaczego słychać było skomlenie wilcze. Kozacy na czatach uchem kładli się do ziemi, wyraźnie słyszeli powykiwania mnogie, a swarne; nawet zasłyszeli szerkotanie szuwaru; nie często płowi bracia zatrzymali się powietrzyć kozaczy obóz, spieszyli gdzieś a w jedną stronę. Kilku ciekawych poszło w zwiazdy, i wśród ciemni wi-

dzieli, jakby gromady świętojańskich robaczków wędrujące przez stepy.

Nazajutrz dzień było chmurno, a gromady wron i kawki leciały w jedną stronę. Kozackie zwiazdy za ich przewodem pomknęły. Górą, pod niebem, leciały stada czarnego ptastwa, krakały jakby całe niebo chciały obudzić; dołem, po ziemi, pomykali kozacy, a na odlew szablami siekli budziaki. Żaden z nich słowa na ochotę nie krząknął, nie chcieli budzić płochliwej zwierzyny.

Kozacze wojsko szło śladem ścinanych budziaków, młody Hetman jechał w samym przedzie. Stary Wysoczan choć się trochę posierdział w Putywlu, nie odstępował dzieciny Bohdanka.

— Ojcze Hetmanie to jeszcze nie Sicz. — Spojrzał w górę. — A tak to plugastwo leci, jak gdyby u sto djabłów, tuż, tuż pod nosem było panów Koszowych siedliszcze. — Obrzucił do koła okiem. — O, mnie didko nie stumani. Ot tam w prawo Dniepr, a przynajmniej cztery dobre doby trzeba do niego jechać, i to po naszemu. —

Cieciura mruknął jakby dla siebie tylko.

— Może to nowe zdrady Wyhowskich.

— Putywlanka tam, zawołał Jerzy Chmielnicki. Ja już jej nie chcę, precz psiawiaro, wszystko w pień! za mną! — Skoczył koniem. —

Wysoczan pomyślał:

Biedna dziecina, dziewczyny na Siczy szuka, albo w stepie; i wartoż to ludziom wojny za taki towar karki łamać? Uparty jak ojciec, to dobrze. Chciał zawołać na Jerzego. Jest tego kwiatu po całym świecie. Ale przypomniał sobie, że to Hetman, i skakał za nim.

Marcin Cieciura jakoś zbiegł się w parę z Czerncem Filaretem.

— Jeszcze jedna godzina nasza.

— Czy to ona?

— Ja wiem.

— A stary?

— Ho! ho! już go i djabeł nie dogoni.

— Cóż tam będzie?

— Wykryjemy, niech się swój ze swoim poczubi.

— A potem?

— Djabli ich wszystkich pobiorą?

— A potem?

— Ty Metropolita, a ja, ot tak będę. — Wskazał piórem na czaple pióro Hetmana.

Zwiadnicy wrócili pędzą nazad. Wojsko Kozacze się wstrzymało. Przybiegli zwiadnicy.

— Ojcze Hetmanie, koczowisko zbrojnego ludu.

— W moim stepie kto śmie koczować?

— Nie można było dopatrzyć z bliska, żeby nie spłoszyć.

— Dobrze, dobre, my się dowiemy. Koniem zakręcił.

— Hej w prawo! w lewo! tam moja dziewczyna, a wszystko w pień! rozumiecie? —

Bałamuci młody Hetman, Piotra Doroszeńki nie ma. Pod Jerzym Chmielnickiem pisarzować nie chciał; Marcin Cieciura szyk sprawił, a on na to praworny. Wysoczan przy Hetmanie został.

— Ojcze serdeczny, ja przy tobie. Nie pierwszy to raz Wysoczana krew poleje się przy krwi Chmielnickiego.

— Niby półksiężycem sunie kozacze wojsko, a po rogach mnogie sotnie, gotowe do poskoku, zakołować i wroga wsadzić w księżyca pełń. Step gładki, nie rwie się wojenny szyk, chrupoczą burzany, konie stąpają cicho; Kozacy dumek nie nucą, a Hetman z czaplem piórem u czapki jedzie w samym środku półksiężycowej matni.

Ponad jeziorem stało wojenne koczowisko, ale jakaż to dziwna zbieranina tego rycerstwa. Tatary, Wołosza, Lachowie, co wszystko zmarnowawszy jechali osiąść na koszu, i sprawdzić przysłowie o hołyszu, albo o szaławile: pojechał i osiadł na koszu. W drodze jeszcze pohulanką ich zawabiono. Chłopstwo, a wszystko istna hałastra, ledwie kilkudziesięciu mołodców między nimi świeciło jak łabędzie między stadami gęsi. A chwacki mołodec temu wszystkiemu ludowi przywodził.

Jeździł po Zaporożu, jeździł po wszej Ukrainie, zapraszał z sobą na wojnę, a wszędzie mu odpowiadano.

— Niech Iwan Wyhowski zawoła a wszyscy pójdziemy, a tak na krew Chmielnickiego nie nam bić. —

Zbierał hałastrę i poszedł w stepy, wiedział, że to wabiec na ludzi wojennych, podrożą się podrożą, i taki pójdą na przynętę, bo im się wojny chce jak chleba powszedniego. Sam sobie powiadał: ja brata pomścić muszę, a nie powiedział: Ja Czarnobrewkę mieć muszę.

Dali mu znać.

— Idzie wojsko jakieś, Panie Watażko.

— A zkąd?

— Od północy. —

Przybiegł drugi zadyszanym koniem.

— Ja sam na swoje oczy widziałem chorągiew kozaczą. Wywłoka psia krew tego hama Bohdana być musi. — Oba ci gońce byli Lachowie.

Szykuje wojsko Konstanty Wyhowski; zna wojnę, patrzy ludowi swojemu w oczy. Chłopstwo pospuszczało łby w dół i szemrze: my temu nic nie winni, to do nas nic nie należy. Tatarom nie dobrze z oczu wyziera, po za siebie wciąż okiem rzucają, i jakby przez zapomnienie konie zwracają w tył. Wo-

łochy osowieli z przestrachu, i ociężeli jak mamałyga. Mołodzce pochmurnieli i milczą, bić się będą ale poniewoli. Tylko jedni Lachowie ochoczo naprzód wystąpili. Szlachta to z imienia i z czynu; na nikogo nie patrzyli tylko na swoje szable.

— Panie Wyhowski zawierz nam, dalej na tych chamów; zobaczysz czy nie wysieczemy ich jak kapustę, nie wywiążemy jak snopy to szmatłajstwo. —

Konie przysiadły na zadzie, potakiwały prawdzie słów pańskich. Wyhowski liczył ich okiem, czterdziestu czterech spełna. Potrząsł głową, i gromko zawołał do wszystkich:

— Boju nie będzie. Ja jadę do Hetmana. —

Konia odwrócił, Lachowie konie trącili.

— My ciebie nie opuścimy, z tobą pójdziemy wszędzie.

— I ja z wami.

— Daliśmy słowo, nie zdradzimy.

— I ja was. —

Mołodzce ruszyli się z miejsca, ale Konstanty machnął ręką, i oni w miejscu zostali. Jechał brat Daniela do kozaczego wojska, a Lachowie za nim; raźno szły konie przy koniach; hulaszczo jeźdzce na jeźdzców pozierali, oczyma mówili do wodza: tylko pozwól, a dobytemi szablami domawiali: damy im, damy.

Już nie daleko, Konstanty obrócił się do Lachów.

— Bracia, tu zostańcie.

— Nie, z tobą pójdziemy.

— Ja każę, ja wasz wódz Panowie bracia. —

Lachowie stanęli, ale wzrokiem ślad w ślad idą za Konstantym Wyhowskim, i szabel w pochwy nie schowali.

Konstanty szablę w pochwę schował, zdjął czapkę i tak biegł ku kozaczemu wojsku. Kozacze wojsko się zatrzymało, a ze skrzydeł sotnie ciągną się dalej.

Stanął Konstanty przed Hetmanem, ale nim usta otworzył, głos Jerzego zabałakał:

— Gdzie Putywlanka, psi synu?

— Panie Hetmanie, nie rozumiem.

— Czego chcesz?

— Sprawiedliwości Panie Hetmanie.

— Sprawiedliwości, ha psy przeklęte! żonę mi kradniecie, wydzieracie, i jeszcze sprawiedliwości? —

Konstanty czapką przykrył głowę.

— Tak, sprawiedliwości Panie Hetmanie. Sprawiedliwości za śmierć Daniela Wyhowskiego, mego brata, twego szwagra.

— Ha! ha! — nim zerknął Wysoczan na młodego Hetmana, już on wychwycił pistolet z za pasa, i palnął.

Słowa nie wymówił Konstanty Wyhowski, schwycił się za bok i z konia zleciał.

Lachowie to zejrzeli, i z kopyta w cwał pomknęli; ale i Marcin Cieciura okiem czuwał. Z sotniami Lachom drogę zasko-

czył. Lachy tną po swojemu, kozacy kolą, na pohybel Lachom krzyczą.

Gdzie młody Hetman? Wojna go rozczumaniła, już nie pijany, ani gniewem, ani zapałem, ani żalem za Putywlanką; na jeden tylko rozkaz się zdobył.

— Niech ich rozbronią, niech się bić przestaną. —

Darmo mu Wysoczan gadał.

— Taniec zaczęty, trzeba kończyć Panie Hetmanie.

— Ja nie chcę, ja nie chcę. —

Do Filareta się zbliżył, z flaszy pił i nic nie pomagało; z konia złazł, łzawił oczyma, na kolana padał modlić się.

Wysoczan sarknął — Lachy co do jednego wyginęli, ale każdy z sobą zabrał najmniej sześciu kozaków na tamten świat. — Cieciura skrwiawiony, z pocałunkami łackimi na twarzy przybieżał.

— Hetmanie, zwycięztwo nasze. —

Jerzy Chmielnicki już nic nie odpowiadał, tylko patrzał na ludzi niepewnym wzrokiem, a opierał się o konia, taka go drżąka napadła. Trup Konstantego Wyhowskiego tuż nie daleko leżał. Cała hałastra w koczowisku się poddała, tylko Tatarów jak zające po stepie uganiano, a garstka młodzców Zaporoża poszła w step i nikt jej nie zaczepiał.

Cieciura już trochę śmielej między swoich szepnął:

— Wywłoka, zabójca. —

Przyszedł do Jerzego Chmielnickiego.

— Panie Hetmanie, jakie rozkazy? —

Jerzy milczał, w dłonie patrzał; i z dłoni nie wyczytać nie mógł.

— Panie Hetmanie, do Siczy pójdziemy. —

Skinął głową.

— Może gdzie nadybiemy Putywlankę, to Wyhowskich sztuki, ja mówiłem.

— Putywlankę? tak — tak. —

W tem wymówieniu było coś podobnego do pacierzowego amen; na tem skończył, nie wskoczył na koń, i nie zawołał: za mną!

Marcin Cieciura pokazywał Kozactwu młodego Hetmana, jaki jest, i sam hetmanił.

W Warszawie królewskim grodzie, w domu Jezusowego zgromadzenia zebrała się rada. Na około stołu, na którym stał krzyż z ukrzyżowanym synem bożym, w dwunastu poręczuych krzesłach siedziało dwunastu czarnych ojców, a bobrowe czapki leżały im na kolanach. Pośrodku między sześcioma, a sześcioma, na wyższem krześle wzniesionem o jedno podnóże, siedział takoż czarny ojciec z odkrytą głową, a na przeciw niego

przez stół, na ławce był równie ojciec czarny. Blade ich twarze, a takie nieruchome, że zdałoby się, że oni a nieboszczykowie wiszący na ścianach, to jedno: u góry na płótnie malowani, koło stołu z kamienia wykuci: tamto wizerunki, a to niby posągi ojców czarnych już dawno zeszłych z tej ziemi. Milczenie było wielkie jak na stepie, tylko czasem skrzypnęły ramy okien, stawiając zaporę ciekawemu wiatrowi, żeby nie wyniósł jakiej tajemnicy z tej rady na świat.

Zawiśli w rozpamiętywaniu, cicha modlitwa trwała: i potem najstarszy przemówił z między nich:

— Ojcze Piekarski mów. —

Z ławy odezwał się głos:

— Ojcze wielebny, byłem wszędzie, i widziałem co za nieszczęścia; bractwo, które zowią bobrowem, pod nasze się imię podszywa, słowami wiary frymarczy na jakieś korzyści światowe; kłótnie na Ukrainie, a ku nam nienawiść budzi. Wojewoda Kijowski jeszcze bardziej ku nam niżeli dawniej był zniechęcony. Ukraina będzie na długie czasy dla prawego kościoła zamkniętą.

— Ojcze, cóż najwięcej do tego przeszkadza? czy oprócz tego bractwa nie masz innych powodów?

— Nie masz wielebny ojcze; stek to ludzi i nie katolików i nie Polaków.

— Trzeba radzić. — I zamilkł ojciec Prowincjał.

Czwarty z porządku podniósł się, Prowincjał skinął ręką, a on mówił:

— Gdyby to bractwo służyło kościołowi jedynemu, nie możnaby mu za złe mieć: że Polak, Hiszpan, Włoch i każdy znika, stając w szeregi kościoła. Nie masz tam człowieka narodu, tylko człowiek kościoła jedynego nad wszystkiemi, powszechnego dla wszystkich; ale kiedy ono i kościołowi nie służy i na nas ściąga obmowę, to zagraża niemożnością działania dla dobra naszego zgromadzenia. —

Szósty z lewicy otrzymawszy pozwolenie, głos zabrał:

— Obmowa nas wszędzie dosięgnie. Mocarze zwać nas będą obrońcami wolności, ludy podporami ich ciemiężycieli; bo Chrystus swoją wiarą stanął między wolnością a władzą. Stósownie do potrzeby, dla równowagi dobra, swoim uczniom kazał popierać władzę, jeśli wolność przechodzi w rozuzdanie porządku; bronić wolności, jeśli władza spieszy od porządku do ucisku. Ta to harmonja porządku z wolnością stanowi doskonałość i trwałość wieczną wiary syna Bożego, i moc naszego kościoła jedynego. Mniejsza więc o obmowę, rzecz idzie o wzięcie pod rozwagę: jakie skutki może sprowadzić działanie tego bractwa przeciw Wojewodzie Kijowskiemu na pożytek kościoła? —

Żaden. — Odezwał się ojciec Dąbrowski, drugi od lewicy.

— Nasze zgromadzenie powinno zaprzeć się tych, co naszem imieniem pokrywają swoje złe, i prawdę przed światem wyświecić. Co zaś do Wojewody Kijowskiego, ojcze wielebny, nie trzeba wątpić, że człowiek, choćby jakim błędem uwiedziony, prędzej czy później, przyjdzie do prawdy, jeśli ma wiarę i odwagę; odwaga jest rzeczą najprostszą, a wiara wskazówką prawego sumienia. Zwycięzca Konotop, który wrócił całą Ukrainę Polsce, może prędzej jak kto inny wrócić odszczepieńców na łono kościoła. —

Ojciec Prowincjał potakiwał tej mowie.

Czarni ojcowie, jedni po drugich usta otwierali. W końcu ręka najstarszego znakiem milczenia usta im zawarła.

— Wiecie teraz co się stało, a zobaczycie co się stanie. —

Pochylili głowy czarni Ojcowie. Najstarszy ojciec, ten co siedział między sześcioma a sześcioma, przeżegnał się krzyżem świętym, i zaniemieli w cichej modlitwie. Głośny Amen, dał wiedzieć, że oni żywi, i był pożegnaniem wizerunkom zmarłych. Kładli bobrowe czapki na głowy, i wychodzili w milczeniu, a wizerunki nieboszczyków zostały na ścianach.

Szli przez mnogie korytarze, a słowo im z ust nie wyszło; taka tam była cisza, jak w grobowych pieczarach. Jednak tamtędy wciąż płynęli a płynęli czarni ojcowie, i braciszkowie czarni ze studjów, z nowicjatu, ze służby; jak roty żołnierskie w takim porządku postępowali, i nie zmięszali się nigdzie, chociaż jedni z drugimi krzyżowali się po stokroć razy. Nie było słychać głosu żadnego przywódzcy, ani widno znaku jego; zdałoby się, że wizerunek Ignacego Lojoli po wszystkich korytarzach zawieszony, kierował tem wszystkiem.

Jak najlichsi charłacy rąbią drwa, śmiecie wynoszą synowie najmożniejszych, najznakomitszych rodzin. Garbieni ciężarami posługują najurodziwsi młodzieńce, tacy urodziwi, że każdy pan polski dałby wioskę, żeby mieć takiego hajduka. Uczeni z padewskiej i florenckiej Akademii kopią grządki, a niegdyś żołnierze dzielni w boju wymiatają korytarze. Przez te próby przejść trzeba nim się zostanie czarnym ojcem: próba to i nauka posłuszeństwa.

Czarni ojcowie nie przyjmują między siebie, tylko bogatych w dostatki, znamienitych w ród, zamożnych w urodę, w rozum, w dowcip, w naukę potężnych; albo znanych z odwagi, lub zasługi jakiej. Wybrawszy taki kwiat z narodu każdego, kładą na nim znamię powszechnego kościoła. Po latach wielu a wielu, ani poznać w czarnym ojcu jakiego narodu on człowiek. Sługa kościoła, uczeń Lojoli, i nic więcej, i nic innego.

W Jezusowem zgromadzeniu starszy działa i rozkazuje, ale radzie obwieszcza co się stało, i czasami pyta jej o zdanie, ale to zdanie chowa do swojej woli. Przez radę o jego postępowaniu wiedzą wyżej, i to hamulec na samowładztwo. Ojciec Jene-

rał rządzi całem zgromadzeniem jak samowładny pan, ale ma przy sobie przybocznych, mądrych rozumem i doświadczeniem: niejako senatorów. Oni muszą wiedzieć o tem wszystkiem co się stanie, i czuwają nad niepokalaniem praw Lojoli. Jeśliby widzieli grożące niebezpieczeństwo, a ojciec jeneral głuchym był na ich przełożenia, mają obowiązek przez rady odwołać się do zgromadzenia całego. Takiem urządzeniem zgromadzenie Jezusowe stało się dzielną falangą Rzymskiego kościoła, wyborczem żołnierstwem Ojca Świętego.

Po rozejściu się rady, czarni ojcowie jeden po drugim szli do starszego ojca po rozkazy. Ojciec starszy przechadzał się w komnacie, i rozkazy dawał, jak wódz, którego wojsko w ciągłym ruchu.

Z ojcem Dąbrowskim najdłużej rozmawiał, i było słychać te słowa:

— Wiarą i pokorą zniweczyć zawiść Wojewody, i czuwać, by go nie pchnęła do kroku, którego by i kościół i Polska żałowały. Drugiego Wojewodę na dobrą drogę naprowadzić; w tem nasza rzecz, żeby świat poznał, że bractwo to nie my. Z kłamstwa płaszczyk zleci, a prawda nagą zostanie. —

Dalej tak przychodzili i wychodzili czarni ojcowie, i jeden drugiemu nie zwierzał tego co usłyszał, a każdy szedł spełniać rozkaz jaki mu dano. Twarze nawet w martwą nieruchomość oblekli, żeby oko jednego nie wykradło co z myśli drugiego, przez zwierciadło twarzy: chód w jednostajną miarę stosowali. Ze ścian, z korytarzy, z czarnych ojców nic a nic więcej wyczytać nie było można, tylko: Posłuszeństwo! — tajemnica! —

Tegoż samego dnia widziano, jak z mieszkania posła wiedeńskiego pana wysuwali się po jednym, po dwóch, ludzie w bobrowych czapkach, w burych kapotach; po niemiecku, po kacersku bluźnili między sobą. Dwóch polską mową do siebie przemówiło:

— Vulpiuszu, ty teraz na wielkiego człowieka wyjdziesz.

— I wam wszystkim tak będzie, tylko dobrze służcie.

— Tak, tak; na szkodę Polski, na obmowę Ojców Jezuitów, a na pożytek niemieckiemu panu.

— Na pożytek nasz.

— Ty Niemiec, a jak Polak.

— Stawiesz się Niemcem. —

XV.

ŹLE SIĘ DZIEJE.

Król Polski zasiadł na tronie Piastów i Jagiellonów, a dokoła niego Wojewodowie i Kasztelanowie, ojcowie narodu. Królewska twarz pogodna, dobrotliwa, pokojem jaśniała; sprawiedliwość i zgodę chciałaby przelać we wszystkie serca. Z wąsatych twarzy ojców narodu, wojna patrzy. I dawny Mars by się uśmiechnął, obzierając tych ludzi teranych wojną, jeszcze niezużytych, jeszcze gotowych do wojny. I wódz niebieski Archanioł Michał, błogosławił by sławą na odpoczynek tym co się już wywojowali: błogosławił by dobrą otuchą tym co wojować chcą jeszcze. Tam na tych ojcach narodu wypisana cała potęga Polski; to karta żyjąca ojczystych dziejów. Wodzowie to szwedzkich, moskiewskich, bisurmańskich i niemieckich wojen. Mężowie to rady, co z Królem czuwali nad Ojczyzną, wydawali wojny, mir zawierali, i rządzili Polską krainą. Jak tylko jaka klęska Ojczyźnie pogroziła, wszyscy świeccy i duchowni biegli do boku Króla, wprzódy radą, a potem piersią i ramieniem pełnili swą powinność.

I nie trzeba było pytać kto wojny, a kto rady mężem? Blizny, pogorzałe od wiatru i słońca lica, od myślenia łyse czaszki, od znoju siwy włos; to dowody kto był jakim.

Król Jegomość zaczął:

— Smutne wieści nas doszły: na nową się burzę zabiera na Ukrainie. Jerzy Chmielnicki niepomny żeśmy przebaczyli i zapomnieli wszystko jego ojcu, nie pomny żeśmy przyzwolili na żądanie Pana Wojewody Kijowskiego, i utwierdzili go na oddanem mu Hetmaństwie, wiąże się teraz z Moskwą, i podburza Kozactwo przeciw Starszyznie od nas zeszłacheonej za zasługi. Was prześwietni Senatorowie przyzwałem do mojej rady, aby przeciąć w samym zarodzie tę nową klęskę grożącą Ojczyźnie. Mamy li słowami pokoju opamiętywać uwiedzionych, co by było

radośnem ojcowskiemu sercu mojemu? Czy też mamy z konieczności dobyć oręża; bolałbym nad tem wraz z wami, ale musielibyśmy. —

Dwóch Wojewodów w krzesłach się podniosło do głosu; jeden porywczy, szparki, ręką brodę kręcił; drugi niewesół, zadumany wąsa musnął. Pierwszy ze słowami wyskoczył.

— Najjaśniejszy Królu i Panie mój najmiłościwszy! szablą, szablą trzeba raz na zawsze z tem hultajstwem skończyć; to gadzina; póki jej łeb nie zdławić, i całej nie rozdeptać, póty kawałki będą odrastać, i jadem sykać będzie; choć się upokorzy, to na to tylko aby potem zjadliwiej ubodła. Słowa pokoju dla nich, łaski twoje najjaśniejszy Panie, uznchwalają ich a nie pomogą. Sami nas wyzywają, podejmijmy rękawicę, i wpadnijmy na nich z ogniem, z mieczem, bez miłosierdzia żadnego. —

Skończył, a jeszcze jedną ręką brodę kręcił, a drugą w szablę stukał. Drugiemu Wojewodzie pokraśniała zadumana twarz, i z tym zapałem czy gniewem, było mu dobrze.

— Królu i Panie nam miłościwy! za słowami pojednania i pokoju proszę. I my Kozacy tak dobrze dzieciśmy twoje, Królu ojcze! dzieci Polski, jak wszyscy inni mieszkańce tego naszego królestwa. Nie nieśmy ognia i miecza na swoich, bo za ogień, ogień; za miecz, miecz; za krew, krew płaci; toście widzieli. Królu i Panie nam miłościwy, płakało twoje serce, kiedyśmy roznosili pożogi i śmierć po ojczystej ziemi; tak, roznosiliśmy. — Od oblicza Króla obrócił się ku Wojewodom i Kasztelanom. — Ja Senator, wasz kolega dziś, szablą, co mi Bóg dał na Ojczyzny obronę, krwawiłem jej własne łono, byłem matkobójcą, a czyja w tem wina? i wasza i nasza. O piersi naszych praojców szczerbiły się i tępiły miecze bisurmańskie i tatarskie, na Polskę, na chrześciaństwo całe wymierzone. Nasi praojcowie gnali tych barbarzyńców w głąb ich kraju, i tam trzymali ich na wodzy; życiem swojem kupowali mir, sławę i potęgę Polsce; a wy dawszy nam miecz do rąk, chcieliście abyśmy się zaparli wiary naszych ojców; chcieliście, abyśmy, my wolny i bezpański lud, w poddaństwo wam poszli? Mieczem i ogniem pogroziliście nam, i mieliście mieczem za miecz, ogniem za ogień. Nikomu z osobna wyrzucać nie chcę, w czem i jak przewinił, rzecz samą pamiętajmy na wieczne czasy, imiona ludzi winnych, czyny ich puśćmy w niepamięć; a mądrzy doświadczeniem, poprawmy się, poprawmy. — Znowu się odwrócił do tronu. — Królu i Panie nam miłościwy, ty najlepiej wiesz, czy Bohdanko Chmielnicki targał się na królewski majestat, i na życie Ojczyzny matki? Mógł robić gorzej, ale ile razy twoje słowo Królu do niego doszło, korzył się i twego przebaczania błagał. Prawdę rzec muszę Królu i Panie, nie było szczerości w dotrzymaniu przyrzeczeń, i zgoda się rwała. Po śmierci Bohdanka, prosiłem cię Królu o słowa pokoju i łaski, tyś nam je dał, i wi-

działeś że Kozactwo wiernie, i jak mogło służyło Polsce. Oddając Hetmaństwo Jerzemu Chmielnickiemu, byłbym został przy nim i błagał, a może i wybłagał wiarę dla matki Ojczyzny, ale niechęć, zawiść przeciw mnie siano; chciano bym był ziarnem waśni w moim narodzie, i któż to chciał? żal mówić. — Polacy z naszego grona! — Mniemali, że kłócąc, na panowanie sobie klecą: ta to niecna prywata nas gubi. Teraz szlijmy im słowa zgody, to bracia nasi, a jeźli obcy w nasze zwady się mieszą, wtenczas do miecza, do miecza. Królu i Panie nam miłościwy, przebacz moim słowom. I wy koledzy Senatorowie przebaczcie, rzecz idzie o Kozactwo, a ja Kozak jestem! —

Skończył Wojewoda Kijowski. Wojewoda Ruski nie słowami, ale kręceniem brody odpowiadał; w brodę motał swoją niechęć. Jeden z Senatorów duchownych mówił o prześladowaniu wiary katolickiej przez Kozactwo. Wojewoda Kijowski znowu głos zabrał:

— Póki byłem Hetmanem, odkąd jestem Wojewodą Kijowskim, i kościół katolicki, i duchowieństwo katolickie szanowanemi są na Ukrainie. Jeźli były prześladowania, to i z jednej i z drugiej strony. Kto cerkwie naszego błahoczestliwego wyznania wynajmywał żydom w arędę jak karczmy? Laccy Panowie; a z czyjej podmowy? tych którzy winni być pośrednikami zgody i pokoju między ludźmi wszystkich wyznań. Sromocąc nikt nikogo nie nawraca. Królu i Panie miłościwy, chrzest dzieci, i małżeństwo, i pogrzeb nie mógł się odbywać na Ukrainie, tylko za zapłatą żydowi; on miał klucze od cerkwi. Na taką zniewagę oko ludu wiernego nie mogło patrzeć bez łzy, a ta łza schła i w zemstę się paliła; inaczej być nie mogło. I możemyż my przyjąć Jezuitów między siebie? O nie, nie! Między nimi a nami na zawsze rozbrat wieczny. I jeźli twoja królewska wola jest, aby oni weszli na Ukrainę, weź Panie miłościwy to Województwo co mi dałeś, a ja i bez tego służyć będę Polsce, jak będę umiał, i gdzie będę mógł. —

Po tej mowie Wojewody Kijowskiego jeszcze trwała rada; po radzie, dwaj Wojewodowie przypadkiem wychodzili razem: Wojewoda Ruski zdąsany był na wszystkich, wszyscy mu się pokłonili ale nie z serca. Wojewodę Kijowskiego uprzejmie ściskali Senatorowie.

— Prawdy nam mówiłeś, ale szczerc; wadzić się z sobą nie będziemy. —

Te słowa dobrą otuchę niosły Polsce; prawdziły, że Polakowi zgrzeszyć się zdarzy, ale zatwardziałym być w grzechu nie umie.

W samym krużganku, dwaj Wojewodowie prawie zetknęli się z sobą.

— Panie Wyhowski do mnie piłeś?

— Nie do ciebie Panie Czarniecki, ale do nas wszystkich.

— Dziś twoja wygrana, a jutro zobaczemy.

— I dziś i jutro niech będzie Polski wygrana, Panie Czarniecki. —

Tak się rozeszli z sobą. Pogromca Szwedów i Moskali, i Konotopski zwycięzca.

Mieszkanie Wojewody Kijowskiego było niedaleko zamku królewskiego. Zaledwie wszedł Wojewoda, natychmiast wydał rozkaz do podróży. Późno było, a on myślał a Ukrainie, o żonie, o dziatkach. Żona do niego biegła z powitaniem, pytania z jej ust leciały jedne po drugich, a tak szybko, że odpowiedzi nie czekały. Synek jak aniołek jasno-włosy na kolana mu siada, jak konia okracza kolano, usteczkami emoka, piętami trąca, chce czwałować na ojcowskiem kolanie. Córeczka po gościńcu bieży, cacka kładzie na stole; pobieży, emoknie ojca, i znowu cackami się bawi. Dwornia, czeladź go wita; on każdemu jakiś dar przywiózł, a każdy ma mu co powiedzieć. Charty, gończe, koło niego skaczą, wyżły mu się łaszą, konie rżą na powitanie pana; przegląda trzody, gospodarstwo; w pole wyjechał objeżdżać bujne łany. Pozjeżdżali się sąsiedzi, starzy przyjaciele, i gawędka się zaczęła. Całe to życie domowe żywym obrazem stanęło w myśli Wojewodzie, i już to nie był ani Hetman z pod Konotopów, ani Senator dzisiejszej rady, ale Jan Wyhowski, mąż, ojciec, pan i przyjaciel. Tęsknił za tem życiem, i dumaniu swemu w odpowiedzi słał życzenia.

— Oby Bóg dał, żeby tak było w Polsce, obym takiem życiem choć kilka lat pożył przed śmiercią. —

Modlitwa ta dobro przyniosła sercu, i łza dobra stanęła w oku. Nadzieja szeptała mu w ucho: Bóg ciebie wysłucha.

W tejże samej chwili głos jakiś śpiewał pieśń pod oknem:

Trzy was orły matka miała,
Już za dwoma zapłakała;
Zapłacz matko, bo i trzeci,
Niezadługo tam poleci.

Twe pisklęta w cudzej ręce,
I orlica w ciężkiej męce;
Było siedzieć w swoim domu,
Nie powierzać gniazda komu

Siry orle, mój Hetmanie:
Było wierzyć w me gadanie;
Oj! w Zuzuli nie wierz słowa
Bo to ptaszka białogłowa.

Zadrżał Wojewoda, głos to znany, i słowa pieśni znane. Szybko otworzył okno, i spojrzał okiem. Kradzione światło księżyca słało się smugami po ulicach, a księżyca za dachami nie widać. Na ulicy pusto, ludzie już nie chodzą, a pod domami ciemno; stamtąd nic się nie odbije, i cieniem na ulicy nie położy. Tak wychylony w oknie stał dobrą chwilę, i nic nie widział, ale tęskno mu się zrobiło.

Wojewoda Ruski wszedł do siebie pod niedobrą wolą; zastał tam Pułkownika Muchawskiego i mędrka Vulpiusa.

— Ha! teraz lada komu pierwszeństwo dają. Mosanie Muchawski; już my teraz nie mamy głosu w radzie, Szweda nie ma w kraju.

— Czyjąż to radę przełożono nad radę Pana Wojewody? —

— A pana Kijowskiego! skórka na buty! — Pokręcił brodę.

— Język na podeszwę, uszlachconego kozaka, a panowie senatorowie co na to?

— Wolą jego jak mnie. U nich lepszy z chama Pan, jak szlachcic co nie z soli, ani z roli, tylko z tego co boli. — Pokazał srebrne podniebienie. — Zasłużył sobie stanąć na równo z niemi, a może i wyżej.

— I do czegoż to wszystko doprowadzi?

— Hetmanem Koronnym go zrobią, i dziś on starszy Wojewoda jak ja; wyższe krzesło zasiada.

— Ja stary żołnierz a tego człowieka nie rozumiem; był panem Ukrainy daleko prawdziwszym jak Król Jan Kazimierz Polski; był wodzem stutysięcznego wojska, ot takiego, że człowieka po człowieku można było policzyć i palcem wskazać; i to wszystko porzucił, żeby się dobijać o Hetmaństwo Koronne: hetmaństwo, które najczęściej w swojem dowództwie nie ma nic więcej nad własnych ciurów. Skądby człowiekowi taka niedorzeczna myśl mogła przyjść do głowy?

— A jednak tak mówią. Odezwał się mędrek.

— Mówią tak pewnie być musi. Pokręcił znowu brodę Pan Wojewoda Ruski.

— No to oszalał cham, Mości Wojewodo. Roześmiał się Muchawski — Spezy mu zachciało. —

Mędrek wydobył jakiś papier i dał go Wojewodzie. Wojewoda czytał, marszczył się, kilka włosów zostało mu w dłoni.

— I tak oni zrobią. Ha! ci panowie — my z sobą być nie możemy. U mnie ręce za szorstkie od szabli; u nich za miękkie od wygód. Za każdą razą możemy się pokłuć. Szweda już teraz nie ma.

— Ale moskal jest, a pewnie z nas starych żołnierzy coś wodził po lądach i po morzach, żaden nie pójdzie pod czyje inne rozkazy, tylko pod twoje Panie Wojewodo Ruski.

— Ja wiem, że wy tacy.

— Każ tylko a zobaczysz czybym rodzonemu ojcu kości nie połamał, gdybym go miał.

— Dziękuję. Trochę się rozweselił, i był chwilkę tym znamienitym wodzem, tym zbawcą Polski, co spotyka jednego ze swoich dawnych żołnierzy, i w jego zasługach widzi swoją sławę, ale to nie długo trwało. Schmurzył się, i do brody ręką sięgnął.

— Ale ci złoci panowie — teraz jak po jałmużnę biegną po urzędy, choć Bóg wie gdzie byli, kiedy trzeba było z wrogiem się wodzić. Król nie może inaczej robić, musi im zapchać gardło.

W parę godzin, po dobrem rozświtaniu się dnia, Pan Wojewoda Kijowski wracając z pożegnania od Królestwa Ichmościów spotkał w bramie zamkowej Vulpinsa, z jakimeś starcem przybranym w ukraińską siermięgę.

— Mości Panie Wojewodo, biedny człowiek z Ukrainy przypadkiem tu trafił, my go tu bierzemy w swoją opiekę.

— Dziękuję. — I dał złota z kieski starcowi. —

Starzec nisko się pokłonił.

— Sława Bogu. Niech ciebie Bóg Panie strzeże od złego. —

Wojewoda nie przypatrywał się starcowi, a starzec odszedłszy kilka kroków mówił chmurnemu mędrkowi.

— Wielki on Pan dzisiaj, a jutro co będzie? Kto to zgadnie? już ja go nie takim widział: jeszcze był większym.—

Ukraińskim koniem dniem i nocą bieżał wierny Kozak Pana Wojewody Kijowskiego, Ostap Dejneka, z listem do Pani Wojewodziny. Daje znać że mąż i pan wraca. Już wyhulknął na świat z borów Polesia, po nad Dnieprem jechał, a przed okiem był stary Kijów, kiedy od ludzi się dowiedział, że wszystko co Lackie, co z Lachami trzyma, z Kijowa się wyniosło, a Moskwa zajęła Kozaczy gród. Od ludzi się dowiedział, że Wojewodzina do Czehryna się udała; zwrócił konia ze szlaku i jechał mimo Kijowa. Zdało mu się, że Moskiewski oddech zadżumił powietrze nad wielkim grodem, bo i jemu i koniowi było duszno, niewesoło.

Po polach pustki; bydło i rogate i nierogate samopas brodzi, wilcy mu pastuchami, i orły i kruki odganiają od szkody. Na łąkach druciеje siano, po niwach kłosi się już owies, a nikt o zimowli nie myśli; pełno czarnego ptastwa po drogach skacze i kracze, a zwierz w dzień biały się przechadza. W nocy daleko, daleko widać jasną łunę po nad ziemią, niby w mogiłach pieniądze się palą, niby zaklęte ognie wiłają się do grobów, ku

mieszkaniu żywych. Dejneka ludzi jeszcze się nie pytał co to znaczy a już wiedział co to takiego; dosyć wiedział.

W siołach przed karczmami lud Boży, nie hula tańcem i muzyką, tylko pije i dziko wrzeszczy.

— Nasi idą z Zaporoża! na pohybel pankom i żydom — gdzieniegdzie tylko starce bywalce bałakają.

— Że nasi idą to dobrze, ale że Moskwa to kiepsko. Bohdanko wodził Tatarów, Juryszka Moskali wiedzie. I ojciec i syn na zły koniec to robili; albo to my sami nie potrafilibyśmy dać temu wszystkiemu radę? — Nie braknie nam na ludziach, a gromada to wielki człowiek! jak co zechce, to i zrobi. —

We dworach pustki, starszyzna pozabierała się w lasy w stepy, a gdzieniegdzie to i gorzej. Dymy się kłębią i zgliszcza ogorzelisk sterczą.

Lud Ukrainy jak ziele Ukrainy; zaledwie wznijdzie już wzrasta i buja; tak u niego wszystko, i w dobrem i w złem tępo nie idzie.

Już w pobliżu Czehryna spotkał starego brata Czehryńca, zeszli na stronę, siedli u podnoża mogiły, i Czehryniec gadać zaczął.

— Niepojęte to rzeczy u nas się działy i dzieją. Jeszcze o środopościu przyjechała do naszego zamku Putywlanka, wiesz ta córka Prokopa; licho ją nawiedziło; nie chciała być żonką Hetmańską, uciekła jakby od jakiej biedy. Prawda, że to on i chyrlak i z mnicha się wywlókł, nie dobra nadzieja; ależ to taki Hetmańską żonką być, to piechotą nie chodzi, na koniu się jeździ. Juryszka tak się rozsierdził, że brata naszego nieboszczyka — pokój dla jego duszy—przeżegnał się krzyżem świętym. Dobry to był Pan i dobry pułkowódzca. Otoż pana Konstantyna własną ręką zastrzelił. Ludzie mi to mówili co na swoje oczy widzieli, bo ja tobym był temu nigdy nie uwierzył. Święć Boże i tego duszy. —

Obadwa się pomodlili, a tak ciężko odetchnęli piersiami że aż konie im spojrzały w oczy. Stary Czehryniec dalej mowę ciągnął.

— Jeden człowiek nie z kata zgubił takich dwóch chwatów; ale on Hetman, syn naszego Bohdanka. Otóż tylko co to się zwarzyło za Dnieprem; Wojewodzina, Neczajowa żonka z całym rodem i dworem do nas w zamek przyjechały. Prawda że to zamek bezpieczny, i u nas Czehryńców piersi za dobry mur staną. Nasz dzisiejszy pułkowódzca Pawel Tetera choć nie taki zawzięty do wojny jak stary Neczaj, albo ten wasz Brzuchowiecki co to zdaje się że przed narodzeniem na świat już wojował. Nieboszczyk Bohdanko to znał się na ludziach, wiedział kogo do popa, a kogo do popadji posłać, a naszego Teterę zawsze wysyłał to z listami, to ze słowami, przemawiać do

Króla Lackiego, do Bisurmańskiego Padyszacha, i do białego Cara, a nawet gdzieś w dalekie kraje.

— Ależ stary, cóż z tego wszystkiego?

— Prawda, że jak stary się rozbaja, to baja bez końca, wybacz synu. Otóż nasz Pułkowódzca, mimo to umie się bić. A córka Bohdanka wdowa po naszym Danielu, to niech mnie Bóg pokarze, jeźli niewarta najlepszego chwata, szkoda że nie chłopiec, to by był Hetmanem; wszystko to mówiło: w zamku Czehryńskim bezpiecznie. A tu już gadali: Juryszka z całem Zaporożem ciągnie na kraj Lacki, na Lachów. Ojcowska dziecina idzie w ślady ojca. Jeszcze gadali tylko, a już Zaporoża ptaki szybsze jak gadanie, zleciały się pod nasz Czehryn. Nasz pułkowódzca mówił: będziemy się bronili, i Czarnobrewka toż samo mówiła; ale kiedy przyszedł z całem wojskiem Juryszka Bohdanko nam Czehryńcom stanął przed oczyma: myżbyśmy się mieli na jego krew porywać, i przyzwalać, żeby krew na krew biła? Do tego jeszcze Juryszka przysłał do Pani Wojewodziny, prosząc by ona temu zaradziła, aby bracia braci nie zabijali. I Wojewodzina tak to zrobiła, że i Tetera przystał, i Czarnobrewka musiała przystać. Juryszka wszedł do zamku, i zajął Czehryn.

— Kiepsko, kiepsko, panie ojcze.

— Jeźli kiepsko będzie, to pierwsze kiepstwo poszło od tego, co nas porzucił.

— Miał czekać żebyście wy go porzucili?

— Słuchaj synu, tak nie gadaj; djabeł by twoją matkę porwał. Wstał na nogi. Mybyśmy porzucili naszego Iwana? — a bardzośmy go rzucali? — on nas porzucił.

— On nas nie porzucił, to nie prawda. I teraz wraca między nas; za nas gadał, i nam dobre wiezie.

— Chłopcze niech tylko przyjedzie, a powie: ja z wami, ja wasz; zobaczysz co będzie.

— No to zobaczymy; ale powiedz że no, co teraz się dzieje?

— Teraz synu, czterdzieści tysięcy Zaporoża w Czehrynie z Juryszką, a trzydzieści tysięcy Zadnieprzańców pod Marcinem Cieciurą w Kijowie, tam i Moskwy ściągnęło się więcej stotysięcy pod Kniaziem Szeremetiewem.

— Na cóż to wszystko?

— A jużci nie na wróble, tylko na Lachów.

— I cóż z tego będzie?

— Co jest to widzimy synu, a co będzie to zobaczymy; zresztą nic nasza rzecz wyglądać co tam gdzieś daleko. I mnie żal Lachów. Po prawdzie rzekłszy, taże to nasi bracia,

— Pójdziesz jednak na nich.

— Pójdę, bo starsi każą. —

Dejneka słowa na to nie powiedział; to powinność kozacza.

A stary Czehryniec dodał:

— Żeby był Iwan, toby było inaczej.

— Teraz ojcze powiedźcie mnie, czy oni tam patrzą bardzo, jak kto co wiezie.

— Dziwo że patrzą, a jeszcze ciebie; od Lachów jedziesz, od Pana Wojewody.

— Cóż oni na Pana Wojewodę?

— Co? — od kiedy po prawdzie mam ci powiedzieć to coś oni muszą niedobrego myśleć. Nam odebrano straż Zamku, nie dano jej Zaporożcom, jakby to uczciwość wojskowa przykazała, postawiono tam Niżyńców pana Ladyńskiego, a już ani dowiedzieć się co tam się dzieje. —

Dejneka w głowę się poskrobał.

— Trzeba jednak tam pojechać. —

Dobył nożyka z za pasu, i zakiereszował przednią łopatkę koniowi, aż koń skoczył jak oparzony.

— A toż co takiego? czy się zbisiłeś?

— Nalega psiawiara naprzód, trzeba mu zawłokę zrobić.

— Już niedaleczko do Czehryna, to tam mogłeś lepiej wszystko przyrządzić.

— Co z głowy, to z myśli. —

Wyrwał włosieni z ogona, skręcił sznurek, odwrócił się, z kalety wydobył papier, okręcił nim sznurek, i włożył za odwaloną skórę.

— To za swiczkę stanie. —

W duch szydłem zeszył skórę.

— No chwat z ciebie chłopiec.

— My tacy wszyscy, a teraz w drogę; bywaj zdrów ojcze.

— Bywaj zdrów synu, niech ciebie Bóg prowadzi. —

Wskoczył na siodło, krzyżem świętym się przeżegnał; koń wyginał się trochę przodem; skropił nahajką raz, drugi i pokłusowała szkapa, jakby po tęgim popasie.

Przed Czehrynem precz Zaporowskie czaty stoją; na błoniach tabunami Zaporożców konie się pasą, a w mieście i do koła miasta mołodców tak pełno, iż zdala zdaje się niby konopie wszędzie porosły, i wiatr kity konopisk powiewa w lewo, w prawo.

Między czaty Dejneka wjechał.

— Skąd? dokąd?

— Z Warszawy, do Czehryna:

— Ha! Lach!

— Kozak taki jak i wy.

— A co wieziesz?

— Siebie samego.

— A z czem jedziesz?

— Z szablą taj ze spisą, panowie mołodzce.

— Może masz przy sobie jakie pismo?

— Szukajcie.

— Hej do Sotnika go prowadzić! —

Od Sotnika do Atamana Kurennego go wodzili, a ztamtąd przed samego pisarza kozaczyzny. Pisarzował znowu Piotr Doroszenko, bo Zaporoże wyszło z Juryszką, a kiedy w Koszu zgodzono się na to hetmaństwo, nie było co robić; trzeba było iść gdzie Pan kozaczy każe.

Piotr Doroszenko i Atamani Kurenni poznali Dejnekę, powierny to Kozak Jana Wyhowskiego. Przypomniał się im dawny Hetman, i Konotopy i pomyślność Ukrainy; radziby pytać o wiele rzeczy, ale był tam Ladyński, ucho Marcina Cieciury, a Cieciura głową nie tylko Juryszki, ale i Moskwy. Pan Pisarz parę razy chrząknął.

— Cóż ciebie tu przywiodło?

— Ja zasłyszał, ojcze Pisarzu, że Zaporoże z Siczy wybiegło, to już mnie nie było czego u Lachów gościć, jeść chleb i sól Lackie; choć pana kocham, a rzuciłem go, bo ja kozak, z wami ojcze mnie być.

— A Pan Wojewoda gdzie?

— Bógże jego święty wie, co on z sobą robi.

— Gdzieś go zostawił?

— A w Warszawie jeszcze, i nie myślał stamtąd się ruszać. — Ladyński się zbliżył.

— Panie pisarzu, czy tylko ten człowiek prawdę mówi.

— Niech mnie djabli porwą ot tak teraz, jeżeli ja nieprawdę mówię przed wami panowie starszyzna. — Nie obejrzał się po za siebie. — Rozebrali i mnie i konia do naga tak jak matka narodziła nas na świat, znaleźliż co? nie, nic, i krzty tam łackiej nie było. A żem tu spieszył, to świadkiem najlepszym, mój skaleczał, może na marne imię pójdzie; a niech mnie tak Pan Bóg kiedyś na starość, na żonie i dzieciach pobłogosławi, jak takich koni tylko trzy jest na całej Ukrainie: Mój, Pana Wojewody, i Pana Grzegorza Brzuchowieckiego. Nie przegniewajcie się panowie starszyzna, więcej takich nie ma; a chodźcie, zobaczcie, co z nim się stało.

I wywoływał Panów starszyznę opatrywać końskie kałectwo.

— Prawdę mówi, prawdę. —

Wszyscy zgodnie powiedzieli, i była wolność Dejnece.

Zaraz nie poszedł bratać się z bracią kozakami, ale z koniem swoim się porał, potem dopiero rzucił się w hurt.

Młodego Hetmana nie było widać, nie pokazywał się kozactwu. Jedni mówili: zatrudniony przehorowami z posłami moskiewskimi; drudzy: z siostrami się godzi, kochanie Putywlanki dla siebie jedna; liczy skarby po nieboszczyku ojcu pozostałe, czy w całości; czy Pan Wojewoda dobrze i sumiennie

niemi się opiekował. Inny powtarzają: modli się i pości jak w post wielki, jak w Wigilią Bożego Narodzenia, bo to jest post wielki dla kozaczej duszy, to długie przybieranie się do wojny, bo to wigilja wojny. Wódz co ma wieść za błahoczestliwą wiarę, powinien tak za grzechy odpokutować, żeby wsiadając na koń, był czystym i niepokalanym w duchu, jak dziecko nowonarodzone na świat po świętym chrzcie.

Tak mówili, a nikt z pewnością nie wiedział co robi, bo zamku strzeżono tak, iż ptak by tam nie wleciał, a mysz by ztamtąd nie wybiegła.

Tegoż samego dnia jeszcze przed szarym wieczorem, z Czehryńskiego rynku wyjechał młodziec na wronym koniu. Tłum się rozmykał ku sobie i od siebie, a on koniem skakał na nic nie bacząc, jak gdyby przebijał się przez budziaki stepu. Koń wrony jeszcze czarniejszy jak kruk, ni gwiazdki na nim, ni odmiany żadnej. Jeździec dziki twarzą, groźny okiem, burką się opiął, i z baraniej czapki, czerwonym kołpakiem, jak błyskiem gromu migotał; szabla latała koło boku końskiego, burka czasem zrywała się z ramion, czasem przyciskała się do pleców, pędził ulicą, za rogatki, mijał czaty, i nikt mu nic nie mówił; bo to Pan Asawuła Koszowy.

XVI.

KNOWANIA.

W Czehryńskim zamku co się działo?

Wojewodzina szlocha za mężem, szlocha za dziatkami. Juryszka miasto podziękowania dał jej więzienie; dzieci oderwał od matki, bo mnich Filaret powiedział:

— Kiedy serce boli, to niechże boli dobrze; cierpienie zasługą przed Bogiem, a Wojewodzina nie święta, ma za co pokutować. —

Biedne dziatki matki wołają, do matki się proszą. I prośbą i groźbą, i łzą, i pocałunkiem nie wyprosić u surowego mnicha nie mogą.

— Matka dla dziecięcia, to skarbnica i zła i dobra; z niej ono wszystko ssie. Żeby wszystko lackie w nich wyplenić, dosyć będzie niech rosną bez matki.

Tetera miasto czarnobrewki czarne więzienie dostał w podarek. Darmo się odwoływał: Nie chciałem iść w pomoc Konstantemu Wyhowskiemu, nie działałem nic przeciw Hetmana władzy, byłem na stronie, i do niczegom się nie mięszał.—

Czerniec rozśmiał się na to gadanie.

— Panie Pułkowniku, kto czeka, to się zawsze doczeka; kto ni za tym, ni za owym nie staje, temu ni ten, ni ów nie jest przyjacielem; bo każdy mu nie ufa, bo taki nie ufa nikomu. Nieufność nie znajdzie ufności, a jak kogo mieć w podejrzeniu, to lepiej mieć w ręku. Lepiej i bezpieczniej człowieka strzedz murem i żelazem, jak okiem i uchem. —

Obie czarnobrewki i Helena i Stefanida z sobą razem siedzą; jedna płacze i żali się, druga już łez na płacz, słów na żal nie ma. Coraz nowe myśli sieje na pokarm dumie i zemście, a czerniec Filaret jeszcze chce ich pocieszać.

— Krasne Panie, Hetman i Pan nasz, o swoich siostrach pamięta; jak on sprawi to co mu ojciec przekazał, po zwycięztwach będą się cieszyły z nim razem, bo to uczczenie pamięci ojca, drogiego wam, drogiego nam.

Jedna czarnobrewka łzy otarła, a pogardą mu odpowiadała; druga dumy okiem ciskała mu pogardę w odpowiedź.

Kto był ten czerniec Filaret? Brat to rodzony Marcina Cieciury, brat bliźniak; jedna matka dnia jednego ich rodziła, i obudwóm z krwią, z mlekiem dała jednę i też samę żądzę wzniesienia się nad wszystkich, panowania wszystkim. Ani szabla, ani mnisza rasa nie mogła być dla obudwóch, podzielili się: każdy wziął jednę z nich, i tak szli z sobą w parze, do jednego celu, do wyższości nad drugich. Przez cały czas byli dla siebie, jak ludzie nieznajomi, z niejednakiego wcale rodu, wspierali siebie wzajem, i dopiero wtenczas ludzie dowiedzieli się, że bracia, kiedy już, już ku potędze się zbliżali. Marcin wiódł wojsko jako namiestnik Hetmana, Filaret wiódł Hetmana co wojsku przewodził.

A z miłosierdzia młodemu Hetmanowi dali krasawicę Putywlankę, i flaszę z owym czarodziejskim trunkiem. Jemu już i tego było za wiele; trunek co go niegdyś zapalał, i przynajmniej na chwilkę robił Hetmanem, teraz nie po swojemu działa. Dziewczyna Putywlanka co raz go wprawiała w Hetmański gniew, teraz w nim nic a nic Hetmańskiego nie obudza.

W komnacie obleczonej karmazynowemi makatami, na złotolitem wezgłowiu siedział młody Hetman; na drugim rogu wezgłowia siedziała dziewczyna Putywlanka. Koło Hetmana stała flasza i srebrna czara; koło dziewicy harfa. Harfa stała oparta o ścianę i drzemała; flasza gniotła wezgłowie, a Hetmańska ręka ni razu nie sięgnęła po nią.

— Parasko, nie chcesz że mi nic zagrać?

— O czemże mam grać, o naszej niewoli?

— O jakiej niewoli? Tyś tu niewolnica, tyś tu Pani!

— Taka Pani jak ty Pan, Panie Hetmanie. —

Urągania uśmiech zwinął się w twarzy dziewicy, i dodał jej blasku życia. Jerzy Chmielnicki zniżył głos:

— Ja tu Pan!

— Flaszy i wezgłowia.

— Nie, nie, nikt tu nie panuje, kiedy ja jestem.

— Z czyjegoż to rozkazu więżą żonę dobrodzieja i opiekuna Hetmańskiego? z czyjegoż rozkazu siostry Hetmańskie jak w więzieniu siedzą?

— Ja temu nic nie winien.

— Z czyjegoż rozkazu więżą a nie sądzą jednego ze starszyzny?

— To nie ja.

— Jeźli nie ty Panie Hetmanie, więc kto tu Pan?

— A ja. Jak tylko zechcę.

— Więc zechcij, i zmień wszystko co się stało; pokazuj się ludowi i bądź Hetmanem. —

Milczał Jerzy Chmielnicki.

— Ty milczysz Panie?

— Nie mówmy o tem Parasko; to na nic się nie przyda.

— A o czemże mamy mówić?

— Parasko, ja ciebie kocham. — Napił się z flaszy, i zbliżył się do dziewicy; dziewica nie uciekała, pojrzała tylko z uśmiechem litości.

— A jak kochać nie pozwolę, Panie Hetmanie?

— Parasko, ty mi urągasz.

— Ja urągać Hetmanowi Ukrainy, memu Panu? o nie, nigdy!

— Raześ mnie już opuściła. — Chciał ją ująć za rękę, ręki nie dała.

— Opuściłam zabójcę własnego szwagra.

— O Boże! — Twarz schował w dłonie. — Odpokutowałem ja to ciężko.

— Zabójstwem Konstantyna Wyhowskiego?

— Litości! litości! — I do wezgłowia się przytulił. —

Dziewica stała nad nim, nie ratowała go, a on był już bez życia. Za ścianą ozwały się jakby dalekiej muzyki odbrzmienia, i śpiewy dziecinnych głosów. Jerzy otwiera oczy, a powieki mu lgnęły jakby snem ciśnięte; z ust się wymykały błędne słowa.

— Aniołowie! — O oni szczęśliwi! Parasko! —

Siłą z wezgłowia zsunął się na klęczki i modlił się, a dziewica cały czas stała i poglądała na niego tą litością co to już, już na pogardę zakrawa; w jej oczach litość od pogardy stanęła o krok jeden. Podniósł czoła ku niej młody Chmielnicki.

— Bóg mi przebaczy! Czegoż ty chcesz Pani moja?

— Bądź Hetmanem —

— Alboż ja nie Hetman? — Chciał po hetmańsku stanąć, nogi w kolanach się zachwiały, osunął się na wezgłowie.

— Któż tu inny Pan?

— I Pan i Hetman tu mnich czerniec.

— Nie, nie Parasko. Ja tu będę Panem, ja tu będę Hetmanem. — Podniósł się z wezgłowia, i był na nogach. —

Jak martwiec z tamtego świata wszedł cicho czerniec. Hetman zadrżał, dziewica pobladła, a już on był między nimi; nie podniósł nawet oczów ku nim.

— Ojcze Hetmanie, już trzeci goniec od Księcia Szeremetiewa zaprasza. — Zatrzymał mowę na tem słowie. — Aby wojsko zaporozkie dążyło ku Słuczy, w kraj lacki; tam się chce z niem połączyć. Jakie będą twoje rozkazy; ojcze Hetmanie?

— Ja nie wiem. Pan Pisarz powinien. — Zaciął się.

Czerniec wzniósł głowę i bez pokory patrzał na świat.

— Dodałem do rady Panu Pisarzowi Leśnickiego, Ładyńskiego, Mecherzyskiego i Głucha.

— Tak, dobrze; to dobrzy Pułkownicy. —

Putywlanka pogardliwym wzrokiem chciała opamiętać młodego Hetmana, a czerniec mówił dalej.

— Wczoraj Pan Asawuła Koszowy wyjechał z Czehryna, nikt nie wie gdzie, i nie powrócił dotąd. Między Atamanami Kurennemi spostrzeżono jakieś rozhowory. Moje podejrzenie pada na dwóch braci Sirków, to przyjaciele Pawła Tetery i Pana Asawuły Koszowego. Rada starszyzny ma się zebrać. Mamy w naszej mocy przybocznego kozaka Pana Wojewody Kijowskiego; poczciwy to człowiek ten Dejneka, samem go badał. Jan Wyhowski zmuszony do oddania ci hetmaństwa, twej spuścizny po ojcu, dziś usiłuje odjąć ci je. Ojcze Hetmanie, trzeba żeby sprawiedliwość surowa i prędka zrobiła koniec tym robotom, grożącym nieszczęściem całemu naszemu narodowi. —

W twarz Putywlanki zajrzał niepokój. Patrzała to na czernca, to na Hetmana. Czerniec jak ptak złowieszczy po Hetmanie wiercił oczyma, a Hetmanowi oczy się zmrużyły. Czy sen je sklejał, czy nie mógł znieść wzroku czernca i dziewicy zarazem. Jakby już w drzemaniu wymawiał:

— Trzeba — trzeba —

Czerniec odszedł, Jerzy Chmielnicki usypiał, czy sen udawał. Cichy głos Putywlanki ozwał się po chwili:

— Nowe zabójstwo, nowa sromota; bądź Hetmanem, a ja twoja. —

Niby przez sen Chmielnickiemu z ust wyleciało:

— Moja! —

Rękę nawet ku dziewicy wyciągnął, i nic więcej; a muzyka zaścienna brzmiała coraz ciszej, coraz ciszej.

Obie córy Bohdanka, jak gdyby gniew zasiadł między nimi, tak milczały. Stefanida w oknie się sparła, i tak tęsknie tam zawisła, jak chmura nad światem. Helena szybko przechadzała się w komnacie, a suknia jej się zawijała jak chmura od wiatru. Weszła służebna i już w komnacie dostała skrwawiony papier.

— Cóż to takiego Nastko? — Stefanida zapytała.

— Kozak Dejneka przywiózł od Pana Wojewody do Pani Wojewodziny; a mu przyrzekłam, że to się do niej dostatnie. —

Trzeba to bratowej oddać, ja będę prosiła Jerzego, żeby mi pozwolił ją widzieć. —

Stanęła Helena.

— Proś raczej Czernca Filareta.

— I jego gotowam prosić. —

Wzięła Helena do rąk papier, czytała:

— Patrz, patrz co pisze: Mów, zachęcaj Konstantyna i Pawła, niech czuwają, niech pocieszają Helenę, ale proś ich i przestrzegaj, niech się nie dadzą uwodzić jej słowom, i nie będą zanadto skwapliwi w spełnianiu jej chęci; bo i z nimi może się to stać, co się stało z biednym Danielem. — Potrzęsła papierem. — Biedny Daniel! biedny! jam go zabiła, a brat pomścić się nie

pozwolił. Biedny Konstanty! a brat pomścić się nie pozwolił. Ja się pomszczę, zobaczysz; Pawła ocalę. — Znowu spojrzała na papier: Czuwaj nad Heleną; bądź jej bratową i matką. Dziękuję, jam nie dziecko, sama nad sobą czuwać będę. Czyta list: W Czehrynie bądźcie, ja za kilka dni tam przybędę. — Już nie czas, już nie czas! — Przeszła się parę razy po komnacie, oddała papier siostrze. — Powiedz Wojewodzinie, że Wojewoda tak chciał jakem ja radziła; teraz niech płacze. A sama poszła ku drzwiom.

— Heleno! Heleno! —

Darmo wołała, już ona wyszła i drzwiami zatrzasła. Szła wprost do hetmańskich komnat. Jerzy Chmielnicki siedział na wezgłowiu, i wzrok spuszczony miał ku kobiercom podłogi. Niedaleko od niego stał Czerniec Filaret, dumą i panowaniem rosły. Putywlanki tam nie było. Czarnobrewka bratu ni głową skinęła, ni słowa na powitanie dała, stanęła przed Czerncem.

— Filarecie, napisz do Marcina Cieciury, że po szczęśliwie skończonej wojnie, nie inaczej może się spodziewać mojej ręki, tylko pod warunkiem, że Paweł Tetera teraz tu żywy zostanie, a potem na wolność wypuszczon będzie. — Spokojnie, bez gniewu te słowa mówiła, ale po twarzy widno, ile ją kosztowało to tajenie uczucia.

Mnich pokłonił się.

— Ojca Hetmana w tem wszystkiem i moc i rada. Mój brat i ja niceśmy więcej jak jego pierwsi słudzy.

— Ja powiedziałam. — Szybko odparła czarnobrewka, i ku bratu się obróciła. — Juryszko, czy dobrze spałeś? —

Jerzemu stanęły w oczach łzy.

— Heleno!

— Biedny ty Juryszko, doprawdy, spać nie mogłeś? —

On milczał.

— Czy jakie czarne widmo stanęło ci przed oczy?

— Siostro, dajże mi pokój.

— Ja ci pokoju dać nie mogę; ja biedna wdowa, ale Putywlanka. —

Skrył w dłonie bladą twarz.

— I ona taka, i wy wszystkie takie. O Boże mój, Boże!

— Tylko nie żal się tak Juryszko; ja ci przyszlę piastunkę naszą, ona ci powie bajkę, ty wiesz tę: Był sobie baj, miał kopę jaj; dał każdemu po jajku, a Jerzemu znosek. Rozumiesz Juryszko, znosek lepszy nad wszystkie inne. Ty Hetmanem. —

Jerzy nie odważył się zmierzyć okiem dumnego oblicza siostry, ale odważył się powiedzieć:

— Ja tu Hetman, ja tu Pan. —

Filaret ciszej wyrzekł do Czarnobrewki:

— Krasna Pani bądź spokojna, tak się stanie, ja ty chcesz. —

Urąganiem zaśmiała się Helena.

— Panuj, panuj Juryszko. — I już jej w komnacie nie było.
— Czego ona odemnie chce?
— Kobieta.
— Prawda, te kobiety — i Paraska.
— Ojcze Hetmanie, a cóż powiedzieć przewielebnemu ojcu Metropolicie?
— Ja nie chcę, nie mogę.
— Powiedzieć mu swoją wolę.
— Nie, nie.
— Jedną chwilkę się z nim widzieć.
— Nie, on będzie mi prawił nauki.
— Na nauki, nauki i rozkaz.
— Ba, on był moim nauczycielem i opiekunem. —
W twarzy Czernca był uśmiech.
— Ależ Hetman Ukrainy lękać się nauczyciela nie ma powodu?
— Nie, ja go nie chcę widzieć Filarecie.
— To niech sobie jedzie.
— Niech jedzie.
— A Kijów zostanie bez Metropolity?
— Nic mu się nie stanie.
— Chyba inny musi być mianowanym na jego miejsce?
— Jak zechcesz!
— Czy mam o tem pisać do Patrjarchy od ojca Hetmana.
— Pisz, napisz, a zostaw mnie. Mnie się tak spać chce. Wierz Filarecie, teraz jak się napiję tego twego trunku, to zaraz mi się na sen zabiera. — Za poziewaniem słowa mówić nie mógł; rzęsy zamgliły oczy, usypiał. Czerniec wzruszył ramionami.
— Hetman, Ukrainy Pan. —

W Kijowie Moskal panem. Kniaź Szeremetiew, Suzdal rodem, z tego północnego szczepu człowiek, u którego: Bóg i Car, Car i Bóg, a więcej nic; przywołał dwóch ludzi do siebie, i oni przed nim stanęli. Jeden wyprostował się jak drzewo, i jak drzewo stał, Moskal widno; w drugim mimo woli samowola wyskakiwała i ruchem i wejrzeniem; to nie Moskal być musi.
— Kniaziu Kozłowski mów, iść naprzód czy tu czekać?
Świetny Kniaziu Szeremetiewie, namiestniku naszego Cara, Bożego namiestnika. Jeźli Lachów dotąd nie spotykamy, a wszystko nam pomyślnie idzie, sława Bogu, sława Carowi, nie gońmy w ich kraj, bo oni najsilniejsi tam; idźmy powoli krok za krokiem i mośćmy panowanie naszemu Carowi, a co raz zabierzemy, tego sobie wydrzeć nie dajmy; i w tem będziemy mieli dosyć sławy, a wiele roboty. Lackie piersi twarde, a ramiona krzepkie; ja to z doświadczenia znam. Świetny Kniaziu,

zdanie to moje, objawiłbym go przed Bogiem i przed Carem, gdyby mi Bóg i Car kazali, tak jak ty każesz Kniaziu. —

Umilkł Kniaź Kozłowski, i stał znowu jak drzewo. Kniaź Szeremetiew na to ni słowa mu nie powiedział, ku drugiemu się obrócił.

— Marcinie Cieciuro, a ty jak?

— Panie Kniaziu! — Ręką machnął. — Ot ja tak wiem. Lachy dużo odważni, kiedy im kto ogon pokazuje, a jak zęby wyszczerzy to oni temu nie radzi, zaraz z pola drała i do lasu. Szlachta u nich durna, czysty motłoch; rwie się do rady, a słuchać ani weź; lud zmitrężony, krzywo na nich patrzy; wojsko niepłatne, panów Hetmanów za baj bardzo ma, pozapasało się i porozlegało się po starostwach, bez pieniędzy Ojczyzny bronić ani myśli; taki już im wszystkim idzie na marne imię. Ot my z takim hetmanem jak Juryszko, jak tylko na chwilę wyjechał Pan Wojewoda z Kijowa, zajęliśmy Ukrainę i Ruś całą, Szwed Prusy zabrał, Litwa od samego przestrachu jego miłości Carowi waszemu się poddała. Nic mają tylko kąt ziemi, jak w matni tam siedzą. Ot Panie Kniaziu, chodźmy a żywo, zabierzemy ich w garść, albo nie, to pouciekają gdzieś het na kraj świata. Wy zrobicie z lackim krajem co zechcecie, a my pójdziemy do siebie swoim pługiem orać, i swoje zboże dla siebie siać; będziemy się modlili za Cara, i za was Panie Kniaziu. —

Kniaź Szeremetiew pogładził się po głowie.

— Marcinie Cieciuro, dobrze mówisz. A ty Kniaziu, już się zestarzałeś; twoje serce zajęczem się stało, a tyś jak stary pies, niedołęga, nie wart nic więcej jak na jatki pójść. — Kozłowski milczał, a Szeremetiew załajał mu jeszcze w ojca, w matkę, po moskiewsku; byłby może jeszcze i pięścią przypieczętował, bo palce w kułaki ściskał, ale jakoś do tego nie przyszło; chwycił za srebrny krzyż z Chrystusem Panem.

— Za Boga i Zbawiciela ciebie mieć nie będę, kiedy ty mnie królestwa Lackiego i Króla Lachów do rąk nie oddasz, żebym ja to wszystko pod nogi złożył mojemu wielkiemu Carowi. —

I wnet dał całemu wojsku rozkaz do pochodu.

I wojsko szło w pochód.

Do Marcina Cieciury stawiło się dwóch gońców. Przy wyjściu obudwom odprawy dawał; jeden przyjechał z Czehryna; drugi z gdzieś daleka. Z Czehryna był sotnik Starodubowskiego pułku, poufały druh Cieciury.

— Po co było puszczać Asawulę Koszowego?

— Radbym ja wiedział, czy taki jest na świecie, coby zatrzymał Pana Brzuchowieckiego.

— U sto djabłów! — Pokazał na szablę, pokazał na pistolet.

— I on ma szablę i dobrą szablę, a kula go nie ima.

— A z temi Sirkami na co te korowody?

— I jam to mówił, że to djabła warto; ale kiedy tak przewielebny kazał.—

I ten przewielebny, jak się czasem rozpora, to sie pora jak szara gęś. Cóż to, on chce obżenić Juryszkę?

— Tak to coś na to zakrawa.

— Ja tego nie chcę, z tego nic nie będzie. Niechby sobie Sirko był skradł dziewczynę, jak tatarskiego konia, i leciał z nią w step gdzie budiaki rosną. Djabeł wie co tam robią. Zawicź mu ten papier odemnie, i powiedz niech się trzyma tego co ja każę, jak pijany płotu; inaczej licha narobimy, i mogą nas djabli porwać. —

Drugi goniec był stary Naum pohany.

— I cóż tam ojcze Naumie?

— Synu, niedobrze, Pan Wojewoda już był nam w rękach, a teraz popsuło się to wszystko.

— Czemże się popsuło u djabła?

— O ten Grzegorz Brzuchowiecki, to prawdziwy djabeł.

— Co ci jest Naumie?

— Co mi jest? — Marcinie Cieciuro, ty wiesz jak ja was kocham, obudwóch was wyhodowałem, i prowadziłem tak, abyście byli pierwszymi w Ukrainie. Ojcu tu waszemu i matce przyrzekłem, a teraz niedobrze.

— Czemu niedobrze Naumie? wszystko nam idzie.

— Słuchaj synu, dziad znachor rozumniejszy odemnie, rozumniejszy od nas wszystkich, co lepiej i prędzej w tem co było i co będzie czytał jak djak w psałterzu. Przy waszem narodzeniu mówił: To sokolęta co albo wysoko wzlecą, albo wysoko wznieść ich mogą; strzeżcie ich od trzech przeddnieprzańskich orłów; zuzula z wielkiego orlego gniazda im dopomoże, i zbękarciałe orle tegoż gniazda; ale jeźli trzej orłowie nie przepadną, i wszystkie ptaki co idą z tych orłów krwi, to biada, biada sokolętom. — Rozumieszże teraz Marcinie Cieciuro?

— Rozumiem; to też na ostatniego orła kolej.

— A Tetera, a Brzuchowiecki orlej krwi?

— Paweł w naszej mocy.

— To źle, że w ludzkiej mocy, czemu już nie w mocy Bożej albo djabłej?

— Jeszcze teraz nie można.

— Trzeba koniecznie.

— Trochę później.

— Patrz synu żebyś nie żałował; bić żelazo kiedy gorące.

— Nie można, nie można, Naumie. —

Zadumał się Cieciura, ale na odżegnanie dumania i ciekawego oka Nauma, znowu zapytał.

— Mów mi jeszcze raz, jakże tam u Lachów?

— Już mówiłem, że tak tam tobie wierzą, jak ty im wierzysz; to jest ani mniej ani więcej jak nie —

— Mniejsza o to, teraz ja z nich drwię.

— Także drwisz i z Tetery?

— Drwię.

— I z Brzuchowieckiego?

— Drwię.

— Oj nie drwij, nie drwij synu, żeby czasem z nas nie zadrwili. —

Naburmusił się Cieciura. — Dosyć tego, już mnie jechać czas. —

Niebo było gwiaździste, księżyc płynął po niebieskiem morzu, i o gwiazdy nie zawadzał, i gwiazd nie potrącał; dobry tam sternik z wysoka nim kierował. Po nad Bohem jechało dwóch jeźdźców, w rzekę nie patrzą, a tam w wodę tysiące gwiazd padło i błyszczą, a tam drugi księżyc, taki sam jak na niebie, korytem płynie, a nad wodą brzegowe wierzby się chylą; chce się im podostawać i księżyc i gwiazdy, a tylko wodę mogą musnąć. Nad brzegami siwieją strome skały, poolbrzymione światłem nocy, niby zamki warowne, walą się ogromem cieniów w rzekę; niby na strażnicy tych zamków puhacz puhacze, wodę przestrzega: prędko, prędko płyń, bo się koryto twe zawali; i woda rwie w prądy, i prądami się taszczy. Czy ci jeźdźcc cali czarni, to widma Ukrainy, że tak jadą a jadą, a nic o ich oko nie zawadzi.

— I Zaporoże z nimi?

— Z nimi.

— I dzieci, i żona moja u nich?

— U nich. —

Czy ten drugi jeździec odpowiadał jednem słowem, czy to rozgłos między skały nadbohowe rozbijał ostatnie słowo.

— A pułki moje gdzie?

— W Barze.

— Chwała Bogu. Lasko z nimi?

— Z nimi.

— Grzegorzu, staniesz na ich czele?

— Będę przy tobie.

— Sprobujemy słowami pokoju naprawić złe.

— Napróżno.

— A więc musi nastąpić wojna.

— Musi.

— Będziemyż się bili przeciw własnym braciom? —

— Panie Wojewodo, będziecie się bili.

— A ty Grzegorzu?

— Będę przy tobie. —

Znowu zamilkli, i znowu Bóh słuchał ludzkiej mowy.

— Biedny Konstanty, taki młody!
— Szkoda jego.
— A Paweł czemu sam wlazł w niebezpieczeństwo?
— Tak mu się zachciało.
— Ha! —
— Jego nikt nie odgadnie. — Spojrzał w lewo za rzekę. — Tam im gdzieś na szlakach zimno czekać.
— To tam ich wszędzie na mnie porozstawiano.
— Cieciura miściuk rozstawiać umie, zna prykmety.
— Czy Zaporoże na takie rzeczy się puściło?
— O nie! Starodubowce i Perejasławce, to jego wierna psiarnia.
— Biedny nasz kraj!
— Czyja wina?
— A czyjaż?
— Twoja Panie Wojewodo.
— A to dla czego?
— Czemuś nie Hetman nasz?
— Nie mogłem, przyrzekłem, musialem dotrzymać, byłaby wojna domowa.
— Teraz już jest, i będzie.
— Trzeba temu zaradzić.
— Ja wiem jak.
— Wuju, ojcze nasz, przestań być Łackim Wojewodą, a bądź znowu Hetmanem Ukrainy.
— Nie, nie mogę; tego nigdy nie będzie.
— To i źle będzie.

XVII.

LACHY POD LUBARTOWEM.

Wyszły w pole Lackie wojska, takie ochocze jak ptaki na wiosnę. Dwóch Hetmanów, pięciu Wojewodów, dwudziestu pięciu Starostów i urzędników Koronnych wiodło to wojsko.

Husarze jak za Bolesławów skrzydła do bark przypięli; kiedy konie w kłus, w skoki pójdą, do lotu podrywają się z siodeł jak archanioły wojny. Pancerni niby wieżyce żelazne suną, a proporce furkoczą im nad głowami. Wywijają się lekkie chorągwie w kozaczych strojach, ciągną szwadrony dragonii i pułki rajtarskie; dwanaście regimentów piechoty jak powódź się leje, harmaty się toczą, ziemia jęczy, w powietrzu braszcze, tak jak gdyby pod ziemią dzwony pojękiwały.

Pod Lubar ośmiu szlakami ciągnęło lackie wojsko. Po samej lewicy przywodził Jan Sobieski chorąży koronny, z nim husarskie znaki jego imienia, pancerna chorągiew Bałabana, dragońskie pułki Bukara, Łączyńskiego i Gisy, i dziesięć lackich chorągwi pod Adamem Działyńskim bracławskim starostą. Drugim szlakiem od lewicy Dymitr i Konstantyn książęta Wiśniowieccy wiedli swoje własne wojsko: ośm husarskich, dwanaście pancernych, a szesnaście lekkich chorągwi; szło i dwadzieścia szwadronów nadwornej dragonii. Wszystko to stare żołnierstwo, co zęby zjadło na bojach, pod Jeremim dzieckiem i ojcem wojny, panem i kochankiem pustyni. Starszy z braci Wojewoda Belzki, młodszy Kowieński Starosta, oba przyuczeni do nałogu Jeremiego: wszystko a wszystko dla Ojczyzny. Dalej Zamojski Sandomierski Wojewoda wiódł niemieckie piechoty Grotauzena, Celarego, Dawidsona, Wolrabena, Oszopa i Debolego; z nim szedł Stanisław Jabłonowski z rajtarami niemieckimi Gordona i hrabiego Szantilji. Wojsko czwartego szlaku od lewicy było pod wodzą samego wielkiego Hetmana Korony. Stanisław Potocki jechał kolasą, a Jakób, Karol, Dominik, Franciszek rodzeni, Jędrzej i Feliks stryjeczni bracia; a wszyscy Potoccy a wszyscy Starostowie, wiedli każdy po sześć chorągwi,

oprócz dwudziestu Hetmańskich i Hetmańskiej dragonii, które szły pod wodzą rodzonego syna Hetmana. Drugi Jędrzej Potocki obożny koronny wiódł trzydzieści harmat i siła puszkarzy; przy nim ciągnęły wozy ładowne w amunicje i żywność. Sami Potoccy tam dowodzili; bujna to i płodna rodzina w rycerskich mężów dla Polski! w niej co się urodzi, to najczęściej chłopiec, a co chłopiec to zawsze rycerski mąż. Tuż obok tego szlaku, szedł szlakiem Michał książę Czortoryski Bracławski Wojewoda; pod jego rozkazami ciągnęły piesze pułki, Niemirycza Stefana, Koryckiego, Erlera, Linkanża, Wolfa i księcia Radziwiłła, i konne znaki Czartoryskich imienia. Nad temi znakami powiewa błękitna chorągiew, z niej się wydziera srebrny jeździec, i całym pędem pogoni skakać chce do lubartowego grodu; bo to gród jego pana, pierwsza siedziba tego Jagiellońskiego szczepu. Szósty szereg wojska wiódł Bieniewski Wojewoda Czernihowski, a z nim Daniłowicz Starosta. Samych białorusińskich chorągwi było trzydzieści i sześć, a niemi rotmistrzowali sami białorusini. Drugim szlakiem od prawicy szedł Hetman Polny Jerzy Lubomirski; wielki to pan i dzielny żołnierz; przyprowadził sorokowiec chorągwi wyćwiczonych na Szwedach i na Moskalach; z nim byli dwaj wojenni mężowie: Samuel Leszczyński i Stanisław Lubomirski Starostowie. Po samej prawicy wiódł Jan Wyhowski Kijowski Wojewoda, dwa tuziny swoich chorągwi kozaczych, i pod jego zarządem szło dwadzieścia tysięcy hordy tatarskiej z Nuradynem Sułtanem. Kiedy kozacza pieśń zagrzmi, i Perokopce po swojemu zawrzeszczą, wrony koń się zaczwani, hulaszczo wyskakuje jak gdyby wiózł na sobie kozaczego Hetmana, i Janowi Wyhowskiemu się zdaje, że on znowu Ukrainy Panem. Brzuchowieckiego ręka gwałtem się wionie do rękojeści szabli, spojrzy w górę: przy czapce nie masz czaplego pióra, stuknie rękojeść w rękojeść jak gdyby na wieczne czasy szable zabijał w pochwę, i koniem sadzi tuż, tuż przy Wojewodzie.

Pełno sześćdziesiąt tysięcy ludu było w tem wojsku; prędko ono ciągnęło po Lubar.

Nad Wołyńską Słuczą, w Lubartowym grodzie Kniaź Szeremetiew z Moskalami, i Marcin Ciecіura z Zadnieprzańskiemi kozakami. Już od parę dni stanęli, i szeroko w koło miasta rozłożyli się obozem.

Het tam w dali widno Lubartowy gród. Tatary na czambuł, lekkie chorągwie w harc biegną, a za tą przeponą wojsko w szyk się stawi. Wielki Hetman chory, febra go męczy, drży od zimna, z pod białych włosów zimny pot kroplami pada, zęby o zęby stukają, a on woła:

— Konia! hej konia! —

Hetman polny: Wojewodowie go proszą:

— Panie Hetmanie, szanuj twe zdrowie drogie dla Ojczy-

zny, spocznij, póki choroba nie ulży, a znowu będziesz nami przywodził. Inaczej musielibyśmy zdawać ciężki rachunek przed Królem i Rzeczpospolitą. —

Starzec powstał na nogi, za kolasę ręką się trzymał, sam drżał i kolasa drżała, a słowa dygotały, i rwały się w połowie.

— Uchowaj Boże, bym ja Senator kolegów Senatorów, Hetman, wojsko miał opuszczać, i to w chwili, kiedy z nieprzyjacielem zewrzeć się mamy? Siedemnastego roku jeszcze nie miałem, a już odebrałem chrzciny wojenne; od tego czasu ani jednej wojny nie opuściłem, żebym tam nie niósł mojego życia na posługi Ojczyznie; krwią moją i znojem dosłużyłem się wielkiej buławy, przeliczyłem już sześćdziesiąt lat, i teraże mam dbać o życie? jak mazgaj jaki zamrzeć gdzieś w kącie, za piecem, i strawić marnie sławę drogo i po szczeremu nabytą? Nie daj tego Boże, a wy panowie bracia nie namawiajcie mnie do takiej rzeczy. Jak mi sił nie stanie do szabli, to oddechem przeć będę nieprzyjaciela, a wojska mego nie opuszczę. Wróg by więcej niczego nie chciał; przed światem by głosił: Hetman zląkłszy się nas, z pola pierwszy umknął. O nie! tego nie będzie. Hetmanowi na marach wracać z pola bitwy, a nie w kolasie. Hej konia! konia! —

Mowa ta starca z zimna w gorączkę wtrąciła; już twarz się żarzy, i oko żarzy, a kiedy mu konia przyprowadzono, sam w strzemień się podniósł, i na siodle siadł. Dwóch sążnistych hajduków jechało obok, siwy koń stąpał pod Hetmanem, a siwy Hetman do wojska przemawiał.

— Tylko po staremu Mościpanowie, jeśli mamy zginąć, to idźmy na tamten świat w dobrej przyjaźni, tak żeby Hetman z was był rad, a wy radzi z Hetmana. Jeśli zwyciężymy, co nam Bóg pewnie da, to trzeba żebyście mieli za co dobrze mnie w oczy patrzeć, a ja żebym mógł wam powiedzieć: dziękuję Waszmościom. —

Młodym gaszkom jeszcze nieokopconym prochem, ani skiereszowanym szablą, po ojcowsku radził.

— Synu, konia bodź, a ręki nie żałuj; to i będzie dobrze. —

Rajtarom i piechurom niemcom nic nie mówił, bo to zwyczajnie jurgieltnicy za pieniądze. Słowa za nic mają, a pieniądz u nich rzecz. Przez pułkowników kazał im powiedzieć:

— Jak będzie dobrze, to po dziesięć tynfów z własnej szkatuły każdemu dam, a jak źle, to poodprawiam do licha i świadectw dać nie każę. —

Tak siwy Hetman zachęcał, i sprawiał szyk wojska. Wszystko było gotowe do boju, jak wóz wysmarowany i zaprzężony, tylko krzyknąć Hau! to i pojedzie.

Jan Wyhowski harcem przywodził. Zadrgało kozacze życie, hulał koniem, z końca w koniec przed harcownikami prze-

biegał, okiem zerkał jak błyskawicą, głosem jak gromem grzmiał rozkazy: jak mu czasem nie stanie na głos, szablą machnął tam i sam, i wszystko się wiało, wszystko skakało w stronę gdzie wojewoda kazał. Prą Moskwę, rąbią, kolą, i z rusznic jak do zwierza palą. Moskwa się odgryza, ale za pierwsze przekopy umyka, z za przekopów ją wyparli; w miasto się chroni. Lackie wojsko następnie bojowym szykiem, harmaty naprzód się wysuwają, ale wieczór bez litości z szarym mrokiem nadbiegł, a za nim ślad w ślad przysunęła i noc ciemna, drużka złodziejom i wiłkom, a zła świekra ludziom sławy. W mieście Lubarze na wałach i po nad brzegami Słuczy płoną mnogie ognie, i w Lackim obozie pozapalone ogniska. Na przekorę to ciemnej nocy.

Kiedy tak dwa wojska zdybały się pod Lubartowym grodem, i czekały tylko jutrzni do rozprawy, do Kotelni pod Żytomierz ściągnęło kozacze wojsko z Hetmanem Juryszką. Z Hetmanem był czerniec Filaret i dziewica Putywlanka. Ledwie Juryszka zsiadł z konia i wszedł pod namiot bogaty, kobiercami wyslany, ociągnięty powoloczą, stanęła przed nim dziewica, piękna jak nigdy nie była taką; ale już smutek i zadumienie odwinęły się od niej; oko w oko patrzy Juryszce, ale nie litością, ale nie urąganiem.

— Panie Hetmanie, czego mnie wozisz z sobą, jam ci ani żoną, ani kochanką? —

— Parasko, ja ciebie kocham. —

— Kiedy mnie kochasz, dajże mi wolność i spokój; to jedno w twej mocy. —

— Ja żyć bez ciebie nie mogę! —

— A ja nie mogę żyć z tobą, Panie Hetmanie. —

— Ty będziesz moją żoną! —

— Nie, nigdy! —

— Będziesz Parasko. —

— Ot widzisz. — Dwa palce złożyła na krzyż, i do ust przyłożyła. — Przysięgam przed Bogiem, że nigdy nie będę twoją. — Mówiąc te słowa całowała krzyż z palców złożony. — Puść mnie teraz, puść! —

Juryszka porwał za rękę dziewicę:

— Co ty robisz? Imienia Bożego wzywasz! —

— Już się stało, puść mnie teraz Panie Hetmanie. —

— Dziewico opamiętaj się, ja tu Hetman. —

Postawa Juryszki nabierała niezwyklej powagi.

— Dla tego żeś Hetman, bądź sprawiedliwym; co ci przyjdzie ze zmarnowania młodości biednej dziewczyny? Puść mnie, puść, ja ci będę dziękować, ja ci będę błogosławić. — Szczera

prożba w oczach dziewicy, znakiem pokory chyli się przed Juryszką.

Juryszce twarz ożyła, trzymał się ręki Putywlanki.

— Dziewico, ty mnie nie kochasz. Ja Hetman, ja Ukrainy Pan, sercu rozkazać nie mogę, nie mogę! Nie kochaj mnie, ale zostań ze mną; bądź mi siostrą, bądź mi przyjaciołką; bądź czem zechcesz, ale zostań ze mną. Bez ciebie jabym umarł, bez ciebie stać się gotowym zbrodniarzem, ot takim szkaradnym, jakiego nie było. Parasko, tyś moim Aniołem; gdybyś była ze mną, Konstanty byłby żył, a ja nie byłbym zabójcą. — Jedną dłonią trzymał dłoń Putywlanki, drugą znużenie ocierał z czoła, a taki był blady, jak gdyby krew mu w wodę się zamieniła.

— Widzisz Parasko, tyś ze mną, w Czehrynie nikt a nikt życia nie stracił, i nie straci. Jak ja na ciebie patrzę, jak do ciebie mówię, jak ty do mnie słowo przemówisz, to ja wtenczas taki dobry, tak wszystkich kocham, że dla całego świata chciałbym nieba przychylić, i niebem go nakarmić; a jak ciebie nie widzę, to mi takie zło na sercu siada, że ot tą szablą radbym machać dopóty, dopóki wszystkim głów nie pościnam. Parasko, kiedy nie chcesz być Panią Ukrainy, bądźże Ukrainy Opiekunką. —

Dziewica milczała, ale nie wyrywała ręki z ręki Chmielnickiego. On dalej błagał:

— Zobaczysz, ty do mnie przywykniesz, będę ci ojcem w czuwaniu nad tobą, i dzieckiem w posłuszeństwie tobie; będę twoim kochankiem, choćbyś ty mnie najmniej, ani troszkę nie kochała. Powiedz: zostaję, a ja będę szczęśliwym, zrobię co zechcesz. Powiedz: żoną twoją będę, a zobaczysz jak wielkim Hetmanem zostanę, tak wielkim, a może i większym jak był mój ojciec. —

Mieni się twarz dziewicy, mienią się jej oczy, a trudno na słowo, na jedno słowo się zdobyć. Ona czuje, że młody Hetman nad bezdnią stoi, i trzyma się jej ręki jak topielec; niech mu tylko ją usunie, a bezdnia przed nim, a żadnego ratunku przy nim.

— Powiedz słowo, jedno słowo: tak, mów, powiedz tak. —

— A więźniowie w Czehryńskim zamku? —

— Każę uwolnić natychmiast. —

— A ci co tu są? —

— Dwaj Sirkowie? — Zachwiał się trochę głos Hetmański.

— Wszyscy, jacy są. —

— Uwolnić każę zaraz. —

— I z Moskwą się nie połączysz, Panie Hetmanie?

— Nie, nie, tu będę stał; do Lachów poszlę. —

— Zostaję. —

— Zostajesz! moja luba! moja jedyna! moją będziesz? —

— Twoją. —

Całował jej ręce młody Hetman, i ona mu pocałunków nie wzbraniała; taki był szczęśliwy, że już ni razu nie tknął swojej flaszy, a nie czuł ani przesytu, ani zmęczenia życia, był młody i hoży.

Zaraz słał po Piotra Doroszenkę, i po starszyznę kozaczą, z niemi radził, rozkazy dawał, a mnicha Filareta tam widno nie było. Wszystkim dziw, tego nigdy nie bywało. Leśnicki ten dawny przyjaciel Bohdana Chmielnickiego upatruje w nim podobieństwo do ojca, i nakręca w swojej pamięci, że nieboszczyk Bohdan w wielkiej młodości nie takim głaźnym był jak później. Stary Nosacz z Hulanickim rozmawiają.

— Może z niego co i będzie. —

— Jak koń dobrego rodu, dopiero w siódmym roku dzielnieje.

— To i dobrze, dłużej będzie nam służył.

— Jak ojciec, będzie kochał naród kozaczy, a jak nasz Iwan, chce z bracią Lachami trzymać.

— Chwała Bogu, bo już to niechby się tam działo co chciało, a jabym przeciw Iwanowi szabli ni podniósł.

— O i ja także! to nasz serdeczny ojciec; choć on nas porzucił, mybyśmy go nie byli porzucili. —

Juryszka pokazał się Panom młodcom, i przemawiał do nich już nie jak opętaniec jaki, ale tak jak wszyscy ludzie mówią do rzeczy. Obaj Sirkowie wolność dostali, i sam Chmielnicki dobrem słowem zdjął z nich żal jaki mieli. Asawuła Mazepa pojechał z rozkazami do Czehryna, do Ładyńskiego.

Czerniec Filaret stanął przed Hetmanem. Juryszka się uśmiechnął.

— Będziesz rad Filarecie, łaska moja spadła na wszystkich.

— Wiem o tem.

— Wiesz o tem Filarecie, że wojować nie chcę z Lachami?

— Twoja wola ojcze Hetmanie, ale już nie czas. —

Chciał wziąść na siebie postać pokornego mnicha, nadarmo. Nawykł do rozkazującej dumy, i nawyczka pojawiła się całkowicie. Juryszka to spostrzegł.

— Idź Filarecie, śpiewaj akafest, żeby nam Pan Bóg dobro dał. —

Rzucił głową jak zniecierpliwiony wędzidłem, ale zniósł tę zniewagę, choć ona była rzeczoną w obec Piotra Doroszenki. Zamilkł, a Juryszka jeszcze dorzucił słówko jakby tego nie dość było:

— Pójdź Filarecie, zobacz czy tutejska cerkiew ma dosyć świeczek? —

Mnich stał jakby skamieniały.

— Czego stoisz Filarecie? idź. —

Na słowo się zdobył: — Czy ojciec nie ma mi nic więcej do rozkazania?

— Nic. — Odwrócił się. — Panie Pisarzu, zaraz będziemy mówili z sobą o wszystkiem. —

W trzeciej komnacie spotkał mnich Putywlankę, zatrzymał się przed nią.

— Dziewico, co to się dzieje?

— Ty lepiej wiesz, ojcze Filarecie.

— Słuchaj dziewico, chesz ty wolności?

— Jam wolna.

— Chceszże ztąd wyjechać?

— Nie.

— Sirko wolny.

— Ja wiem.

— Może chcesz być Hetmańską żoną?

— Cóż ci z tego, żebyś wiedział moje chcenie, ojcze Filarecie.

— Co, ja gotówem wszystko zrobić co ty każesz; krasna dziewico, mów czego chcesz?

— Ojcze Filarecie zmów pacierz za mną. —

I już mnicha przy niej nie było, tylko zasłyszała mrukliwe słowa: świeczki, pacierz; zapalę, zmówię.

Koło pustej dzwonnicy dwóch ludzi rozmawiało, i tam był jeszcze czerniec Filaret, i starzec rudobrody, rudowłosy jak szerszeń:

— Marcin dobrze powiadał.

— Chciałem lepiej zrobić.

— A teraz djabła sprawa.

— Potrafię jeszcze tu mu zakłócić.

— Na nic się to nie przyda, nikt tu ciebie nie posłucha.

— A Zadnieprzańce?

— Marcin daleko, a i tam są: Wysoczan, Krzyżanowski.

— Imieniem Wojewody?

— Dostańże go.

— Ja dostanę.

— I to czy się uda, na dwoje babka wróżyła; a gdyby się udało, to niebezpieczna gra.

— Cóż robić?

— W samym zarodzie zle leczyć. Marcin to umie, widziałeś w Perejasławiu?

— Zróbmy to samo.

— Już nie czas. —

I żadnego słowa przez chwilę słychać nie było, a potem, a potem starzec się rozmyślał:

— Jedna rzecz.

— Jaka?

— Możesz mnie do niej doprowadzić?

— Nie wiem — to trudno — niepodobna.
— Ty tego nie potrafisz.
— Co? mów!
— Sztuczką sztuczkę zakończyć. — Z pod świty dał mu jakąś rzecz, mnich wziął rękę, i z ręką pod szatę schował.
— Tym. —
— Tym samym. Zobaczysz jak nie ustanie, to będzie inakszy. Ty drżysz Filarecie?
— Nie, ale bo to
— Słuchaj, jak nie, to daj pokój; idź zapalać świeczki, śpiewać akafest, a nie myśl o niczem więcej: już skończona, ja idę.
— Nie, nie, ja skończę. —

Godziny nie upłynęło a czerniec Filaret przechadzał się po pustym sadzie z kozakiem Dejneką; szary mrok krył ich przed okiem ludzkiem, a cicha mowa nie leciała w żadne cudze ucho.
— Niech Wojewoda dziś się zjawi, a wszystko będzie za nim.
— Ja wiem to, ale Marcin?
— Ręczę za brata, oddawna my pracujemy, żeby pokazać ludowi, że Juryszka to nie Bohdanko; że nie każdy Chmielnicki na Hetmana.
— Czemuż Marcin tak szył buty Wojewodzie?
— Wtenczas dopiero kiedy dowiedział się, że nas chce porzucić.
— No.
— Tak, tak wierz mi, to wszystko powiedz.
— Dobrze.
— Powiedz, że ztąd się nie ruszymy, można nas przeciąć od Moskwy, a Marcin swoje zrobi, ja do niego posyłam.
— Żeby to temu wszystkiemu prawda była!
— Zobaczysz, tylko niech Wojewoda pamięta.
— O! on nikogo nie zapomina.
— A trzeba spieszyć, bo czas drogi.
— Spuść się na mnie, nie zaśpię.
— Ruszaj panie bracie, oto masz kartkę.
— Dobrze, bywaj zdrów ojcze.
— Bądź zdrów, niech cię Bóg prowadzi. —

Sam został, chwilę milczał, zaszemrał. Niech djabli was wszystkich prowadzą; potem jak kot sznurkował między drzewa, i podsycał myśli jakby kociem pomrukiwaniem. Tak chodził, tak nudził aż do ciemnej nocy; wrócił do obozu, pod namiot Hetmański idzie. Jerzy Chmielnicki nie biesiaduje, tylko naradza się ze starszyzną. Mnichowi straż szablami zagrodzila

wnijście, tak pan Hetman kazał. Czerniec odchodził i ozierał się na namiot.

Jeden sługa dworak, z myślą w głowie, że laska pańska to tak, to owak z wiatrem się zmienia, czerncowi gadał:

— Hetman do dworu Putywlankę odprowadził, długo tam bawił i ze starszyzną pod namiot powrócił. Wielebny ojcze musisz wiedzieć, że ma być wesele pana Hetmana. Posłano po Prokopa, a nim Putywlanki ojciec przybędzie, swatowie jutro mają iść do Putywlanki. — Sługa posłaniał głową — dla zwyczaju tylko.

Czerniec powtórzył: dla zwyczaju tylko — dodał, pójdę. — I do dworu poszedł.

Putywlanka jeszcze nie spała, klęczy przed obrazem Matki dziewicy i modli się; ciemne warkocze strumieniem płyną na śnieżne ramiona; w oczach łzy perły zawisły, usta szemrzą, i po licu nie boleść, ale dobro jakieś się wila. Z obrazu Matka dziewica łaską na nią patrzy, i promień świecznicy łaską dla niej jaśnieje. Taka ona jasna, jak gdyby aniół stróż w czyste serce swoim tchem wionął; jak gdyby dziewicę ziemiankę swoją anielską jasnością ojaśnił.

Cicho, pomalutku drzwi się uchyliły, i stanęła we drzwiach postać czarna; jedną ręką zwolna od klamki rozprostowuje, a drugą za szatę trzyma. Stanęła i stoi, z miejsca i kroku nie rusza, niby cień kotary na jaśniejszych drzwiach. A dziewica nic nie słyszy, okiem po za siebie nie rzuca, do Bogarodzicy się modli.

Noc, noc na świecie. Z dworu wychodził ciemny człowiek, ciemniejszy jak tło nocy; między straże przesunął się jak bezcielny duch: nikt go nie chwycił, ni słowem, ni żelazem; dopiero już za strażami ktoś mu drogę zaszedł.

— A co?

— Śpi.

— Nic, nic, woli brak.

— Śpi, śpi.

— A duma jest?

— Śpi. —

Wszystko skończone.

I milczenie noc kończyło.

Dzień biały. Lachy stoją i patrzą. Lubartów gród przed nimi, a Moskwy nie widno tam. Lachy na koń, ostrogami dmuchają, a konia wiatrem prą. Tatary na koniach stadami jak

ptaki lecą, hurmy konne jak fale jakie po polu się rozhasały. Już, już łackie konie w Lubarze tętnią, a tam moskiewskiej duszy nie masz! Moskwa znikła za Słucz, w stepy; przed Lachami rzeka, końmi wpław i już na drugiej stronie; przed Lachami step, hejże hulać po stepie, u Lachów nie ma żartu.

Koło Nastynnych karczem zachwycili Moskwę, ludzi kołą i sieką, tabory biorą, a moskiewskie wojsko jak gadzina padalec sunie się stepem; ogon kawałkami gubi, a sama pełznie dalej a dalej.

Lachom jak jastrzębiom białki oczów krwią zaszły, szporami, szabłami tną w Moskwę, krew tryska, ziemia się juszy.

Wojewoda Kijowski na wronym koniu skacze, rozkazy daje. Brzuchowiecki przy nim; kilka razy jak chart ze smyczy pomknie, Moskala trzepnie, zwali i nazad przybieży, zaoskomi się i znowu skomli jak na smyczy chart, paznogciami przebiera jak sokoł na berle: do lotu, do lotu.

Stary Cudnow w dali. Moskwa niby do boju stawać chce, jazdę na powrót wiedzie, a tabory piesze usuwa dalej. U Lachów trąbią w szyk. Chorągwie się kupią, Hetmani z wojskiem ciągną w kłus. Wojewoda Kijowski pojrzał okiem, raz, drugi; z łackiemi chorągwiami w prawo się pociągał, tatarstwo w lewo rzucił, i na nowy harc rozkazy dał.

Aż tu polem kopie jeździec, nie od Moskwy się oderwał, z lasu wyhulknął, połciem przeleciał przed Tatarami, nie jednej strzale się pokłonił, na Lachów skacze, a Lachy nie hukną nań: to pojedynek jakiś. Kiedy zuch, niech podjedzie tu, a dostanie; ręką macha, a w ręku szabla nie błyska. Wojewoda tam podjeżdża, wrony zarżał, i koń jeźdźca; poznali się.

— Dejneko!

— Dejneko Panie.

— A co tam?

— Zdrowi, zdrowi.—

Dejneka konia osadził. Wojewoda naprzód koniem skoczył, chorągwie wiódł, a harcownicy parli Moskwę aż pod sam Cudnow.

XVIII.

POWTÓRE HETMANEM.

— Jeszcze Wyhowscy, jeszcze? — Gonić, łapać tego przeklętego psa! Iść na Lachów! Panie pisarzu, zaraz niech wojsko w pochód rusza; co do jednego wyplenię wszystkich. Z tego kraju step zrobię, taki step szczery jak na Nogaju; gdzie sioła, gdzie grody, tam mogiły porosną. Niech w późne wieki tej ziemi iuaczej nie zwą, jak kraj mogił. Kto mi go dogoni i żywego czy umarłego przywiezie, dam mu kraju i ludzi tyle ile zechce, a za każdego Wyhowskiego, pułkowództwo, zamki i starostwa. Rozumiecie? Do Czehryna posłać; zaraz niech wszystko wywieszają, wszystkich co noszą imię Wyhowskich, co do nich należą. Rozumiecie? Ja każę, zaraz, zaraz. —

Obłąkanym wzrokiem rzucał, a oczy mu były ogniste, jak gwiazdy latawce, ręce w ciągłem hasaniu, a nogi drżały. Nikt mu nie odpowiadał, i on odpowiedzi nie czekał. Wołał Filareta czernca i szedł z nim z namiotu do dworu.

— Ja taki byłem szczęśliwy? wczoraj, ona jeszcze—wszystko, wszystko przyrzekła — Filarecie tyś mówił, ten człowiek nam wierny, a on?

— Któżby mógł się spodziewać? Ojcze Hetmanie, tyś mnie oddalił od siebie, inni byli przy twym boku. —

— Prawda, prawda.

— Póki ja byłem

— Filarecie, trzeba było mimo mnie czuwać nademną, nad nią.

— Ja chciałem, nie pozwolono, nie puszczono.

— Filarecie, ja kazałem. — I głowę tak pochylił, jak gdyby chciał ją zrzucić z pleców, i szli w milczeniu.

We dworze, tam w komnacie gdzie się wczora modliła Putywlanka, na białem łożu leżała martwa dziewica w biel obleczona: koło niej dokoła gromnice się palą, u głowy Chrystus

z krzyża na martwą patrzy. Popi czytają modlitwy pośmiertne, baby płaczą, jak gdyby to ich własna dziecina pomarła.

Hetman trzymał za rękę Filareta.

— Patrz jaka ładna jeszcze, czyste czoło jak u świętej Pańskiej. Ustami tai boleść. O! ją ta śmierć musiała boleć. Przeklęty, w modlitwie zabił. O! ona w niebie teraz, prawda Filareecie? —

Czerniec zbladł jak kość wiatrem wybielona; przymknął oczy, a ledwie na nogach utrzymać się może; niby zawiesił się przy hetmańskiej ręce.

— Filarecie, ty ze mną żałujesz, ona tobie złego nie życzyła, ona taka dobra. —

Żadnej odpowiedzi.

— Klęknijmy, pomódlmy się, za nas, za nas; ona tego nie potrzebuje, ona w niebie. —

U nóg łoża obadwa uklękli. Czerniec klęczał przy Hetmanie.

W parę dni później wychodziło z Kotelni wojsko kozacze, a przed tem wojskiem jechał Jerzy Chmielnicki, cały w czerń przybrany, i mówił do Starszyzny, do wszystkich kto chciał, i mógł słyszeć:

— Tę moją żałobę Lacką krwią ufarbuję, wszystko będzie czerwone; po żałobie wesele będzie. —

A te słowa w milczeniu kozaczem konały.

Więcej dziesiątka dni, jak Moskwa stała okopana w Cudnowie, a Lackie wojska opanowawszy Cudnowski zamek i wzgórza, na karku im siedziały. Każdy dzień nowym bojem Lachów witał, a każdy wieczór nowem zwycięztwem ich żegnał. Takie tchórzostwo padło na Moskali, że żaden za przekop wychylić się nie śmiał; znosili harcowników przechwałki, urąganie, a łatwiej by było lisa z nory wywabić dobrem słowem, jak Moskala do bitwy. Sam Szeremetiew już Chrystusowi Panu nie grozi, za bluźnierstwa suszy i bije pokłony. Na radach Kozłowskiego polega zupełnie, a na Marcina Cieciurę krzywo patrzy. Cieciura wszystko na tchórzostwo Moskali wala, a swoich Zadnieprzańców w pole wyprowadzić nie chce; znajdzie pozór jakiś i zasłania się nim, a kiedy mu pułkownicy starzy wyrzucają w oczy:

— W błoto zaprowadziłeś nas.

— To i wyprowadzę z błota.

— Ale obłoconych?

— I żadnej bryzgi na was nie będzie, spuście się na mnie. Co Cieciura przyrzecze to i dotrzyma; żeby nie ten Juryszka, zobaczylibyście coby to tyło. Kiedy on nam skrewił, to w inną stronę uderzymy, ja pewny swego. —

Do obozu Lackiego zwiadnicy przywieźli wieść: Juryszka z Kozactwem w Słobodyszczach obozem stanął. Hetman wiel-

kiej buławy polecił wyprawę na Kozactwo trzem tropom wojska: pod Hetmanem polnym, Chorążym Koronnym i Wojewodą Kijowskim.

Wojewoda Kijowski nikomu nic nie mówił, ale markotność mu z oczów patrzyła. Brzuchowiecki kilka razy chciał zaczepić wuja słowem, ale stanął, popatrzył i nic nie powiedział. Wojewoda myśli cudze zgaduje.

— Grzegorzu, pójdziemy przeciw naszym braciom — może.

— Wuju, ja będę przy tobie.

— Grzegorzu, zostań tu.

— Nie, gdzie ty, tam i ja.

— Gdybyśmy nie poszli, możeby gorzej było; przelew krwi bratniej zatrzymać możemy. Ja stanę w obronie Kozactwa.

— Stań na czele.

— Z tego możeby była wojna.

— Wieczny pokój.

— Trudna to rzecz, już teraz nie czas.

— Zawsze czas.—

Pod namiot wojewody wsunął się człowiek jakiś. Brzuchowiecki ku wnijściu się zwrócił, to nieznajomy, a jednak do szabli się nie wziął, tylko w bok zemknął. Człowiek ten pokłonił się.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wicki wieków. — Odpowiedział Wojewoda.

— O pomówienie kilku słów z Panem Wojewodą proszę.

— Słucham Mosanie Vulpiuszu. —

Mędrek obrzucił wzrokiem po komnacie, i Brzuchowiecki na znak Wojewody wyszedł ztamtąd.

— I jakże Panie Wojewodo, czas i wypadki nie zmieniłyż twego postanowienia?

— Nie.

— Gdyby cię jednak, Panie Wojewodo, dobro Ojczyzny, wola Króla Jegomości, powołały na nowo na Hetmaństwo kozackie?

— Tobym na Ukrainie nie pozwolił się gnieździć, tylko temu, komu mi się podoba.

— Panie Wojewodo!

— To nieodzowne moje słowo, i o tem już nie mamy co mówić.

— Więc żegnam Pana Wojewodę. —

Wrócił mędrek do Pana Muchawskiego, z którym ot nie więcej dwóch godzin jak przyjechali.

— Illustrissime domine, czy już po harapie.

— Już.

— Tak się sprawić, to warto SC z koroną, tym sposobem

nie zmarudzimy ani czasu, ani ludzi. I jakże Dominus Wojewoda?

— Uparty, zawsze myśli o Hetmaństwie koronnem. —

— Ja nego; raz już Lubomirski uchwycił buławę przed moim charissimus patronem; toż przynajmniej dygnitarz z dygnitarzów, z czubatego rodu; ale ten to chamem trąci.

— A jednak to być może. —

— Za przeproszeniem Illustrissime Domine, nego, nego i potrzykroć razy nego, jak to nam mówili uczniowie retoryki i filozofii. Żeby on miał Salomonowy rozum a Samsonową siłę, to się koronnej buławy nie dochrapie. —

— A jak się dochrapie? —

— Domine professor, ja powiem jedną przypowiastkę. Ot ztąd niedaleko w Piatce, na pół drogi do Słobodyszcz jest, w miasteczku cerkiew błahoczestiwa; przez ciekawość tam kiedyś poszliśmy, i widzieliśmy taką rzecz: jest namalowany bohomaz, a to taki. Na żółto-gorącem tle, niby to w kraju bardzo ciepłym, gdzie słońce piecze, jak ogniem w hucie, klęczy młodziutki człowiek, jakiś Izaak, jak mi mówiono żyd, tylko nie z Berdyczowa, ale gdzieś tam z daleka ze starego Testamentu. W drugim końcu stary człowiek mierzy się do niego ze strzelby, ten się Abraham nazywa; taki ojciec Izaaka żyd z tego samego miejsca, a z góry anioł wodę spuszcza na samą panewkę, a pod spodem napisano: Neutnesz Abrahame Izaaka. Otóż i ja tak zrobię reverendissime pater, że będzie: Neutnesz Pane Wyhowski polnej buławy. —

I mędrek sobie pozwolił, rozśmiał się.

— Bene, bene, Dominus Muchawski, bonam notam będziesz miał. —

— Deo gratias, illustrissime domine. —

Świętego Michała kozaczego archanioła dziś, a w Słobodyszczach Kozacy prażnikiem nie obchodzą. Nad Hnyłopiatem po lewym brzegu, na wzgórzach rozłożyli obóz, i poglądają ku Piatce; ztamtąd Lachy ciągną. Starzy Atamani doświadczeni uczniowie Bohdanka, towarzysze Jana Wyhowskiego radzą.

— W pole, w pole, mamy jazdy huk. —

Ale młody Hetman zoczył Lackie wojsko, i już mu nie hulaszczo, ale jeszcze tai, postawą nadrabia, udaje Hetmana.

— To w taborze będziemy się bronili, a jak się wymęczą Lachy, wtenczas na nich, i wszystkich co do jednego w pień; nie żartujmy, kiedy mamy bić. —

Pan Pisarz odważył się przedstawić:

— Harmat nie mamy, w polu jazda to znaczy, a tu nie wiele zrobi, zmarnieje. —

— Nie zmarnieje, ja wiem co robię; tak robić, jak ja każę. —

Czerniec stał i potakiwał tej mowie.

Z Piatki idą Lachy, a za Piatką słońce zachodzi. Trąby trąbią do natarcia, z obu skrzydeł chorągwie za chorągwiami na tabor wpadły, tylko środek idzie wolno, bój się zaczął, bój dziarski; a gdzie kozaczy Hetman?

Srebrny anioł w swój dzień na Kozactwo w chorągwi patrzy, kary buńczuk wieje, a nie widno czaplego pióra.

Trzykroć razy Lachy na tabory wpadli, trzykroć razy napad Lacki Kozacy odparli: krew się bratnia lała, dzieci jednej matki kładły trupem jedne drugie. A żaden ptak nie przyleciał patrzeć na to; ptastwu Ukrainy srom, żal. Nocy żal się zrobiło, strzepnęła w czarne skrzydła i przykryła niemi świat.

Bój ustał, Starszyzna Hetmana szuka, a Hetmana nie ma. Pod Hetmańskim namiotem dwóch mnichów klęczy i modli się, barania czapka z czaplem piórem wala się po piasku. Jeden z mnichów wstał, to czerniec Filaret; drugi wciąż klęczy.

Jeszcze bardziej jak za zwyczaj posępiły się wąsy Starszyzny, Leśnicki głos zabrał:

— Ojcze Hetmanie, odparliśmy Lachów, ale dzień nie daleki: znowu trzeba się wziąść do pracy, jakie twoje rozkazy? —

Klęczący mnich w głos odmawiał modlitwy.

— Juryszko, ja przyjaciel, najdawniejszy przyjaciel Bohdanka, my wszyscy nieodstępni jego towarzysze, przychodzimy do ciebie po radę, co robić mamy? Radź nam po Hetmańsku bitwę, to wszyscy gotowiśmy zginąć; albo mir z bracią Lachami, i w tem sromu nie ma. Na modlitwę będzie czas, a radząc narodowi któremu się panuje, to tem najlepiej się pana Boga chwali. —

Juryszko nic nie odpowiadał, a modlitwy nie przerywał. Mnich Filaret mówił ale zcicha:

— Panowie Starszyzna, do Cicciury przebojem możemy się dostać, a gdyby trudno było to spełnić, u ojca Hetmana jest dosyć złota, a Tatarowie na nic tylko czyhają. Kupiemy sobie drogę; połączeni razem lepiej sobie radę damy. —

Sirkowie się zburmusili.

— U psa Tatara, Bisurmana, kiedy mamy żelazo, złotem kupować? —

A Piotr Doroszenko dodał:

— Tu ojciec Hetman, Cicciura niech tu przyjdzie; nie nasze miejsce przy Moskwie, a jego przy Hetmanie. —

Leśnicki prawie gwałtem podniósł Juryszkę, a ten go się prosił:

— Zostaw mnie, ja cierpię i pokutuję. —

— Hetmanie, już świt niedaleko, w pole już nie czas; czy mamy się bronić, czy poszlemy do braci Lachów? —

— Co chcecie. —

Klął i modlił się. Starszyzna odeszła.

— Filarecie, daj mi flaszę. —

Pił, pił, hymny śpiewał, akafest prawił. Darmo Filaret chciał w nim rozbudzić krew Bohdanka. Juryszka ani pamiętał o Hetmaństwie, ani przypominał nawet Putywlanki, tylko usypiając jeszcze błagał:

— Filarecie, do monasteru jedźmy. —

Dniem zabielał świat. Lackie wojsko w bój idzie, Hetman polny prawemu skrzydłu przywodzi, a Chorąży koronny lewemu, Wojewoda Kijowski sam rdzeń bitwy wiedzie. Harmaty lackie grzmią, słońce wywołują na niebo. Wszystkie szable lackie nagie w górę podniesione, czekają by chwycić pierwsze słoneczne promienie na błogosławieństwo. Od czasu kiedy ksiądz mszę świętą na jutrznię odprawił, jak przy podniesieniu Ciała Bożego dobyli szabel, tak już ich nie schowali w pochwy. Dwie tylko szable drzemały w pochwach, a ci ludzie w samym przedzie na wronych koniach jechali, wojsko wiedli.

Z taborów kozacze rusznice grzmią jedne po drugich, jak stukot zębów sześcierni, jak turkot tarabanów. Słychać lackie trąby, harmaty hucznie palą. Z obu skrzydeł pancerni, husarze szablicami piersiami końskiemi łamią wozy; pocztowy między przerwy się wślizga. Niemców pieszych Nuradyna horda popycha w bój. Laccy wodzowie złażą z koni i w tabor wojsko prowadzą. Kozactwo się broni, kroku nie ustępuje: kosą we łby końskie płata, siekierą nogi podcina, a szablą w szable Lachom dzwoni. Bitwa na dobre się zaczęła.

Ale eóż to tam? dziw! dziw! cud Boży! łaska Pańska! czy archanioł Michał z nieba spadł między swoje Kozactwo? Jak tylko rdzeń bitwy lackiej do taborów przyparł, umilkły rusznice w dueh, i słychać w nieboglosy:

— Żyj, żyj nasz Hetmanie! Sława Bogu! Sława tobie! Nasz ojcze! nasz panie! Żyj! żyj nasz Hetmanie! —

Z pomiędzy taborów stado czarnego ptastwa pierzchnęło, i chmurą i słupem w górę leci; to kozacze czapki.

Lachy stanęli jak wryci, nim zagrzmiały wodzów glosy mirem. Tatarowie po swojemu głoszą, mir między bracią, mir między dziećmi jednej matki.

Słońce weszło patrzeć na to, bracia orły i sokoły ze słońcem przylecieli, szybują nad kozaczym obozem.

Wychodzi wojsko z taborów, kureniami staje. Asawulowie końmi skaczą, Attamani kurenni przed młodzcami hasają na koniach. Starszyzna się czwani młodzce hulaszczo zawijają. Malinowa chorągiew rozpięła się, jak blacha w powietrzu stoi.

Srebrny Archanioł napanoszył się, w niebo mu się lecieć nie chce, takby żal było Kozactwo opuszczać; czarnym włosieniem rozrzucił się bunczuk, z wiatrem hula, hula i czaple pióro nad baranią czapką u jeźdźca na wronym koniu, ze strzałką białą, z zadnią nogą białą. Stary to Hetman.

Kozactwo Janowi Wyhowskiemu czaplе pióro dało, i prosiło: Odbierz co twoje, tobie w nim dobrze, a nam dobrze z tobą. Przypiął czaple pióro do czapki. — Biorę, biorę! — I wszystkim stanęły przed oczyma Konotopy. Taki to wódz teraz hetmanił kozaczemu wojsku.

Gdziez Jerzy Chmielnicki, zrzucony Hetman? Przed Janem Wyhowskim stoi. Krew dwóch braci o pomstę woła, a pamięć Bohdanka o opiekę. Hetman skinął ręką:

— Synu Bohdana, jedź kędy zechcesz, bądź panem swej woli, jam ci opiekunem. —

Jak dziecina płacze, jak winowajca na kolana pada Juryszka, dziękuje, po przebaczeniu o przebaczenie błaga.

— Wstań! Jan Wyhowski za swoje przebacza Jerzemu Chmielnichiemu, bądź szczęśliwy. —

Kozacy głębokiem milczeniem jeszcze raz poszanowali pamięć nieboszczyka Bohdanka. Hetman po swojemu czaple pióro szablą musnął, i poprowadził wojsko kozacze stepem na Piatkę.

Juryszka szuka Filareta, a czerńca nie ma, i nikt o nim nie wie gdzie. Zabrał służbę co mu dzisiejszy Hetman zostawił; łżej mu, czaple pióro nie cięży; tęsknił za Putywlanką, i jechał do Kijowa, do monasteru.

Za Piatkę wyszło wojsko, na dwa szlaki poszło; prawym kozacze, lewym lackie; w poręcz idą, na siebie patrzą, a Tatarstwo po polu się posypało. Hetman kozaczy, wzrokiem szparki sokoł, zerknął i już widzi, zwinął koniem, zagadał, a pan Asawuła koszowy w duch z kopyta, sadzi wronym chyżej ptaka; przed Hetmanem polnym jakby stuknął konia osadził i grzmi w słowa:

— Moskiewskie tabory wyszły z Cudnowa. Pan Hetman wielkiej buławy już zaczął bój ot tam. — Ręką wskazał. — Nasz ojciec koszowy od lasu przetnie.

— Dobrze, dobrze. — Powiedział Jerzy Lubomirski, ale słowa te leciały za czwałującym już Asawułą.

Od moskiewskiego wojska szybował orzeł duży, a nie wysoko, na kozaczemi kureniami skrzydłem trzepotał, pióra gubił. Lackim pułkom takoż ze skrzydeł pierza namachał, a Tatarom

tak się zbliska chciał przypatrzyć, że go ręce tatarskie z powietrza ujęły. Wróżba to wróżba, Moskwie koniec zły. Za ojcem Hetmanem kurenie w kłus kopią, pod łackiemi pułkami ziemia tętni, a na Cudnowskich polach bitwa już po swojemu pogrywa.

Hetman wielkiej buławy z Cudnowa wyparował moskiewskie tabory i grzmoci i bije; Lubomirski w obroty wziął Moskwę; Hetman kozaczy drogę przeciął uciekającym, kureniami mołodzce natarli, lasem spis sunęli w oczy, i Moskwę ścielą w pokot. Sądny dzień na wojsko Kniazia Szeremetiewa, sądniejszy na samego Kniazia.

Srom, srom, Moskiewskie trąby prośbę o rozejm grają, i z moskiewskiego obozu posłowie prosiciele idą. Trzej Hetmani zatrzymali swoich.

Idzie Marcin Cieciura, przed Janem Wyhowskim się kłoni; na pokorę spuścił.

— Ojcze Hetmanie, pókiś był z nami, pótyśmy wierni byli. Juryszka zła narobił. Wracasz nam ojcze, i my wracamy do ciebie; bądź nam opiekunem, poręczycielem przed Królem Jegomością, przed Rzeczpospolitą. —

Siłą woli markotność Hetman z twarzy spędził.

— Ojciec przebacza dzieciom. I Król Jegomość nie zechce w gniewie zostawać na dzieci Polski. Mam nadzieję, będę pośrednikiem waszym, raczej naszym, przed Królem Jegomością, i Hetmanami i Rzeczpospolitą całą. Ciężki grzech wasz, niechże będzie szczera pokuta, i naprawa dobra. —

Przed trzema Hetmanami, czterema Wojewodami, Chorążym koronnym i Nuradynem Sułtanem, stanęli Akinof i Kniaź Kozłowski, zmiłowania proszą. Wodzowie Łaccy radzili, i stanęło: Wojsko moskiewskie broń złoży i w niewolę pójdzie. Nuradyn Sułtan o Kozactwo Cieciury się dopominał.

Hetman kozaczy powstał:

— Nuradynie Sułtanie, ja ci za nich zapłacę żelazem czy złotem. —

— Od ciebie Panie Hetmanie dość słowa: dziękuję. —

— To dziękuję. —

Obadwa przyłożyli ręce do serc, a potem do rękojeści szabel, i kochać się i bronić się przyrzekli.

Kiedy Marcin Cieciura przed Panami Hetmanami wierność Królowi Jegomości i Rzeczypospolitej przysięgał, Nuradyn Sułtan za rękojeść szabli trzymał, i groził mu cały czas.

Nazajutrz dzień przy jasnym blasku słońca, pułkami moskiewskie żołdactwo wychodziło z taborów, z bronią w ręku, w całym rynsztunku wojennym. Stefan Niemirycz, Podkomorzy Owrucki, w pysznej barwie od złota, drogich kamieni, i jaskrawych farb błyszczącej, siedział na białym koniu, takoż

w rząd złocisty z drogiemi kamieniami przybranym; koło niego poczet sowity buńdiucznych jeźdźców, a za nim regimenta piechoty w szyku bojowym rozwinięte. Był on tam niejako zastępcą Króla Jana Kazimierza.

Grały trąby, kotły brzmiały, wiwatową palbą huczały harmaty, pułki moskiewskie przeciągały, a oddawszy wojkową cześć Niemiryczowi, składały rynsztunki, broń, konie w ręce lackie, a same szły w tatarskie Jassy.

Szeremetiew patrzał z obozu na ten srom, taki nieczestny w wojennem życiu, jak przechód zwyciężonych pod szubienicami dawnego Rzymu, i dławił dwa orły, towarzysze tego co mu uleciał z rana i powróżył niecześć. Trzy on je z sobą z Moskwy przywiózł, miały one z Krakowa lecieć do białego Cara zapraszać na Królestwo Lackie, a teraz w Jasyr im, w Jasyr razem z Kniaziem Szeremetiewem iść.

Takie było zwycięstwo lackie, takie na nowo bratanie się dzieci jednej matki. Od Lubaru, Lachowie gęsto mogiłami poznaczyli zwycięzki pogon aż pod sam Cudnow. Za Cudnowem na lewo sypią mogiły, na znak gdzie się bratali Kozacy z Lachami moskiewską krwią. Tatary ku czarnemu szlakowi pognali moskiewskie żołdactwo z Kniaziem Szeremietewem w Jasyr, za Perekop. Lachy weselą się i hulają. I Kozactwo hula, drużba, braterstwo z Lachami. Sławny Hetman, serdeczny ojciec wrócił im.

Biesiada była u Hetmana wielkiej buławy, kiedy wszedł pułkownik Muchawski, a z nim Vulpius. Muchawski rubasznie panom Hetmanom się pokłonił.

— W tej właśnie chwili pocztowy mój znak przydążył, i przywiózł mnie papiery mniej pilne do Waszmości Panów Hetmanów, i do Pana Wojewody Kijowskiego. — Oddał każdemu z nich papiery.

Mędrek Vulpius swoje słowa ustami zamknął, a oczyma śledził cudzych myśli. Pomarkotniały twarze obu Hetmanów i wielkiej i polnej buławy. Hetman kozaczy ani trochę się nie zmięszał; przeczytał.

— Wszystko zrobię co będę mógł, żeby było zadość woli Króla Jegomości. —

Obaj Hetmanowie do niego przystąpili.

— Kolego. — I zacięli się w mowie.

— Tak panowie koledzy Senatorowie, byłem waszym kolegą, Hetmanem niespełna doba. Chwała Bogu, że to na coś się zdało. —

Wyszedł od panów Hetmanów, i zebrał Starszyznę kozaczą. Odpiął czaple pióro od czapki. Oni patrzą, a on pokazuje papier w ręce.

— Panowie Starszyzna, panowie bracia, odebrałem pismo od Króla Jegomości, naszego ojca. Mówi on, że miłem by było i jemu i Senatowi Rzeczypospolitej, gdyby Hetmaństwo Ukrainy dostało się Pawłowi Teterze, mojemu siostrzeńcowi. Spełniam jego wolę, i proszę was o to. Oddaję wam czaple pióro, coście mi dali, z nowem zwycięztwem nad wrogiem, z nową zasługą przed Królem Jegomością i matką Polską. —

— Nie, nie, ojcze Hetmanie, nie rzucaj nas! —

— Ja was nie rzucę, ja z wami będę. — Trudno mu mówić.

— Bądź nam ojcem! —

— Król Jegomość nam ojcem, jego słuchajmy. —

— Co nam Król, co nam Lachy! My twoi. — Starszyzna koszowa zawołała, Zadnieprzańce i Przeddnieprzańce rejestrowi milczeli.

— Panowie bracia, słuchajmy Króla Jegomości. — I położył czaple pióro, a sam wychodził. Starszyzna przyjść do siebie nie może, a sławnego Hetmana już między nimi nie ma.

Jan Wyhowski był u siebie pod namiotem wojewodzkim, chciał posmucić się sam na sam, ale i tego mu nie dano, cieniem wsunął się mędrek.

— Panie Wojewodo, jeszcze czas. —

— Do czego? —

— Zostać Hetmanem. —

— W brew woli Króla Jegomości być nim nie chcę. —

— Wola Króla Jegomości by się skłoniła. —

— Miałem jej objawienie. —

— I ja mam. — Z rękawa dostał papiery. — Panie Wojewodo, my wiemy cobyś mógł zrobić dla Kościoła, dla Polski, gdybyś chciał. I Król to wie, i cały Senat to wie. Tu mam wolę królewską, bądź Hetmanem Ukrainy; możesz być czem zechcesz, tylko zrzuć uprzedzenie z twego serca. —

— Nie rozumiem. —

— Pozwól nam wracać Ukrainę Kościołowi, pozwól, żeby Zgromadzenie tam było. —

— Nie. —

— Panie Wojewodo! —

— Nie. —

Mędrek rzucił w ogień papiery, papiery się paliły, a Hetman jeszcze powtarzał: Nie.

Przed świtem z obozu wyjechał pan Wojewoda Kijowski. Rejestrowce strapieni rozstali się z Lachami i szli na Ukrainę. A młodzce Zaporoża nim poszli tam, na polu bitwy ze swojem prawem przed Lachami się popisali: czapki w górę rzucili i zakrzyknęli:

— Żyj! żyj nasz Hetmanie, Grzegorzu Brzuchowiecki! Ty nasz ojciec, ty nasz Koszowy!

Grzegorz Brzuchowiecki pokłonił się wszystkim.

— Przyjmuję, będę wam Koszowym. —

— To dziecko serdeczne naszego sławnego Iwana. Nic bez niego nie zrobi, taki będzie jak on. —

— Żyj, żyj Panie Koszowy! —

Do czapki Brzuchowieckiemu przypięli czaple pióro. I na Zaporoże młodzców powiódł Pan Koszowy.

XIX.

ZAKON KOSZOWY.

— Córo naszego Bohdana, ratuj kozaczyznę, ona wasza, ona Chmielnickich! Twój brat Jerzy już nie Hetman. Jan Wyhowski znowu hetmaństwo zabrał, frymarka na buławę, w Ukrainie płacz! tyle krwi naszych ojców się przelało, tyle kozaczych kości pruchnieje na to, żeby Ukrainie panował inny, nie Chmielnickiego ród. Krasna Pani, ty zachowasz od nieszczęścia nasz naród, naszą wiarę, naszą sławę; ty córo Chmielnickiego, Hetmana nam daj! —

Czerniec Filaret stał przed czarnobrewką i te słowa do niej mówił, a w Helenie krew ojcowska gra; dziecinną to jego rodzona, dusza w duszę ojcowską wykapana, w samowolę już trąca i w dumę buja. Czerncowi nic nie odpowiada, a Pawła Teterę do siebie wołać każe.

Staje przed nią pułkowódzca Czehryński, okiem jej woli pyta.

— Teraz przyszedł czas; Pawle Tetero, chcesz mej ręki, bądź Hetmanem, czaple pióro do wzięcia dla tego co ma serce i wolę; a krew Chmielnickich z twoją połączona, zapewni tobie i twoim Hetmaństwo. Tego chce Ukraina, tom ja córka Bohdana winna Ukrainie. —

Duch ojca wcielił się w córkę, w niewieścią krasę czarnobrewki wstąpiła wola Pana. Na kogo spojrzała, komu słowem rzuciła, to temu ją kochać i słuchać, a nic więcej.

Paweł Tetera Czehryńców zbiera; Niżyński pułk Ladyńskiego który wyszedł z miasta po pierwszym rozkazie Juryszki z Kotelni, a drugiego dopełnić nie mógł, teraz wchodzi do miasta, z Czehryńcami się brata.

Czarnobrewka skrwawionego pióra już nie szuka, tylko mówi do siostry:

— Siostro moja, jeśli kto winien śmierci mego męża, to nie kto inny, tylko Jan Wyhowski, jego to duma pchnęła na zły czyn Daniela i Pawła. —

— Heleno tego nie mów, a kto pchnął Konstantyna? —

— Chęć pomsty za brata. —

— Twoje słowo. —

— Ja nic nie wiedziałam. —

— A teraz zbroisz siostrzeńca na wuja? —

— Stefanido, jam szczodrzejsza jak on. Dobro nasze, Hetmaństwo Chmielnickim wydziera, a ja mu oddaję żonę, dzieci i wszystko co jego. —

— Nie, tyś sama z Chmielnickich rodu, Heleno. —

— Cheeszże żeby starzec, nad grobem już stojący hetmanił kozactwu? —

— O! gdyby on tu był, tybyś im nie hetmaniła. —

— A któż? on? —

— Nie on, ale Jan Wyhowski. —

— I tożto gada Chmielnickiego córka? —

— Chmielnickiego córka, kozaczka.

— Nie, to Laszka, krew matki w tobie gada. —

Zmierzyła siostrę takim wzrokiem dzikiego urągania, jakim niegdyś poglądał Bohdan Chmielnicki na żonę Laszkę, wdowę po Czaplińskim, kiedy ona przemawiała za Lachami.

Szła do kozactwa ojca językiem przemawiać, szła wyzwolić Pawła Teterę z kłopotu; widziała na jego twarzy to wahanie się, jakie słowo, jaki czyn na świat objawić, ale wiedziała i to, że on ją kocha, i pewna była swego.

W tem nowy goniec w Czehrynie staje. Wprost Teterze się kłania.

— Ojcze Hetmanie panuj nam, taka wola Króla Jegomości. Jan Wyhowski Wojewodą Kijowskim i niczem więcej, Grzegorz Brzuchowiecki Panem Koszowym; ale ty nam wszystkim Panem. Hej Panowie bracia w górę czapki! Żyj! żyj Pawle Tetero! nasz ojcze, nasz Hetmanie! żyj! żyj Ukrainy Panie! —

Kozaki i czapki i wrzaski w niebo sypnęli, a Paweł Tetera nisko się kłaniał.

— Taka wasza wola, taka wola Króla Jegomości. Przyjmuję. Niech mnie Bóg błogosławi, jeśli będę wam dobrze służył, a jeśli w czem przekroczę, niech mnie i Bogi i ludzie skarzą. —

Z czaplem piórem u czapki stawił się przed Heleną.

— To twego rodu. — Wskazał na czaple pióro, — Ja twój sługa, rozkazuj, ja słucham. —

— Pawle Tetero, żałoba się kończy, jam ci żoną, tyś Het-

manem Ukrainy; skarby moje i życie na twą wolę, na twą sławę. Pójdziemy po Ukrainie ze złotem, z żelazem, a myśl mego ojca stanie się życiem, i żyć będzie po wieki wieków.

Gońcem dobrej wieści był Marcin Cieciura, a z nim przybył Naum pohany; duma zabiła pomstę w sercu czarnobrewki; skrwawione pióro w ogień rzuciła i patrzyła jak płonęło do ostatka. Stara piastunka przy tem była, ruszyła ramionami.

— Tylko żałoba po mężu kochanku jej została. Starzec ze stepu prawdę, prawdę przepowiedział. Bodaj nie wszystko było prawdą.

Tegoż samego dnia na Czehryńskiej Mogile trzech ludzi się zeszło i rozmawiali z sobą:

— Wszystko przepadło. —

— Nie, nie, wszystko na dobro idzie. —

— Jak to? —

— Ku zagubie najstarszego orła; jak jego nie stanie, to wy staniecie, tylko nie tak róbcie jak dotąd. —

— Ja ojcze Naumie robiłem wszystko com mógł. —

— Ty Marcinie, nie mówię, ale Filaret. —

— On się poprawi. —

Niech się stara. — Słuchajcie teraz, ty Filarecie wracaj do monasteru, trudno umarli zmartwychwstają, ale czernce łatwo kołpak na kozaczą czapkę zamienić mogą, rozumiesz Filarecie. —

— Rozumiem. —

— Ty Marcinie dmuchaj zuzuli w ucho na starego orła, reszta sama pójdzie. —

W tej chwili puszczyk zapuhaczał, zaskrzypiała wierzba.

— Pójdzie, pójdzie, byle starego orła się pozbyć, i złoty ptak i zuzula swojemi skrzydłami nie daleko polecą. Poczem Filarecie twoja będzie rzecz, Czernca rękami połapać te ptaki, a twojemi tego ptaka, tylko jednej trzeba rzeczy. —

— Jakiej? —

— Żeby pana Koszowego w taniec wyprowadzić. —

— O! to rzecz trudna. —

— Zapewnie, ale bez tego nic nie można; on może urość na takiego orła, jakim dziś stary. Pamiętam ja, o pamiętam dobrze, co mu przepowiedział jeden ze znachorów, najsławniejszy na całym stepie; dzieciną był jeszcze w kolebce, a znachor mu gadał. — Jest mu step ojcem, morze matką, koń i szabla dziećmi; cześć wojenna rodzoną siostrą, a sława kochanką; jak raz porośnie w pierze, to już mu nikt lotu nie zatrzyma. Poleci, poleci wysoko, a krwią ziemię zaleje szeroko. Ptakiem będzie

się uwijał i tędy i tędy, a wszędzie tłukł, nikomu druh, tylko Ukrainie. —

Nocznica przyleciała nad ich głowy, wiankiem latała, i świerkała jak piskle.

— Źle to, źle synowie; albo wam, albo jemu to wieszczba —

— Kto nic nie waży, to nic nie ma; jabym mówił szabla najlepiej. —

— I na szablę przyjdzie czas, a teraz wy jedźcie w swoje drogi, a ja w swoje; ja pójdę do Kosza. Moja stara głowa, mnie na świecie żyć najmniej warto, wy młodzi jeszcze, przed wami wszystko. —

Krom naocznicy nikt nie widział jak się rozchodzili, a naocznica nie plotka.

Zaporoże, szczera pustynia! rzeki płyną, stoją jeziora, rozsochate dęby, starce, a dzieci pustymi, kręglakami rosną, a nigdzie mieszkania ludzkiego, grodu nie widno, ani sioła dojrzeć. Nie sieją tam, nie orzą; smaglawe bydło brodzi po burzanach, po obłokach tabunami konie hasają, a nigdzie obory. Młodzcze cwałują, w tę, w ową stronę, nigdzie szlaku i drożyny nie masz, a po śladach młodzców i djabełby się zbłąkał; chyba za wilka skokiem, chyba za orła, za sokoła lotem dążyć. Wilcy, orły i sokoły, gdzieś tam się niosą, nie po żer, ale w zwiady: czy panowie młodzce wyszli z Kosza, wtenczas na gwałt wabią braci, i w tropy za młodzcami, z ochłapów pohulanek będzie im żyru za dość, za długo.

Do koła tej pustyni palanki, o gonę jedna od drugiej, a między palankami, co pięćset kroków stoją rusztowania smolnych beczek, piętrzące się w górę od dziesięciu aż do jednej w trójkąt; od góry do dołu przez środek spada sznur smolony, na dole bezustanku ognisko się pali, a koło ogniska dzień i noc, zimą i latem, grzeje się młodziec, a przy nim brat koń, osiodłany, nierozkiełzany. Palanki wysokie, na jednym słupie jak gołębnik, na dachu siedzi młodziec; jak gołąb strażnik wzrokiem na daleko goni. W palance więcej ich być musi, a koło palanki pasą się konie czutkie, na pogwizd umne. Niechno tam z palanek wojsko jakie zaoczą, w duch, prędzej błyskawicy strzał huknie, rusztowania jasnym ogniem płoną, a młodce przez pustynię w cwał skaczą, i bydło przed sobą gonią, a tabuny za niemi sadzą. A jakby cudem jakim, ztamtąd gdzie oni polecieli, sunie ćma młodzców, las spis przed sobą niesie na pocałunek gości, gości co nieczesną stopą chcą deptać step świętych pańskich. Pustynia to nie ludzi, ale świętego Bazylego, świętego Jana, świętego Antoniego, świętego Pawła, a cała świętego Michała Archanioła.

Srebrny Archanioł tam młodzcom siedzieć nakazał, powiedział: wyście moje wojsko ziemskie, was tu stawię na obronę chrześcijaństwa. Wam być przedmurzem chrześcijańskich krain, wam nieść krzyż pański przez lądy i morza między niewierne ludy. Rzekł i słowo jego się stało.

W pośrodku pustyni stanęła Sicz, Kosz młodzców. Nie ma tam murów do koła, tylko przepony drewniane, ale młodzców piersi staną za waly, za mury. We środku nie masz zamków, i pysznych domów, ale jest podostatkiem wszystkiego do życia i do wojny, a bogactw to nasypem w zasiekach. Cerkiew Boża pod złotem się gniecie, złotem i srebrem się podpiera. A dzwony cerkiewne z czystego srebra lane. Ale co tam uajwiększem bogactwem, to panowie młodzce.

Jak czterdzieści dni wielkiego postu, tak na czterdzieści kureniów młodzce się liczą, a w każdym kureniu do tysięca braci; to krzyżownicy chrześcijaństwa, to zakon koszowy. Każdy kureń ma swego przeora i zwie go Atamanem kurennym. Starszyzna jak kapituła się zbiera, naradza i czuwa nad dobrem zakonu, a pan Koszowy jak wielki mistrz młodzcom chrześcijaństwa przywodzi.

Nie znają na koszu ni niewiasty, ni uciechy światowej. Kiedy wyprawą na niewiernych idą, to na trunek nakazany post, zakonnik Koszowy walcząc i ginąc za wiarę, duch wiarą napawa. W Koszu wolno mu pobiesiadować, ale wszystko tam wspólne: i prosty młodec i pan Koszowy, jedno jedzą, jedno piją i jednako mieszkają. Tam zakonne braterstwo, ale i posłuszeństwo zakonne. W Chrystusowe słowo, bracia wszyscy duchem, i jak cerkiew przykazała, czczą i słuchają głowę swoją, pana Koszowego.

Jeśli kto z chrześcijaństwa do Kosza zajedzie, tam mu chleb, sól i drużba braterska.

I Kozak i Lach zostać może bratem Koszowym, jeśli ma wiarę dla Boga, jeśli ma serce i ramię do boju, bez tego nie tam po nim.

Zna Bisurman, zna Tatarzyn, co to zakon Koszowy. Niech Budziak i dzikie pole, niech Nogaj i Zaperekopie wygada, ile razy Pan Koszowy z młodzcami, z ogniem, z mieczem biegał tam do Tatarzyna w odwiedziny. Niech Czarne morze wyśpiewa ile razy pan Koszowy hulał po niem i po swojemu Bisurmańskie okręty w taniec brał. Niechaj powie Siedmiowzgórzy Istambul, Trebizonda, Synopa i Azyjskie kraje, co niejeden pan Koszowy z młodzcami dokazywał tam. Niech się prawda, jak jasne słońce wyświeci, a świat pozna, co to zakon Koszowy.

Cóż to tam za prażnik w Zaporozkim Koszu. Srebrny dzwon zadźwięczał, i młodzce kureniami stanęli. Atamani przed kureniami: Chaneńko, Sirkowie, Hohol, Sabatyn, Zuzulicz, Woronicz: Czajka i wszystkie te ptaki Zaporoża, co pod Konotopem byli, i cała ta starszyzna, której Jan Wyhowski przywodził pod Konotopem i pod Cudnowem. Przyszedł i pan Koszowy: nie masz orła we wszech stepach Ukrainy, coby bystrzej patrzył jak on; w ruchach było orła panoszenie się i w mowie klekotanie orle.

— Panowie bracia, Ukrainie źle; dzisiejszy Hetman do stu djabłów się zwyzuwiciał. W Bracławskie już ich naprowadził. Naszemu ojcu i panu grożą. Myż mamy spać na to? Pójdziemy bronić naszego ojca, w Ukrainie robić ład. Nam nie kto inny ojciec i pan, tylko Jan Wyhowski. —

— Sława Bogu, ojcze Koszowy, pójdziemy, pójdziemy! —

— Teraz pohulajcie sobie, a jutro w pochód.

— Żyj, żyj w długie lata, w sławę, ojcze Koszowy! —

Dziwny to był ojciec Koszowy, przy tych koszowych dzieciach. Pomiędzy dziećmi już wielu, wielu śnieżno-włosych jak łabędzie a większa część szpakowatych od wiekowego szrona, a ojcu Koszowemu nie dawno jak wąs na dobre rośnie, i włos ciemny, świeży jak u młodzieńca.

Młodce hulają, a do pana Koszowego przyjechali jacyś goście: obadwa starce, jeden wojenny mąż, a drugi lirnik. Wojenny mąż pokłonił się.

— Ojcze Koszowy, kiedyś i ja byłem młodzcem Zaporoża, a ciebie znałem ojcze Asawułą przy naszym sławnym Hetmanie Janie Wyhowskim, ty mnie nie poznajesz.

— Znam ciebie, ty Prokop Osadniczy. —

— Ja ojciec Putywlanki tej, którą Juryszka pojąć chciał za żonę, a którą zamordowali zabójcy Daniela Wyhowskiego. —

Schmurzył czoło pan Koszowy.

— Bisie przeklęty, nie tyż byłeś strażnikiem putywlańskiego zamku. —

— Ja byłem, ojcze Koszowy, ale ja tam słuchałem, a nie rozkazywałem. —

— Któż tam rozkazywał? czy nie Juryszka czasem? —

— Nie ojcze, Cieciura. —

— Marcin, ten zdrajca i zmiennik. —

— I Czerniec Filaret; oni zabili moją córkę, i twego wuja ojcze Koszowy. —

— Mego wuja? psiawiary! dwóch wujów! —

— I wdowa po Danielu, i Hetman Tetera zapomnieli o pomście. —

— Ja nie zapomniałem. —

— Oni teraz odbywać mają wesele.

— I ja tam pojadę, zdążę na dobrydzień. —

— Ojcze Koszowy, sprawiedliwość nam zrób. —

Brzuchowiecki pomyślał trochę.

— A gdzie teraz te psy Cieciury? —

Lirnik porwał się do mowy.

— Panie Koszowy, ja to bywalec, znam wszystkie kątki na Ukrainie, jak gdyby były na mojej dłoni; daj mi dziesięciu młodzców, a takich jak ja wybiorę, a zobaczysz czy ci obudwóch Cieciurów nie dostawię, albo w ręce nie wprowadzę, jak tylko z Zaporoża wyjdziesz na Ukrainę. —

Ucho nastawił pan Koszowy, okiem wiercił po starym lirniku.

— Hej Panie Asuwało! —

Wszedł Karpenko.

— Tego djabła gdzieś znam. Panie lirniku, obejdziemy się i bez twojej pomocy, a w zastaw nam zostaniesz. —

— Ojcze Koszowy. —

— Dosyć, dosyć tego; wziąść go pod straż i pilnować jak oka w głowie, a Atamanów Sirków tu prosić, oni i bez lirnika dotropią Cieciurów. —

Kiedy sam został z Prokopem, wąsa pogładził.

— To Panu pohany, ja coś wiem o nim. —

— On przyjechał do mnie podmawiać, abym jechał do was, ojcze Koszowy. —

— On to wychował tych Cieciurów, i bezustannie się włóczył. —

— Już to on ojcze włóczęga zawołany. —

— Djabeł trafił na djabła. —

Jeszcze tej samej nocy obaj Sirkowie wyruszyli z Siczy z kilkudziesięciu młodzcami, ale takimi dziarskimi, co to i djabła dotropią, i djabła złapią, jak pan Koszowy każe.

Nazajutrz dzień starszyzna, Atamani, młodzce i sam pan Koszowy, wszyscy a wszyscy szli do spowiedzi. Na trzeci dzień była msza święta w cerkwi Przeczystej Dziewicy, dzwony dźwięczały, z harmat palono sto i oko razy. Ciało i krew pańskie pożywali młodzce, starszyzna i pan Koszowy.

Kiedy siedli już na konie, Błahoczynny Zaporozkiego Kosza, wyszedł z krzyżem i błogosławił. Z odkrytemi głowami wojsko błogosławieństwo przyjmowało i dopiero poszło w pochód. Pan Koszowy w samym przedzie a czterdzieści kureni za nim. Szli przez pustynie świętych i śpiewali hymny na cześć każdego świętego, a srebrny anioł w chorągwi nad Zaporozkiem wojskiem płynął, a pan Koszowy przodem jechał, niby Namiestnik Archanioła. Takim obyczajem szedł na wyprawę zakon Koszowy.

XX.

I KTOBY SIĘ SPODZIEWAŁ.

W Chwastowie, w zamku Metropolity Kijowskiego był wielki zjazd. Metropolita Topolski dawny to przyjaciel Chmielnickich i Wyhowskich, obu sławnych rodów Ukrainy; Bohdankowi Chmielnickiemu rówiennik latami, wielką drużbę mu niósł. Jan Wyhowski rósł pod jego okiem i radą, i zaskarbiał dla siebie najserdeczniejsze uczucia starca. Takim sposobem świętobliwy kapłan Ukrainy związał swoje życie z życiem dwóch dzielnych Hetmanów Kozactwa. Rodziny Chmielnickich i Wyhowskich uważał jak swoje, i kiedy mir w Ukrainie nastał, chciał, żeby cała ta wielka rodzina pomirzyła się z sobą. Sprosił wszystkich do Chwastowa na ślub Heleny z Pawłem Teterą, i wszyscy się zjechali, krom Pana Koszowego.

Ślub się odbył, i wszystko dobrze szło.

Zrana po mszy świętej, pod starą lipą, którą i Metropolita i Neczaj zapamiętali młodocianem drzewem, zasiedli oni dwaj, a z nimi Jan Wyhowski trzeci. Z Istambulskich lulek ciągnęli sułtański tytuń, przez cybuchy antybki, przez munsztuki z kapuścianego bursztynu, i o sprawach ojczystych rozmawiali. Wojewodzina i obie Czarnobrewki Bohdanka Chmielnickiego także rozmawiały z sobą nieopodal.

Hetman Ukrainy przechadzał się z Juryszką Ihumenem, i rozmowy między nimi nie było. Hetman rad szczęściem, zazdrośny w szczęściu, jak samolub się nim cieszył. Ihumen w żalu niepocieszony, nie śmiał niem kłócić uszów cudzych.

Czerniec Filaret nieodstępny Ihumena, jak kruk samotnik wilał się i po ogrodzie kradł słowa z każdej rozmowy. Kozak Dejneka bawił dziatwę Wojewody. I pamięć Daniela, Konstantyna i Putywlanki nie przychodziły mięszać miru. Metropolita to zrządził słowem Bożem:

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. —

Zdało się, że w zapomnieniu potonęła przeszłość, a przyszłość do wszystkich się uśmiechała. I Metropolita powtórzył razy kilka.

— Panie nad Pany! Święty Boże! dzięki Tobie. —

A biały włos starca tak jaśniał, jak gdyby się zapalał błogosławieństwem Bożem, i niem się rozstrzelał na ludzi.

Mały chłopczyk, dziecina Wojewody, w harcu na kiju, w szermierce z drewnianą szablą stanął przed ojcem, szabelką machał, kijem niespokoił.

— Tatu, tatu, czy to takim sposobem zostawać Hetmanem Ukrainy? —

Uśmiechnął się Wojewoda, poklepał syna po ramieniu.

— Takim moja lubo, trzeba się tęgo bić za Ukrainę, a poczciwie służyć matce Polsce.

— Oj Tato, tak będę się bił jak ty; i tak będę kochał matkę Polskę, jak ty.

— To i dobrze moje dziecię.

— To i będę Hetmanem Ukrainy takim jak Paweł, a przynajmniej panem Koszowym takim jak Grzegorz?

— Kiedy sobie zasłużysz, i taka będzie Boża wola.

— Oj że zasłużę, to zasłużę. I poharcował dalej do matki; niby już Hetman, niby Pan Koszowy. —

Przed Wojewodziną już stała córeczka, z drobnem piórkiem czaplinem w ręku.

— Mamo, czy ja będę kiedy taka jak Helena?

— Jak to taka, moja ty mała doniu?

— Czy ja będę mogła, kiedy jak będę wielka, dać mężowi czaple pióro jak ona? —

Nim matka odpowiedziała, zburmuszony chłopczyk fuknął.

— Co też ty pleciesz? mnie tato powiedział: będziesz tęgo bił, i poczciwie służył Polsce, to będziesz Hetmanem Ukrainy; widzisz że, to ja Hetman. Tato był, i ja nim będę. —

Chciał wydrzeć piórko siostrze, umknęła ręki.

— Widzisz, Juryszko grzeczniejszy jak ty, on swoje oddał Helenie.

— Ja nie taki Czerniec, jak Juryszko. —

Wzniósł się na palce i napanoszył się na prawdę.

Matka pogroziła.

— Zgoda, zgoda, idźcie się bawić. —

Stefanida się uśmiechała, a krasa wystąpiła na lice Heleny, i sama do siebie w myśli gadała: — Ledwie od ziemi odrośli a już o hetmaństwie marzą, zawsze Wyhowscy! Czyż Ukrainy buława ma być piłką dla gry Wyhowskich i Chmielnickich po wiek wieków! O nie! —

W tejże samej chwili Czerniec Filaret przybliżył się do Hetmana Ukrainy, i opowiadał mu rozmowę dziecinny z ojcem, uchem skradł wszystko od słowa do słowa. Tetera odpowiedzi swej nie dał, zakrył myśli przed Czerncem, ale poszedł pod lipy, do Metropolity się zwrócił.

— Święty nasz ojcze, na rozkaz Króla Jegomości, na żądanie Pana Wojewody Braeławskiego, dałem moje przyzwolenie, aby zgromadzenie Jezusowe mogło tam zamieszkać. Jeźli Pan Wojewoda Kijowski będzie tej samej myśli, dam moje hetmańskie przyzwolenie. —

Wojewoda mu oko w oko spojrzal.

— Panie Hetmanie Ukrainy, mego przyzwolenia na Wyzuwitów nie dam.

— A jeźli Król Jegomość rozkaże?

— To tak porzucę Województwo, jakem porzucił Hetmaństwo. —

Podniósł się i odszedł Jan Wyhowski.

A Metropolita ręce złożył.

— Zmiłujcie się na Boga, na miłość Ojczyzny was zaklinam, zgoda, zgoda, moje dzieci. —

Przed samym obiadem w goście do Metropolity przyjechał Pan Pułkownik Muchawski. Ważna to teraz osoba na Ukrainie, Namiestnik Pana Wojewody Ruskiego, a Pan Wojewoda Ruski z królewskiej ręki wysłany tam z królewskiem wojskiem, i ma przy sobie prawo miecza. Zwyczajne w ziemi, gdzie jeszcze ostatki wojny domowej tlały i wszystko było gotowem do rozdmuchu, byle iskra jaka.

Pan Muchawski przywiózł Wojewodzie Kijowskiemu nowy datek królewskiej szczodroty, dwa Starostwa Baru i Rudy, wiecznem prawem dla niego i jego potomstwa. Król i Senat Rzeczypospolitej nagrodzili tem Cudnowską sprawę.

Przy obiedzie były huczne wiwaty, za zdrowie Króla i Królowej Ichmościów, za pomyślność matki Polski, sławę Ukrainy, ojca Metropolity zdrowie, Janowi Wyhowskiemu cześć, Królowi i Senatowi dzięki za szczodrotę dla męża Ukrainy. Niech żyje dzisiejszy Hetman Ukrainy! I tak dalej odliczali długi szereg wiwatów.

W głowach się ehmieliło; to co było w myśli, stanęło na językach, z dna kielichów wydobyto szczerość na jaw.

Hetman Ukrainy kielich pełny w rękę wziął, i przekąsem mówił.

— Niech żyje Pan Wojewoda Ruski, od dawien dawna godzien każdej buławy; w ręce Pana Wojewody kijowskiego.

— Niech żyje Pan Wojewoda Ruski! Powtórzył Jan Wykowski, wypił i kielich przesłał dalej. —

Helena szepnęła Muchawskiemu.

— Bez dodatku o buławie. —

Jak koń narowisty poderwał głowę Lach. Z kielichem powstał.

— Mosanie Kijowski, za Bar i Rudę zgoda z ojcami Jezusowego zakonu. —

Zczerwieniał Jan Wyhowski jak to u niego rzadko, chwycił za butelkę i w kielich aż przelał wina.

— Ot tak! Prodam Bar i Rudu, a zahram Wyzuwitam w dudu. —

Duszkiem wypił i kielichem bryznął o ziemię. Choć pjani, wszyscy zamilkli, bo mąż Ukrainy się zasierdził, i stał wielki gniewem.

Biesiada tak się skończyła. W kilka dni później, Korsuń gród Ukrainy, patrzył na srom kozaczy; na srom! bo kilku z lichoty kozaczej, przyjechało skarżyć na sławnego męża Ukrainy, przed kim? przed jakimeś tam Lachem. Między tą lichotą, był Hetman Ukrainy, siostrzeniec Wyhowskiego, i rodzona córka Chmielnickiego Bohdanka.

Przed Panem Muchawskim stanęła Czarnobrewka, Pani Ukrainy:

— Hetmaństwo, co Król Jegomość dał memu mężowi, Jan Wyhowski chce wydrzeć; dzieci swoje tego uczy. Zaporozkie wojsko na to w Ukrainę sprowadza. Pan Koszowy już wyszedł z pustyni, na Bracławską ziemię wstąpił, i to czyni bez rozkazu Króla Jegomości, bez wiedzy mego męża, Hetmana swego i Pana.

— Hetmanowo Ukrainy, Pan Wojewoda Ruski wszystkiemu temu radzi, sprawiedliwość zrobi. —

Córa Chmielnickiego Bohdana, któremu Król Pan powiedział: Ja dla waszego narodu nic zrobić nie mogę, ale wy macie szable i muszkiety, dla mnie zrobić możecie wiele. U Lacha jednego sprawiedliwości żebrała, i po jego słowach nie umarła ze sromu. Duma i zawiść z podejrzeniem się pobratały, i Bohdana krew schyrlała nawet.

Hetman Ukrainy Panu Muchawskiemu mówił:

— Ja wierny Królowi Jegomości, radźcie teraz, bo on po naszą i po waszą buławę sięgnie, a może i dalej pójdzie.

— Zaradzimy temu, a ty Hetmanie Ukrainy, jedź do Czehryna i tam rejestrowe wojsko zbieraj. —

Tak Pułkownik lacki dawał nakaz Hetmanowi Ukrainy, a Hetman słuchał. Srom! srom! na wieczne czasy srom!

Przybiegł Marcin Cieciura:

— Pułkowniku Muchawski, dowód mojej wierności ci niosę, Starzy pułkowodzcy Zadnieprskiej Ukrainy, Wysoczan, Krzyża-

nowski, Głuch i inni, kozactwo bechtają przeciwko dzisiejszemu Hetmanowi Teterze, a wszystko to za powodem Jana Wyhowskiego; sam na własne oczy widziałem pismo Neczaja.

— Dobrześ Waść zrobił pułkowódzco kozaczy; będziesz miał za to nagrodę. —

Nie pierwszyna Ciecinrze to rzemiosło, przyjął słowo jak bywalec.

A po nim stawił się Juryszka, blady przestrachem, a oczy miał zapłakane łzami.

— Putywlankę zamordował, a teraz jedynego przyjaciela wydarł! —

— Kto? kto? Czernicze, mów wyraźniej.

— Jan Wyhowski, a któż inny? W drodze mnie napadli i porwali Filareta, mego przyjaciela! —

— Tego czernca? — ba świat przez to nie zaginie, ale Waści sprawiedliwość będzie, skarzę hultajstwo. —

I syn Bohdana Lachowi dziękował. Gdyby był Bohdan zmartwychwstał, umarłby po raz drugi; jużby mu nie żyć na świecie, kiedy taka sromota padła na jego ród.

Muchawski rad z siebie nadął się. Lach o mało nie pękł i już z góry gadał do mędrka, żeby pisał dwa listy; jeden do Wojewody Ruskiego, z doniesieniem o wszystkiem, i z zapytaniem co ma robić; drugi do Wojewody Kijowskiego, aby się stawił natychmiast, do zdania sprawy ze swych czynności.

— Zaraz niech tu się stawi. —

Mędrek uśmiechnął się, siadł, pisał, a potem czytał Panu Muchawskiemu. Na cały list do Wojewody Ruskiego, głową kiwał:

— Tak, dobrze. Illustrissime domine! nauczymy chama, będziemy jemu grali w dudy. — Podpisał. —

Ale kiedy mędrek zaczął czytać:

— Miłościwy Panie. — Jako do Senatora i męża sławnego w boju i radzie, pospieszam do Waszmość Pana z prośbą, abyś raczył zjechać do Korsunia dla obmyślenia wraz z Panem Wojewodą Ruskim środków do ratunku Ojczyzny. Mamy pewne wieści, że Moskwa Ukrainie znowu zagraża. Pan Wojewoda Ruski przezemnie o to Waszmość Pana jak najusilniej uprasza. A ja pewny jego gotowości do posług Króla Pana nam miłościwego i Rzeczypospolitey. Polecając się względom Waszmość Pana, i oczekując jego przybycia, zostaję najniższym sługą.

— N. S. Domine Professor, prośbę do chama pisać, ja tego nie chcę, nie zrobię.

— Inaczej tu go Waszmość nie sprowadzisz.

— To pójdę tam i tu go przyprowadzę; sic volo i kwita. —

W tem wbiegł jeden z poruczników.

— Panie Pułkowniku, Zaporożce tu na rynek wpadli, porwali Marcina Cieciurę i powieźli.

— A Waściowie co na to?

— Nimeśmy się zebrali, już ich nie stało; jak djabli wlecieli, i wylecieli jak djabli.

— No, to sęk. Niech całe wojsko pod broń staje. Idź Wasześć a prędzej.

— A cóż teraz Mości Pułkowniku?

— Źle Domine, ja mam cztery tysiące wojska niespełna.

— A oni czterdzieści i to spełna.

— Tak, tak, no to już podpiszę. — Wygryzmolił podpis: Muchawski. —

Tegoż samego dnia dwóch gońców pobiegło, jeden do Konstantynowa, gdzie był Wojewoda Ruski, drugi do Chwastowa, do Kijowskiego Wojewody.

W trzy dni później, przybiegli dwaj gońce, jeden od Pana Wojewody Ruskiego z pismem, drugi z Chwastowa z doniesieniem, że Pan Wojewoda Kijowski jedzie.

Żywo Pan Muchawski sąd wojenny ze swoich zwołał, i kazał spisać wszystkie zarzuty przeciw Janowi Wyhowskiemu.

Pisma Pana Wojewody Ruskiego nikomu nie pokazał, nawet mędrkowi, ale powtarzał wciąż:

— Dam mu ja, dam. —

Słońce ku wieczorowi się chyliło, mglił się świat wieczorem, kiedy przyjechał Wojewoda Kijowski. Nieliczny z nim poczet, ledwie kilku ludzi, i wierny kozak Dejneka.

Muchawski wyszedł na przeciw, niby przez uszanowanie dla Senatora, podawał mu ramię w pomoc do zsiadania; ledwie Wojewoda nogę przez siodło przerzucił, chwycił go w pół i zgwizdnął; wypadli pocztowi. Szablę Wojewodzie wyrwali, samego pochwycili i wnieśli do zamku.

Wojewoda tylko krzyknąć miał czas:

— Zdrada! zdrada! nikczemniki! —

Na sługi jego wpadli i wiązali.

Po tym nieczestnym czynie Pan Muchawski wszedł do komnaty, gdzie był Wojewoda pod strażą. We drzwiach za piersiami straży mówił:

— Janie Wyhowski, oskarżony jesteś o zdradę przeciw Królowi Jegomości, przeciw Rzeczypospolitej, wzywam ciebie przed sąd.

— Mnie, Senatora, Wojewodę, przed jaki sąd? tylko Król i koledzy Senatorowie mnie sądzić mogą.

— Ja ciebie sądzić każę.

— Ty, nikczemny podstępco!

— Ja, ja, czytaj, zarzuty, tam dowody. —

Ze złości trząsł się Muchawski, a był czerwony, mało go krew nie zabiła.

Wojewoda odtrącił papier.

— Precz! Senatorskiej godności nie ubliżaj.

— Więc cię zaocznie sądzić każę.

— Zrobiłeś podłość, rób zbrodnię, a ztąd idź precz! —

Wojewoda do straży ani słowa nie przemówił. I oblicze jego choć gniewne, było spokojne.

Pół godziny nie upłynęło, Muchawski wychodził z sędziowskiej izby i zdybał Vulpinsa:

— Cóż tam?

— Śmierć!

— To się nie godzi.

— Tak osądzili.

— Bez prawa, bez sumienia.

— Tak chciał Pan Wojewoda Ruski.

— To być nie może!

— Czytaj Domine. — Dał mu papier, i wskazał palcem, i w głos sam czytał. — Sądzić i uciąć łeb. — Widzisz Illustrissime, wyraźnie.

— Pan Wojewoda tu nie jest.

— Ja go zastępuję.

— Zmiłuj się Waćpan, co chcesz robić!

— Spełnić wyrok.

— Na Boga zatrzymaj się, ja to na siebie biorę.

— Nie.

— Panie Muchawski, to zbrodnia.

— Niech i tak będzie, już się stało.

— I inaczej stać się może.

— A podstęp, a więzienie.

— To się naprawi.

— Nie, wolę być zbrodniarzem. —

Darmo mędrek wołał i groził.

— Kara Boża na ciebie! —

Nie zwolnił i kroku Muchawski. A mędrek się zaśmiał jak szatan.

— Przepadła Ukraina dla Polski! A dla mnie jeszcze zasługa, żem ja wstrzymywał od zbrodni. Srom Polsce! Wojewodzie Ruskiemu! Nienawiść Jezuitom! Zguba! zguba temu plemieniowi, i jam to wszystko zrobił, ja! —

Szyderczej od samego szatana chychotnął.

Wszedł mędrek do komnaty więzienia:

— Janie Wyhowski, osądzonyś na śmierć, przyszlę ci spowiednika, przyszlę ci twego sługę, gotój się do śmierci. —

U okiem, u drzwi stały straże; wpuszczono Dejnekę. Jan Wyhowski patrzał na twarz jego boleścią skrzywioną, ale jeszcze tchnącą dzikiem męstwem.

— Dejneko mój, zbrodnię popełnią.

— Panie mój, ja umrę za ciebie, a nie dam ciebie.

— To na nic się nie przyda.

— Ja umrę z tobą.

— Nie, Dejneko, ty moją wolę zawieziesz tam.

— Panie, Panie!

— Tak ja każę. —

Szpinkę z kontusza wydobył, ostrzem w rękę zapuścił, pargaminu ćwiartkę rozwinął, przedarł na dwoje i krwią na jednej pisał:

— Nie kazń jaką na mnie spełnili, ale moją wiarę, moją sławę, całe moje życie zostawiam w puściźnie wam. Służcie Ukrainie, ale zarazem służcie matce Polsce, to wam pod błogosławieństwem nakazuję. Módlcie się za mnie, bom i ja grzeszny. Bądźcie zdrowi, Bóg niech wam dopomaga.

— To dla moich dzieci i żony. —

I na drugiej połowie pargaminu krwią pisał:

— Lach jeden, czy kilku Lachów, nikczemną zbrodnię wymierzą na mnie; ale Polska temu nic nie winna. Z nad grobu cię proszę i nakazuję, nie targaj się na matkę naszą. Bądź opiekunem żonie i dzieciom moim, bądź opiekunem i dziedzicem tyloletnich zasług moich u Króla i Rzeczypospolitej.

— Grzegorzowi to oddasz Dajneko. Ostatnia to służba twoja dla mnie. —

Dejneka w ręce Pana całował, jak bóbr płakał, a Wojewoda był spokojny.

Przyszedł kapłan Boży, i Wojewoda się spowiadał, pożywał ciało i krew Pańskie, a potem zapłakał.

— O! nie nad sobą ja płaczę, ale nad tem co będzie; nad Polską. —

Brzask dniowy ledwie się przerzucił po niebiosach, słyszy Wojewoda zbrojnych stąpanie. Dejneka ciśnie ręce w kułak; skoczył ku drzwiom. Wojewoda ręką go odsunął.

— Tam stać, a wara. —

Drzwi się otworzyły, a nikt wprzód iść nie śmie. Głos Muchawskiego niepewnie brzmi.

— Idźcie! prowadźcie go!

— Precz, precz, ja Senator Wojewoda, kto mnie tknąć śmie. —

Progu nie przestępuje żaden. Muchawski pięściami im grozi. Wojewoda kontusz rozpiął.

— Tu zabijcie, jak zabójcy.

— Ognia! ognia! strzelaj! — Muchawski wrzasnął. —

Kilka strzałów huknęło.

Wojewoda schwycił się za serce, zachwiał się, a Dejneka przykląkł za nim, i ciało pańskie już martwe na klęczkach przyjął. Krew Jana Wyhowskiego na niego padała, padała na Polską ziemię.

W Chwastowie co to się dzieje tam?

Wojewodzina garnie do siebie dziatki, otula ramionami, a łzami zmywa im jasny włos.

— Mamo, mamo! co tobie jest takiego? — I płaczą.

— Wy sieroty, a ja wdowa! — Płacze.

Służba, pokrewni, w smutku toną.

Dejneka trzyma wronego konia pańskiego i obóm tak smutno, jak gdyby w grób szli.

Neczaj zatrętwiał w gniewie, i w żalu chwycił się za rękojeść szabli, i już jej nie puszcza.

Za Chwastowem kureniami młodzce stoją, na koniach ze spisami, do lotu.

Na bok trzy pale sterczą, a na palach trzy trupy wstrzemione, jeszcze krzywią twarzami, zębami zaciskają duch, żeby się nie wyparł; to dwaj Cieciurowie i Naum Pohany.

Pan Koszowy na wronym koniu, i sam zemstą wrony, szablą błyska.

Przed nim białowłosy Metropolita, z krzyżem w ręku, błaga.

— Nie, nie święty ojcze! Oni początek dali, ja koniec zrobię. Krwią, nie łzami Lachy popłaczą, dam im, dam. —

Szablą machnął na młodzców, i z kopyta wszystko runęło: za nim, za nim!

Ziemia jęczy, słońce krwawo zachodzi, na krew; a białowłosy Metropolita jeszcze ku niebu krzyż wznosi.

— Nie daj Boże! —

PRZYPIS.

Cała powieść o Janie Wyhowskim jest osnuta na tle jak najwierniej historycznem. Historycy piszący pod wpływem moskiewskim dzieje kozaczyzny, oskarżają Jana Wyhowskiego o zajście i to wbrew wszystkim działaniom Bohdana Chmielnickiego, oddając Ukrainę pod opiekę Polski. Historycy pod wpływem Polskości piszący, robią zarzut, iż był przeciwnym obrządkowi łacińskiemu, szczególniej zaś Jezuitom, i to było główną przyczyną jego śmierci. W archiwach Owruckich znajduje się protokół śmierci Jana Wyhowskiego, i tam za główniejszy powód kładą wymówienie jego przy biesiadzie: *prodam Bar i Rudu a zahraju Wyzuwitam w dudu.* Stefan Czarniecki, ten znamienity bohater Polski, najzaciętszy wróg Kozaczyzny, był głównym sprawcą śmierci Hetmana Ukrainy; Muchawski był jego narzędziem. Nieszczęśliwy ten wypadek był najważniejszym powodem odstrychnięcia Ukrainy od Polski. Grzegorz Brzuchowiecki mszcząc się śmierci wuja, hojną krwią dokonał tego rozbratu.

Nie było to celem mojej powieści, rozbierać słuszność lub niechęci, jaka panowała na Ukrainie przeciw zgromadzeniu Jezusowemu. Tu w Paryżu poszukując w bibliotece Jezuickiej zasobów do mojej powieści, od jednego z tych ojców, którego przedmiotem jest zajmować się historją, słyszałem o dowodach, jakie posiada. Że w Niemczech, w Hiszpanji, a zatem zapewnie i w Polsce, było bractwo intrygantów, po większej części złożone z kacerzy, którzy przybierali na siebie imię Jezuitów, aby onych jako najgorliwszych żołnierzy stolicy Świętej osławiać, a tem samem szkodzić kościołowi katolickiemu — wprowadziłem tedy onych w moją powieść.

Jerzy Chmielnicki człowiek mizerny, ile razy miał przemawiać do Kozactwa, używał opjum; pod Słobodyszczami starszyzna musiała go gwałtem wyciągnąć od modłów. Helena Chmielnicka naprzód za Danielem Wyhowskim, a potem za Pawłem Teterą była przyczyną zguby męża, i intrygowała przeciw Janowi Wyhowskiemu; ogromna duma była tego powodem. Takie są podania historyczne.

W powieści Koszowata umieściłem zarys pracy, którą zamierzyłem sobie wykonać; pracy, któraby dowodami historycznemi przekonała

o owej nieprawdzie: że kozacy nie są czem innem tylko hajdamactwem, przez banalukaczy. Nowe takie banaluki czytałem w powiastkach świeżo wyszłych, gdzie powiada autor bezimienny, czyli raczej nieboszczyk będący pseudonimem, że Hetmanem Koszowym nie mógł być nigdy *pisarz*, ani też taki, co umie czytać. Jan Wyhowski nim został Hetmanem Ukrainy, był Koszowym, a przedtem pisarzem; tak samo z pisarzy postąpili na Koszowych Hetmanów: Piotr Doroszenko, Konstantyn Horodeński i Filip Orlik. Wyjazd mój z Paryża nie pozwala mi dopełnić podjętej pracy, muszę ją odłożyć na później.

25. Marca 1841.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

PG 7158 C75 1872 t.6

Czajkowski, Michał
Pisma

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY